



EWA OSTROWSKA

# Sidła Strachu



# Spis treści

- Rozdział 1.
- Rozdział 2.
- Rozdział 3.
- Rozdział 4.
- Rozdział 5.
- Rozdział 6.
- Rozdział 7.
- Rozdział 8.
- Rozdział 9.
- Rozdział 10.
- Rozdział 11.
- Rozdział 12.
- Rozdział 13.
- Rozdział 14.
- Rozdział 15.
- Rozdział 16.
- Rozdział 17.
- Rozdział 18.
- Rozdział 19.
- Rozdział 20.
- Rozdział 21.

© Copyright by Wydawnictwo skrzat  
2015

Wydanie elektroniczne

Zespół redakcyjno-korektorski:

Wydawnictwo Skrzat

Skład:

Wydawnictwo Skrzat

Projekt okładki:

Wydawnictwo Skrzat

ISBN 978-83-7915-205-6

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski 31-202 Kraków, ul.

Prądnicka 77 tel. (12) 414 28 51

[wydawnictwo@skrzat.com.pl](mailto:wydawnictwo@skrzat.com.pl)

Odwiedź naszą księgarnię internetową: [www.skrzat.com.pl](http://www.skrzat.com.pl)



## Rozdział 1.

Maria powoli wracała do domu. Czuła się bardzo źle. Była zmęczona prawie godzinnym stanieniem w kolejce po kabanosy dla Henryka. W delikatesach nie działała wentylacja. Tłok, a dzień był parny i gorący. Bolało ją serce, tępy ucisk paraliżował ruchy i oddech. Od dłuższego już czasu serce dawało znać o sobie w dokuczliwy i niepokojący sposób, lecz dopiero dwa lata temu zdecydowała się na wizytę u lekarza. Dowiedziała się wtedy, że jest bardzo chora i jeżeli nie zmieni swego dotychczasowego trybu życia, może nastąpić katastrofa.

— Powinna pani przede wszystkim unikać najmniejszego wysiłku fizycznego i wszelkiego zdenerwowania. Absolutnie nie wolno się pani niczym denerwować. Musi pani dużo leżeć, wypoczywać i nauczyć się żyć bezproblemowo — oświadczył lekarz, a Maria pokiwała głową ze zrozumieniem, uśmiechając się lekko. Cudowna recepta na zdrowie. Jakby spokój, wygodne życie można było przyjmować w dawkach porcjowanych kroplomierzem na wodę lub cukier, przed lub po posiłku.

— Na którym piętrze pani mieszka? Na trzecim? Bez windy? — zapytał jeszcze lekarz. — Niedobrze, bardzo niedobrze. Niech się pani przeprowadzi czym prędzej na parter. To konieczne ze względu na pani serce, ponieważ ono nie znosi takiego wysiłku, a za chwilę nie zniesie żadnego w ogóle wysiłku.

Dowcipny lekarz, z dużym poczuciem humoru, ale bez najmniejszego poczucia rzeczywistości. W ciągu dnia często zdobywała Giewont, a czasem nawet Mont Blanc, biegnąc tam i z powrotem po schodach, żeby spełnić każde życzenie Henryka. Zdarzało się, że podczas jednego popołudnia Henryk wyrażał ochotę na przeróżne rzeczy: czekoladowe cukierki albo szynkę, ptasie mleczko, śledzia marynowanego, lemoniadę lub ciemne piwo. Gdy przynosiła zdyszana, z sercem w gardle, puszkę sardynek, Henryk oznajmiał:

— Odechciało mi się. Zostaw na później. Ale muszę zjeść natychmiast coś słodkiego. Przynieś mi ciastko z kremem. Albo nie — od razu pięć, będzie na zapas. Pewno mam cukrzycę. Nienormalne jest moje łaknienie słodkiego.

A kiedy przynosiła ciastka takie, jakie sobie życzył — nigdy inne, bowiem nie znosił najmniejszego sprzeciwu — i kiedy zaspokoił już apetyt „na słodkie”, po jakimś czasie wołał:

— Mario! Mario! Masz kiszzone ogórki? Muszę zjeść coś pikantnego, mdli mnie po tych wstrętnych ciastkach.

Usiłowała odgadywać jego życzenia, mieć w domu możliwie wszystko, na co mógłby wyrazić niespodziewaną ochotę, lecz to okazało się niemożliwe do wykonania, bowiem kulinarna wyobraźnia Henryka pracowała nieustannie, podsuwając mu różne warianty coraz to bardziej wyrafinowanych pragnień.

Z pracy wracała pośpiesznie. Henryk nie tolerował spóźnień. Potem odgrzewała przygotowany poprzedniego wieczoru obiad, podawała go mężowi, dokładnie o godzinie szesnastej, ponieważ pół godziny

później, z chwilą rozpoczęcia programu telewizyjnego, zasiadał przed telewizorem w miękkim, staromodnym fotelu, zajmującym dość znaczną część pokoju i wtedy dopiero zaczynało się:

— Mario! Mam pragnienie, przynieś mi wody mineralnej. Mario! Kup mi sałatkę śledziową, uważaj tylko, musi być świeża. Mario! Podaj mi plasterek szynki z sosem tatarskim.

Mario! Ubij mi krem ze śmietany! Mario! Mario! Mario!

Ulegała jego kaprysom, kłopotliwym zachciankom z całkowitym, biernym posłuszeństwem dobrej i oddanej żony. Nie miała już innego celu w życiu poza nim, poza swoim mężem. Nie miała nikogo bliskiego, od wielu lat była sama, wyłącznie z nim i skazana na niego. Starsza o osiem lat siostra, Klementyna, nie zaakceptowała Henryka, który odpłacał się jeszcze większą wrogością. W końcu zażądał zerwania wszelkich kontaktów z siostrą. A dla Marii liczył się przede wszystkim Henryk, który był na pierwszym planie, ponieważ go kochała i dlatego została przy nim i dla niego. Traktowała męża jak człowieka ciężko chorego i uważała szczerze, że jest ciężko chory. Podczas ostatnich pięciu lat zdziwaczał i postarzał się do tego stopnia, że mogła to sobie wytłumaczyć jedynie postępującą chorobą. Jaką? Tego nie wiedziała. Henryk unikał lekarzy jak ognia. Od początku wiedziała, że Henryk ma trudny charakter, jest despotyczny, wymagający, agresywny i wpada w długotrwałe stany depresyjne. Dlatego nie spodobał się Klementynie, nie miała do niego zaufania. Ale Maria nauczyła się tolerancji, wybaczała mężowi, starała się go zrozumieć, bo wiele przeżył — i tak już zostało.

Przyśpieszyła kroku. Przełożyła wypchaną zakupami, ciężką torbę

do drugiej ręki. Poczwała wyrzuty sumienia, że na tak długi czas opuściła dom. Henryk tego nie lubił. Jednocześnie jednak nie znosił jej obecności przy sobie, on oglądał telewizję w pokoju, ona musiała siedzieć w kuchni. Czasem, jak z łaski, pozwolił jej obejrzeć jakiś film. Dziwaczał coraz bardziej. Czasami dochodziła do wniosku, że jest mu potrzebna jedynie do spełniania jego kulinarnych zachcianek, do osobistej obsługi — niczym służąca. Podaj herbatę, otwórz okno, zamknij okno, przykryj nogi pledem, weź pled. Denerwował się wciąż, że nie otacza go należyta opieką, nie dba o niego tak, jak na to zasługuje.

— Dobry Boże — westchnęła Maria, przypominając sobie ciągle, nieustanne pretensje męża. Nie było w jej westchnieniu ani sprzeciwu, ani buntu. Nie potrafiła się już ani sprzeciwić, ani tym bardziej buntować, uważając, że tak musi być i że ona nie daje z siebie wszystkiego, ponieważ Henryk wciąż jest z niej niezadowolony.

Weszła na brudną klatkę schodową domu w starej, przedwojennej, czynszowej kamienicy o wysokich oknach i jeszcze wyższych sufitach, gdzie mieszkania są zimne, ponure i nieprzyjazne. Jakby pierwszy raz w życiu widząc szpetotę budynku, w którym spędziła dwadzieścia lat swego życia, przystanąła na moment zaskoczona niespodziewanym odkryciem. Nagle serce ścisnęło się tak boleśnie, że aż krzyknęła głośno, bo nie spodziewała się bólu. Przypomniał się jej lekarz, u którego była przed dwoma laty i jego „recepta na zdrowie”. Odpocząć, nie przemęczać się, nie denerwować i przeprowadzić się szybko na parter.

— Dobry Boże — westchnęła.

Wysokie i strome schody zwisały nad nią groźnie, napawając lękiem. Przeraziła się owego gwałtownego głosu serca. Nie chciała umierać, a pomyślała, że umrze i to jeszcze dzisiaj, z całą pewnością dzisiaj. Było jej duszno, gorąco i czuła się zmęczona. Jej życie składało się ze spełniania kaprysów męża i lęku przed nim, przed jego cichym i groźnym gniewem i przed uciążliwym, bolesnym wspinaniem się na schody. Ale przecież nie może umrzeć, nie wolno jej, bo co się stanie z Henrykiem? Jest niedołączny, chory, nieporadny, jak małe dziecko, które dopiero uczy się mówić, stawia pierwsze kroki, niepewne jeszcze, co chwilę woła: „Daj mi to! Ja chcę tamto!”.

Odetchnęła głęboko. Ból zelżał. Odpoczywała po pokonaniu trzech, czterech stopni. Na wpółżywa stanęła wreszcie przed drzwiami mieszkania. Pot zalewał jej oczy, oddychała urywanie i pośpiesznie.

Henryk siedział przed telewizorem. Nie odwrócił nawet głowy.

— Gdzie się tak długo szwendałaś? — zapytał ze złością.

Rozpakowała torbę, szeleszcząc kusząco papierami. Czasem udawała się jej ta sztuczka, bowiem Henryk zainteresowany tym, czy przyniosła coś smacznego do jedzenia, zapominał o gniewie.

— Pytam się! — krzyknął.

— Była kolejka w delikatesach — powiedziała Maria cicho, z wysiłkiem. — Ale kupiłam ci kabanosy.

— Tak długo na nie czekałem, że już mi przeszła ochota — burknął, ciągle jeszcze zły.

— Nie będziesz jadł?

— Ależ będę! Chciałabyś mnie głodem zamorzyć! Twarożek kupiłaś?



— W delikatesach nie było.

— To należało pójść gdzie indziej, szukać i kupić! Powiedz lepiej, że ci się nie chciało. Przecież wiesz, że muszę odżywiać się dietetycznie, unikać ciężkostrawnych potraw, bo jestem chory.

— Tak, Henryku — odparła pokornie.

— Więc dlaczego nie przyniosłaś twarożku?

— Przepraszam, Henryku.

— Twoim przeproszeniem się nie najem odburknął, nie odrywając wzroku od telewizora.

— Ugotuję ci jajka na miękko — zaproponowała nieśmiało Maria, patrząc z troską na męża. Był bardzo wzburzony. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej. Nic nieznaczące głupstwo wyprowadzało go z równowagi. A potem cierpiał i nie mógł spać w nocy. Słyszała, leżąc na twardym łóżku w kuchni, jak jęczy, a czasem krzyczy przez sen.

— Jajka i jajka. Mam dość jajek! Daj te kabanosy. Tylko szybko. Od obiadu nic nie jadłem, nie miał kto mi podać szklanki wody, bo ty chodzisz sobie na spacerki!

Maria wyszła do kuchni przygotować kolację. Wiedziała z doświadczenia, że Henryk, kiedy jest zdenerwowany i podniecony, potrafi być niesprawiedliwy i nie należy się tym przejmować.

— Mario!

— Słucham cię? — zajrzała do pokoju.

— Co z tą kolacją? Czy musisz się tak guzdrać?

— Ależ Henryku — zaprotestowała łagodnie — jeszcze rąk nie zdążyłam umyć, a ty krzyczysz.

— Głodny jestem. Otwórz mi puszkę sardynek albo sajrę. Albo

najlepiej i jedno, i drugie.

— Dobrze, Henryku.

— I ugotuj dwa jajka na twardo, a potem polej majonezem.

— Dobrze, Henryku.

— Za piętnaście minut jest Dziennik, pośpiesz się.

— Zaraz ci podam — obiecała.

Kolację jadł zawsze podczas Dziennika Telewizyjnego. Już się tak przyzwyczaił, że nie wiadomo, co by się działo, gdyby nie zdążyła na czas podać mu talerza z jedzeniem. Zapomniała więc o swoim bolącym sercu i otworzyła puszkę z rybami. Nie wolno pozwolić, żeby się zdenerwował, to mu szkodzi.

— Widzisz — powiedziała, wnosząc tacę i kładąc nakrycia przed mężem — jak mi szybko poszło. Już możesz jeść. Za parę minut podam ci jajka, muszą się jeszcze chwilę gotować. A kabanosy wyglądają wspaniale.

— A gdzie rzodkiewki?

— Och! — przeraziła się Maria. — Zapomniałam o rzodkiewkach!  
Ale jutro...

— O wszystkim zapominasz. Wiesz przecież, jak bardzo lubię rzodkiewki!

— Jutro...

— Jutro to nie dziś. A teraz wynoś się stąd! No, powiedziałem, wynoś się i nie przeszkadzaj.

Minęło już chyba ponad pięć lat, odkąd kazał jej spać w kuchni. Twierdził, że potrzebuje dla siebie maksimum spokoju i świeżego powietrza. Kupiła więc rozkładane łóżko

i w małej, ciasnej kuchni co wieczór rozstawiała je i wyciągała ze schowka pościel. W ciągu dnia, gdy chciała odpocząć, przysiadła na kuchennym taborecie.

— Henryku...

— Czego? — zapytał z pełnymi ustami. Połykał duże kęsy chleba tak łapczywie i zachłannie, jakby nie jadł co najmniej od kilku dni.

— Dziś jest film... pozwolisz?

Spojrzał na nią uważnie, jakby się zastanawiając, czy zasłużyła na nagrodę.

— Jeśliby ci bardzo miało przeszkadzać... — powiedziała przepraszająco.

Zrobił przyzwalający ruch ręką. Maria, zadowolona z wyrażonej przez niego zgody, z nadzieją na spokojny wieczór, przyniosła mężowi jaja na twardo oblane suto żółtym majonezem, potem sprzątnęła w kuchni, starła stół i wysypała na parapet okienny okruszyny chleba dla wróbli. Zrobiła sobie kąpiel, po której poczuła ulgę. Odświeżona i zaróżowiona, przyjrzała się sobie w lustrze i stwierdziła, że wygląda okropnie.

Jestem już bardzo stara — pomyślała. — A włosy mam już zupełnie siwe. Nawet nie zauważyłam, kiedy osiwiałam. Może pofarbować? Ech, to śmieszne, żeby kobieta w moim wieku farbowała włosy. Ale trzeba coś z nimi koniecznie zrobić. Może trwałą?

Nakręciła papiloty, obwiązała głowę chustką i na palcach wsunęła się do pokoju, nie chcąc przeszkadzać mężowi. Ciekawiła ją prognoza pogody — czy Wicherek zapowie kolejny wyż? O Boże, tak trudno wytrzymać w dusznym, rozpalonym mieście! Ale Dziennik się

skończył i trwał jakiś inny program. Może to już zaczął się film?

Henryk siedział jakoś inaczej niż zwykle. Nigdy nie widziała go w tak nienaturalnej pozie: wyprostowany, sztywny, z głową wysuniętą do przodu, twarzą tak napiętą i bladą, że w świetle elektrycznym wydawało się, że była wycięta z papieru.

Przestraszyła się.

— Henryku! — zawołała i podbiegła do męża. — Słabo ci?

Odepchnął ją silnie. Maria zatoczyła się i boleśnie uderzyła biodrem o stół.

— Henryku!

Powoli obrócił ku niej zbielełą twarz. Milczał. Tylko wygięte konwulsyjnie usta poruszyły się bezgłośnie.

— Henryku! Na litość boską! Co ci się stało?

Zobaczyła jego oczy, których nigdy nie lubiła. Były bardzo jasne, niebieskie, wypłowiałe i wypukłe. Oczy krótkowidza. Czasem wydawało jej się, że widzi w nich nienawiść. Ale nie wiedziała, kogo Henryk mógłby nienawidzić? Jej? Mój Boże, za co?

Zdjął okulary, odłożył na stolik przed telewizorem i wpatrywał się w nią uporczywie. Zrozumiała, że on jej nienawidzi. Poczowała lęk i cofnęła się. Przeraziła się jego oczu i jego milczenia.

— Henryku — odezwała się niepewnie, cicho.

Znowu poruszył ustami. Usłyszała ochrypły, stłumiony głos, który ledwo przedarł się przez zaciśnięte usta. Pytał ją o coś, ale niewyraźnie, ona zaś, przerażona widokiem zaciśniętych ust, nie rozumiała pytania.

— Słucham?

— Dawno tu jesteś? — powiedział z wysiłkiem, a jego dłonie zacisnęły się na poręczy fotela.

— Ależ... — wciąż nie rozumiała.

— Dawno tu jesteś?! — krzyknął.

Złękła się teraz nie na żarty. Chyba zwariował. Te jego ponure dziwactwa — od pięciu lat ani razu nie wyszedł z domu — to wszystko były prawdopodobnie objawy choroby umysłowej. A teraz ma atak!

— Nie patrz tak na mnie!

Wtedy bardzo zwyczajnym ruchem, jak człowiek, który bardzo cierpi i pragnie otrząsnąć się z tego cierpienia, uniósł rękę do skroni i potarł czoło. Uspokoila się. Może go coś zabolalo, a może znowu przypomnialy mu sie tamte lata, o których przeciez pragnal za wszelka cene zapomniec, jak tysiace, setki tysiecy innych ludzi, ktorzy przezyli koszmar wojny.

— Przynies mi szklanke wody — powiedzial. Glos jego brzmial ochryple i odniosla wrazenie, ze mowienie przychodzi mu z trudnością.

Pobiegła do kuchni. Nalala wody, wycisnela cytryne.

Moze podac mu krople uspokajajace? — zastanowila sie. — Nie, lepiej go nie draznic.

— Dziękuję ci — powiedział, a ona znowu poczuła ukłucie lęku, bowiem od wielu, wielu lat, za nic jej nie dziękował. To słowo zabrzmiało obco, a nawet wrogo i ostrzegawczo.

— Lepiej ci?

— Tak — odpowiedział.

— Pójdę się położyć. Nie będę oglądała tego filmu.

— Mówiłaś coś? — zapytał.

— Nie będę oglądała tego filmu, Henryku. Słuchaj, dlaczego zdjąłeś okulary? Przecież... — był taki obcy bez szkieł, zmieniony i inny.

Uniósł się lekko w fotelu.

— Co przez to rozumiesz? Dlaczego mówisz o okularach? — żyły na skroniach stały się wypukłe.

— Nie miałam nic złego na myśli — broniła się. — Po prostu...

— Dlaczego ty o to spytałaś? Nigdy nie trzeba o to pytać.

Milczała. Nic z tego wszystkiego nie mogła zrozumieć. O co mu chodzi? Trzeba koniecznie sprowadzić lekarza, trzeba koniecznie, on... Z nim dzieje się coś złego.

— Jest straszliwie duszno. Otwórz okno — odezwał się.

— Okno jest przecież otwarte — odparła zdziwiona.

— Ale zasłona nie jest zaciągnięta. Komary wpadają.

— Jakie komary? Co ty mówisz? Może masz gorączkę? Wezwę lekarza.

— Nie jestem chory. Więc muchy, jeśli nie komary! Zasuń tę cholerną, pieprzoną zasłonę!

— Ależ nie mogę jej zasunąć, bo popsuta się szyna. Coś się tam u góry zacięło.

— To mnie nie obchodzi! Chcę, żebyś zasłoniła okno. Rozumiesz?

— Dobrze, dobrze, nie denerwuj się. Spróbuję.

Przysunęła krzesło pod samo okno. Boże, jakie to okno wysokie! Stękając, weszła na parapet. Przeszkadzała jej doniczka z paprocią. Odsunęła ją trochę na bok.

— Ale ja jestem głupia — powiedziała. — Przecież nie dosięgnę. Muszę mieć szczotkę.

— Podam ci — zaofiarował się Henryk i to również było niezwykle.

— Siedz, siedz — odparła, odwróciła się plecami do pokoju i schyliła się, żeby uklęknąć na parapecie i zejść na krzesło. Posłyszała za plecami zdyszany oddech.

— Henryku! — zawołała przerażona tym oddechem. Wyprostowała się i odwróciła twarzą do niego i zdążyła jeszcze pomyśleć, że jednak on ma atak i należy natychmiast wezwać pogotowie. Potem krzyknęła krótko i przeraźliwie. Śmiertelnie.

## Rozdział 2.

— Panie prokuratorze, proszę o przejrzenie sprawy i podpis. Nic ciekawego, zwykła formalność — powiedział zastępca prokuratora, Kazimierz Gorczyński, uśmiechając się uprzejmie.

Andrzej Dolecki nie oswoił się jeszcze ze swoim zawodowym tytułem. Dopiero trzy miesiące temu, po skończeniu prawa, rozpoczął swoją pierwszą prawdziwą pracę w życiu. Nie miał więc ani wprawy, ani praktyki, a, co gorsza, był z natury człowiekiem nieśmiałym, chociaż niewątpliwie zdolnym. Świadczył o tym jego indeks, praca magisterska oraz zdany na prokuratora egzamin. Lecz sukcesy uczelniane wcale nie pomagały mu przełamywać wrodzonej nieśmiałości. Często tracił pewność siebie, nie umiał w odpowiednim momencie wykorzystać przekonujących argumentów.

Wybór zawodu zaskoczył bez wyjątku wszystkich jego znajomych, którzy uważali, że nie nadaje się do pełnienia funkcji prokuratora. Już podczas studiów najbliżsi koledzy wyrażali przekonanie, że brak tupetu oraz wrażliwość nie pozwolą mu zostać dobrym prawnikiem, a tym bardziej prokuratorem. Odradzano mu życzliwie i po przyjacielsku, tłumacząc, że nie nadaje się do tego zawodu, bo jest zbyt nieśmiały i posiada bujną wyobraźnię. A prokurator musi być pragmatycznym racjonalistą i powinien odrzucać od siebie wszelkie skrupuły, dążąc bezwzględnie do uzyskania wyroku. Andrzej uparł się jednak. I oto od trzech miesięcy przyzwyczajał się do zwrotu: „panie prokuratorze”, który dla niego wciąż brzmiał obco.



— Dziękuję.

Do tej pory prowadził tylko jedną sprawę. Przegrał ją, chociaż mógł uzyskać o wiele wyższy wyrok skazujący. Była to pospolita sprawa o chuligaństwo i pobicie. Przed sądem stanął recydywista, trzykrotnie już karany za podobne przestępstwa. Andrzej przygotował się do prowadzenia tej sprawy drobiazgowo, a nawet z przesadną dokładnością.

Czytając aktualne akta i sięgając do akt poprzednich, poczuł współczucie dla dwudziestodwuletniego przestępcy, który dla piętnastu złotych na butelkę cienkusa pobił dotkliwie przypadkowego przechodnia. Dopiero później Andrzej pojął, że niepotrzebnie wyszedł poza krąg samej sprawy i nagie fakty. Jego wyobraźnia zaczęła działać i nie potrafił się od niej uwolnić. Dlaczego ten chłopak został przestępcą? Odpowiadając na to pytanie, odtwarzał fragment po fragmencie jego życie. Nie ulegało wątpliwości, że wobec młodego przestępcy nie pomogą już żadne środki profilaktyczne ani penitencjarne. Podmiot jego oskarżeń, notoryczny chuligan, który być może tylko przez szczęśliwy dla niego przypadek nie popełnił jeszcze poważniejszego przestępstwa, młody człowiek, stanowiący duże zagrożenie z punktu widzenia interesów społecznych i z punktu widzenia litery prawa — nie mógł być inny, ponieważ właśnie taki model życia został mu przypisany. Syn złodzieja i prostytutki, od dziecka głodny i pozostawiony sam sobie, obracający się w środowisku notorycznych przestępców. Mając już osiem lat obrabował kiosk spożywczy, zabierając stamtąd czekoladowe cukierki i papierosy. Po trzech latach pobytu w domu poprawczym wrócił do

swojej „rodziny”, przez którą przez ten czas przewinęło się kilku „ojców”. Znowu za kradzież powędrował do poprawczaka, żeby po uzyskaniu pełnoletniości i wyjściu na wolność szukać dla siebie przez kilka miesięcy miejsca wśród uczciwych ludzi, którzy go jednak odrzucali, ponieważ był napiętnowany wyrokami.

Więc znowu powrócił do „rodziny”, znowu kradł, znowu wyrok i, ledwo wyszedł, po tygodniu pobił przechodnia, żądając piętnastu złotych na wino. Przypisany do życia, które go nauczyło zaspokajać wyłącznie prymitywne potrzeby — jaki mógł być?

Andrzej Dolecki nie błysnął podczas rozprawy. Wygłosił przemówienie oskarżycielskie bardzo piękne, wzruszające, wyręczając nieomal adwokata z urzędu. Zaoferował przestępcy zaufanie jako kredyt na przyszłość, z którego ten powinien umieć skorzystać i ostatecznie zażądał niewysokiego wymiaru kary. Potem czuł się podle, ponieważ nie umiał sobie odpowiedzieć na pytanie, czy tak rzeczywiście powinien był postąpić? Przecież nie do jego kompetencji należy bronić, jego kompetencje — to orzekać o winie.

Andrzej już dawno przeczytał protokół i przejrzał zdjęcia. Wydawało mu się, że Gorczyński swoim stwierdzeniem: „nic ciekawego, zwykła formalność”, dawał mu do zrozumienia, że nadaje się tylko do spraw, które są „zwykłą formalnością”. Spojrzał jeszcze raz, tym razem uważniej na zdjęcia.

Przeczytał ponownie załączniki. Tak. Prosta sprawa. Oczywiście, nigdy nie dadzą mu poważniejszej, bo nie „wykazał się” na początku.

Wyciągnął wieczne pióro. Nie pisało, bo atrament wysechł.

— Proszę, panie prokuratorze — Gorczyński podsunął mu długopis.

Chcąc ukryć zmieszanie, pochylił się nad papierami.

Na samym wierzchu leżało zdjęcie kobiety, które przedstawiało ciało leżące na wznak, z szeroko rozrzuconymi rękami. Czarna strużka od ust aż po brodę.

Przerzucił pozostałe zdjęcia. Było ich kilka — jak zwykle w takich przypadkach fotograf wykonał różne ujęcia. Zbliżenie, plan dalszy, *en face* i z profilu. Kobieta, która spadła z trzeciego piętra na twarde, pokryte betonem podwórze, nie miała żadnej szansy, nawet najmniejszej. Leżała płaska na plecach, jakby pozbawiona ciała. Głowa przekreślona lekko na bok, przez ramię, nienaturalnie.

Dłonie... puste. Puste, otwarte dłonie?

— Pan prokurator się zastanawia? — zapytał Gorczyński. — Nie ma nad czym, doprawdy.

— Proszę nie przeszkadzać — powiedział dość ostro Andrzej i zaraz się zmieszał, zaskoczony tonem swojego głosu.

— Ależ dobrze, dobrze — uśmiechnął się pobłaźliwie Gorczyński. — Oczywiście niech pan prokurator się nie spieszy.

— Proszę spojrzeć... — powiedział przepaszającym tonem Andrzej. — Te puste dłonie. Otwarte.

Nie zacisnęły się na niczym, nie próbowały niczego uchwycić, na czymś się zatrzymać. Nawet instynktownie. Dlaczego?

— Och, panie prokuratorze...

— Myślę, że to istotne — powiedział Andrzej i na moment się zamyślił. Człowiek, który nagle traci równowagę musi w tym momencie poczuć, skrócony do ułamków sekundy, strach, który z kolei instynktownie wyzwała potrzebę obrony życia. Wystarczy w

ciemnościach zstępować ze schodów i potknąć się lekko, wtedy odruchem chroniącym przed upadkiem jest próba uchwycenia się czegoś: ściany, poręczy, choćby bezsensowne wyciągnięcie rąk, będące próbą odzyskania zachwianej równowagi. A człowiek, który traci równowagę, mając świadomość, że stoi na wysokości trzeciego piętra i że właśnie ten ułamek sekundy waży o jego życiu... Przecież nie może uwolnić się od instynktownych odruchów. Chyba że dzieje się coś przez zaskoczenie i zamiast strachu jest tylko zdumienie, a potem nie ma już czasu ani na przerażenie, ani na obronę. No bo jak... po prostu zachwiała się, straciła równowagę, stojąc w otwartym oknie i spadła bez najmniejszej próby obrony?

Nie uchwyciła firanki, bo nie zdążyła? Nie pociągnęła jej za sobą, nie usiłowała na niczym zamknąć ręki? Spadła tak po prostu niczym worek piasku?

— Jak ona stała w oknie? — zapytał Andrzej.

— Nie wiem, nie było mnie przy tym — z wyraźną ironią powiedział Gorczyński. — Ma pan zeznanie jej męża, Henryka Jagodzińskiego. Jest szczegółowe i wyczerpujące.

— Wiem, że pana nie było przy tym — powiedział spokojnie Andrzej. — Chciałbym po prostu wiedzieć, czy w chwili wypadku stała twarzą do wnętrza pokoju? Na takie pytanie w zeznaniach męża denatki nie znalazłem odpowiedzi. Zresztą... — dodał złośliwie Andrzej — nikt takiego pytania nie zadał.

Gorczyński wrzucił ramionami.

— O co panu chodzi, panie prokuratorze?

— O to że... zaraz... — Andrzej ponownie przeczytał protokół. —

Tu jest kilka miejsc niejasnych, proszę pana.

— Co takiego?

— Cytuję: „Żona moja weszła na okno, żeby poprawić popsutą zasłonę, która nie chciała się zasunąć...”. Dobry Boże, polszczyzna wspaniała. Więc mam odpowiedź, ale nie wprost, na swoje pytanie. Jeżeli było tak, jak zeznaje jej mąż, musiała stać twarzą do podwórza.

— I co z tego?

— Właśnie. Wieształ pan kiedykolwiek firanki u siebie w domu?

— Chwała Bogu, nie — westchnął Gorczyński. — To należy do obowiązków żony.

— A widział pan kiedykolwiek, jak żona to robi?

— Czy widziałem? Chyba tak.

— Na którym piętrze pan mieszka?

— Sęk w tym, że na parterze.

— To nie ma znaczenia. Proszę, niech pan sobie uprzytomni, jaką pozycję trzeba zająć stojąc w oknie, aby założyć firanki czy coś przy nich poprawić?

— Doprawdy nie wiem.

— Więc panu powiem, jak to się robi, a pan niech spyta żony, czy mam rację. Otóż ja jestem wysoki i zawsze mnie przypada obowiązek zakładania i upinania firanek w oknach. Podczas tej czynności zawsze stoi się twarzą do okna, tak aby mieć większą swobodę ruchów.

— No to się zgadza. Stała twarzą do okna... — powtórzył Gorczyński. — Potem się odwróciła, żeby zejść, straciła równowagę i spadła. Na plecy. Człowiek nie piłka, podlega prawom ciężenia.

— Otóż właśnie — zauważył z triumfem Andrzej. — A mąż denatki, Henryk Jagodziński, powiada dalej, proszę, przeczytam panu: „... weszła na okno, ale stwierdziła, że nie dosięgnie: «Jaka ja jestem głupia, przecież nie dosięgnę bez szczotki», więc powiedziałem, że podam jej szczotkę, odpowiedziała, że sama weźmie i odwróciła się, zamierzając zejść z okna.

Widziałem jeszcze, jak uklękła na parapecie. Nie widziałem, co było dalej, ponieważ już nie patrzyłem w jej stronę, zainteresowałem się telewizją, bo zapowiadali na jutro program, potem usłyszałem tylko krzyk...”.

— Do czego pan zmierza, panie prokuratorze?

— Był pan w tym mieszkaniu?

— Nie.

— Ciekaw jestem, jakiej szerokości są tam parapety okienne?

— Sądzi pan...

— A pan? Gdyby ona uklękła na parapecie, wtedy nie doszłoby do żadnego wypadku — powiedział Andrzej.

— A jeśli tam są wąskie parapety?

— Sądząc ze zdjęcia, o, tego — Andrzej wskazał na jedno ze zdjęć — na nim widać fragment budynku i to, że parapety w tym domu są szerokie.

— Dlaczego pan tak uważa?

— Bo to jest stare, przedwojenne budownictwo. Proszę zwrócić uwagę, jakie wysokie są tu okna.

We wszystkich budynkach tego typu są szerokie parapety okienne, nie takie niteczki jak w blokach. Ja też mieszkam w starej,

przedwojennej kamienicy. Niech pan postara się odtworzyć sytuację i wyobrazi sobie, że stoi pan na parapecie, twarzą do okna... Stwierdza pan, że nie sięgnie do szyny i potrzebna panu szczotka, żeby nią przesunąć klamerki. Ta kobieta, jak można wywnioskować ze zdjęć, była niskiego wzrostu. Tu są wysokie okna i wysokie pokoje. Aby zejść, trzeba uklęknąć, a następnie ostrożnie spuścić nogi, szukając krzesła. Tak?... Kobieta była niska i niemłoda, nie chciała zeskakiwać, bo mogłaby się przewrócić, nie mogąc utrzymać ciężaru ciała. Tak czy nie? Więc postanowiła zejść, odwróciła się plecami do pokoju, uklęknęła — tak twierdzi świadek wypadku, jej mąż. I wtedy właśnie straciła równowagę? Parapet szeroki, upadłaby na parapet, uczepiłaby się czegokolwiek, przytrzymała framugi okiennej. W takiej sytuacji nie mogłoby dojść do wypadku.

— Logiczne — powiedział z uznaniem Gorczyński.

— Więc, zanim doszło do wypadku, Jagodzińska stała na parapecie, prawda? Zgadza się pan ze mną?

— Nie da się zaprzeczyć, panie prokuratorze.

— Lecz Jagodzińska spadła na wznak, wobec tego musiała stać plecami do podwórza. Sam pan zauważył, że człowiek nie jest piłką i podlega prawu ciężenia. Więc tu się coś nie zgadza.

— Trzeba wziąć poprawkę na zdenerwowanie jej męża. Był w szoku, wstrząśnięty gwałtowną i tragiczną śmiercią żony, nie musiał widzieć wszystkiego dokładnie.

— Oczywiście. Taką poprawkę należy uwzględnić. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego zeznał, że widział, jak ona klęka na parapecie?

— To chyba świadczy na jego korzyść. Mógł już tego nie widzieć,

ale ponieważ zawsze w podobny sposób schodziła z okna, zasugerował się, że i tym razem tak się to odbyło.

— Owszem — przyznał Andrzej. — Ale coś panu powiem. Kiedy byłem małym chłopcem, miałem wtedy jedenaście albo dwanaście lat, widziałem wypadek. Kobieta mieszkająca po drugiej strony ulicy, naprzeciwko naszego mieszkania, myła okno. Działo się to przed świętami Wielkiejnocy. Ja wyglądałem przez okno. Pasjami lubiłem przyglądać się ludziom. Mieszkaliśmy na czwartym piętrze, wysoko. Ludzie z tej wysokości wyglądają bardzo śmiesznie, są jakby skróceni i skrzywieni przez perspektywę. Babcia gniewała się na mnie, bo bała się, że jeszcze kiedyś wypadnę i będzie nieszczęście. Wychowywała mnie, ponieważ moi rodzice zginęli na krótko przed zakończeniem wojny. Ale nie słuchałem jej i gdy tylko wychodziła z domu, zaraz biegłem do okna, włożyłem na parapet, kładłem się na nim na brzuchu i patrzyłem w dół. Owego dnia była piękna pogoda, świeciło słońce, czuć było wiosnę. Nagle usłyszałem krzyk. I od tego krzyku widziałem wszystko dokładnie, chociaż trwało to ułamek sekundy. Mieszkała na drugim piętrze, więc niżej. Spadała jak ciężka bryła.

I pan wie? Ona się broniła. Machała rękami, jakby była ptakiem. I pamiętam jak jej dłonie zacisnęły się w poszukiwaniu jakiegoś oporu, tak jakby usiłowała uchwycić powietrze, uczynić z niego barierę ocalenia. Potem zbiegłem na dół, leżała twarzą do ziemi i z rękami rozrzuconymi, jakby to były skrzydła.

Dłonie miała kurczowo zaciśnięte, a paznokcie wbite w ciało. Rozumie pan, do czego zmierzam?

Gorczyński pochylił się nad zdjęciami.



— Tak, rozumiem.

— Ta kobieta ma otwarte, puste dłonie. Jeżeli nawet przyjmiemy, że jest tak, jak opowiada jej mąż, to te dłonie temu przeczą.

— Dlaczego?

— Pan mnie sprawdza? — uśmiechnął się Andrzej. — Otóż dlatego, że uczepliłaby się zasłony. Jest długa, prawda? O, jak u nas, w tym gabinecie, zasłania całą swoją długością okno, jeśli się ją zasunie.

— Ale zasłona nie była zasunięta, panie prokuratorze. Jagodzińska zamierzała przysłonić nią okno.

— Rzeczywiście — powiedział Andrzej. — Zapomniałem.

— Poniosło pana.

— Trochę — przyznał z lekką skruchą. — Niemniej jednak te otwarte dłonie mnie przerażają. Ta ich zwyczajność jest nienaturalna i zastanawiająca. A firanki? Firanek nie było?

— Tego nie wiem — odparł Gorczyński.

— Żałuję, że nie było mnie tam na miejscu, zaraz po wypadku.

— Najpierw wezwano pogotowie — wyjaśnił Gorczyński. — Lekarz pogotowia zameldował milicji.

Na miejsce wypadku pojechał kapitan Żabicki, to doświadczony oficer. No i byłem ja. Zrobili i przebadali wszystko porządnie, jak widać z załączników. Przecież to na pewno nieszczęśliwy wypadek. Poprawiała zasłonę, biedaczka, zakreśliło się jej w głowie i wypadła.

— Tak to wygląda — powiedział Andrzej. — Pozornie.

— Sądzi pan, że... samobójstwo?

— Samobójstwo? Ależ skąd! — zaprzeczył energicznie Andrzej. — Na tym zdjęciu widać, że ona ma zakrecone włosy. Jaki samobójca

będzie zakręcać włosy, a potem rzucać się z trzeciego piętra?

Nonsens. Nie podpiszę protokołu — powiedział surowo Andrzej, zdając sobie sprawę z powagi swego oświadczenia. — Absolutnie nie podpiszę protokołu. Aż do wyjaśnienia.

— Nawarzy pan sobie piwa — ostrzegł go Gorczyński.

— Być może. Zresztą i tak materiały są niepełne. Brakuje wyniku sekcji zwłok.

— Wiadomo, jaki będzie.

— Niemniej jednak wolę zaczekać. I zanim przyjdą wyniki sekcji, mam zamiar sprawdzić parę rzeczy. Pójdzie pan ze mną?

— Pójdę, oczywiście. Nie zaszkodzi mała wizja lokalna.

### Rozdział 3.

Gorczyński w ciągu kwadransa postarał się o służbowy wóz i czekał na Andrzeja przed prokuraturą.

Otworzył przed nim drzwiczki samochodu.

— Niech pan da spokój — zachnął się Andrzej.

— Pan prokurator siada z przodu. Wygodnie. Wszystko widać. A ja z tyłu. Bo bezpiecznie.

— Ze mną zawsze bezpiecznie — zaproponował kierowca. — Co pan straszy naszego prokuratora?

Ale ruszył ostro, żeby zaraz gwałtownie zahamować.

Andrzej nie znał tego kierowcy, w ogóle jeszcze mało osób znał w prokuraturze. Do tej pory zaledwie dwa czy trzy razy korzystał ze służbowego wozu. Teraz wolałby przejść się piechotą albo jechać tramwajem. Gorczyński oświadczył jednak, że nie wygrał nóg na loterii i nie ma najmniejszego zamiaru telepać się tak daleko państwowymi środkami lokomocji.

— Do kogo pan prokurator zamierza wstąpić najpierw?

Do jej męża? — zapytał Gorczyński.

— Nie. Jego wolałbym zostawić na koniec.

— Może do dozorca?

— Dlaczego właśnie do dozorca? — zdenerwował się Andrzej. Był wściekły na siebie, że wdał się w jakieś niepewne historie. Przynieśli mu papiery do podpisu, to lepiej było je podpisać i nie zawracać sobie niczym głowy.

— Dozorca też człowiek — z wyraźną kpina w głosie powiedział Gorczyński.

— Nie wątpię. Jednak przede wszystkim porozmawiajmy z tą osobą, która wezwała pogotowie.

— Sąsiedzi zawsze wszystko wiedzą najlepiej — wtrącił kierowca.

— Jesteśmy na miejscu, panie prokuratorze. To tu. Wysoka dwadzieścia. Mam poczekać na pana, czy mogę wracać?

— Niech pan wraca — powiedział Andrzej, nie zważając na protesty Gorczyńskiego. — Nie wiadomo, jak długo tu będziemy.

— Na pewno bardzo krótko, już ja się o to postaram — burknął pod nosem Gorczyński.

— Słucham? — zapytał Andrzej.

— Nie, nic. Ja tak sobie... Bardzo się cieszę, że będę współpracował z panem prokuratorem — odparł Gorczyński. — Pan należy do tych młodych gniewnych. I podejrzliwych.

— Idziemy — uciał Andrzej.

Dom, jak i cała ulica, zabudowana starymi, odrapanymi czynszówkami, był ponury. Lepsze mieszkania znajdowały się od frontu. Takie właśnie mieszkanie zajmowali Maria i Henryk Jagodzińscy. Przed wojną w oficynie gnieździły się wielodzietne rodziny robotników, teraz mieszkali tu ludzie czekający na swoją szczęśliwą gwiazdę w postaci przydziału na mieszkanie w blokach.

Podwórze było ciemnie, głębokie i jakby bez nieba. Taka typowa studnia. Ale dzieciom, bawiącym się krzykliwie w klasy, chowanego i berka, nie przeszkadzał brak nieba czy zieleni. Podwórze wylane było szarym betonem i bez skrawka trawnika.

— Gdzie mieszka pani Hanyszowa? — zapytał Gorczyński piegowatego chłopca z wielkim siniakiem nad okiem. Chłopak kopnął zawzięcie piłkę, celując między dwa pojemniki na śmieci. — Hej, chłopcze, do ciebie mówię! Gdzie mieszka pani Hanysz?

— A tam! — chłopak wskazał na poprzeczną oficynę i kopnął piłkę, ale niecelnie. — Cholera!

— Brzydko — skarcił go Gorczyński. — Nie jesteś dobrze wychowany.

— A po co? — zapytał chłopak i pognął po piłkę.

Halina Hanysz mieszkała na trzecim piętrze. Schody w oficynie były bardzo strome, wąskie, drewniane i trzeszczące.

— Rudera — powiedział Andrzej.

— Straszna rudera — wysapał Gorczyński. — Miejmy nadzieję, że niedługo zniknie. Te domy są chyba przeznaczone na rozbiórkę.

— Najwyższy czas — mruknął Andrzej.

Dzwonek przy drzwiach Haliny Hanysz nie działał. Gorczyński zastukał. Nikt nie otwierał. Wreszcie usłyszeli ciężkie westchnienie, postękiwania i kroki.

— Kogo tam diabli niosą? — zapytał zaspany głos kobiety.

— Proszę otworzyć.

— Kto tam?

— W sprawie wypadku.

— Już otwieram. Chwileczkę. Tylko coś zarzucę na siebie.

Czekali dobrą chwilę. Znów dały się słyszeć ciężkie, szurające kroki, dawno nieoliwione drzwi zaskrzypiały przeraźliwie.

— Ale męża nie ma. W robocie — powiedziała kobieta.

Wahała się, wpuścić czy nie? Stała w progu. Była tęga, nawet bardzo tęga, niechlujna, z potarganymi włosami, których nawet nie przyglądała ręką. Była w przyciasnym, brudnym, pokrytym tłustymi plamami szlafroku. Wydawała się niestara, ale wyglądała równie dobrze na lat czterdzieści kilka, jak i na trzydzieści. Była jedną z tych kobiet, które natychmiast po wyjściu za mąż wkładają szlafrok, nie czeszą się, chodzą przez cały dzień w przydeptanych pantoflach, ponieważ wydaje się im, że już wszystko w życiu otrzymały.

— To nie szkodzi, że nie ma męża. Pozwoli pani, że wejdziemy? — zapytał uprzejmie Andrzej. Czuł treść, nie wiedział, w jaki sposób powinien się zachować, jak poprowadzić rozmowę ani, co gorsza, czego właściwie chce się dowiedzieć.

— Proszę — kobieta cofnęła się. Weszli.

Było to jednoizbowe mieszkanie. W rogu przy wejściu stał kuchenny piec, który był zastawiony brudnymi, osmalonymi garnkami. Poza tym cuchnęło jakimiś zepsutymi potrawami, stęchlizną i kurzem. Przy kuchni stało wiadro z węglem i wiadro z brudami. Andrzej miał ochotę zatkać sobie nos, bo taki zaduch panował w tym mieszkaniu.

— Proszę, proszę — zapraszała kobieta, przyglądając im się ciekawie. — Proszę, niech pan siada — powiedziała do Gorczyńskiego, uważając widocznie, że to on jest szefem.

Nie było gdzie usiąść. Na stole wały się resztki jedzenia, niedojedzony chleb ze smalcem, pokruszona kaszanka, słoik z dżemem, brudne kubki i talerze. Na trzech krzesłach leżały rozrzucone części męskiej i damskiej, mocno przybrudzonej

garderoby. Tuż za stołem stało niezaścielone, szerokie małżeńskie łóżko. Nad łóżkiem wisiał bardzo kolorowy obraz, na którym różowa Matka Boska karmiła pulchne, równie różowe dzieciątko.

— Spałam — wyjaśniła Hanyszowa.

— Przepraszamy za najście — powiedział Andrzej, siadając na brzegu krzesła.

— Eee tam, jakie najście. I tak już dawno powinnam była wstać, ogarnąć się trochę. Ale mi się nie chciało — powiedziała z rozbrajającą szczerością kobieta. Odsunęła łokciem talerze i kubki ze stołu, a następnie połą szlafroka starła ceratę. — Mnie się tam nic nie chce. Najlepiej lubię spać.

— Pani nazywa się Halina Hanysz? — zapytał Andrzej.

— Tak. A bo co?

— To pani wezwała pogotowie do Marii Jagodzińskiej?

— Ano, tak było. Wezwałam — powiedziała kobieta i niespodziewanie uśmiechnęła się, jakby wezwanie pogotowia do śmiertelnego wypadku było czymś zabawnym. Miała piękne zęby, równe, białe, zdrowe, zupełnie niepasujące do jej nalanej, niedomytej twarzy o ziemistej cerze. — A ten pan — wskazała na Gorczyńskiego, który sam zrobił porządek na krześle, odkładając rzeczy na łóżko — to nie jest najważniejszy?

— Jestem bardzo ważny, proszę pani — uśmiechnął się Gorczyński, siadając przy stole na oswobodzonym krześle. — Ale jeszcze nie tak ważny, jak prokurator.

— Pani Hanysz — powiedział niecierpliwie Andrzej — niech pani opowie, jak to było?

— A co?

— Niech pani powie, co pani wie o tym wypadku?

— O wypadku? Tak naprawdę to nic nie wiem. Co tam można wiedzieć? Wypadła, zabiła się i tyle.

Andrzej zmieszał się. Jak ja mam z nią rozmawiać? Od czego zacząć? — pomyślał.

— Dawno tu pani mieszka?

— Jak wyszłam za mąż za tego tam — ruchem brody wskazała na wiszące pod różowiutką Matką Boską zdjęcie ślubne. Mężczyzna na starej fotografii w uroczystej pozie trzymał pod rękę krzepką pannę młodą — to się wprowadziłam. To jest jego mieszkanie.

— Pani męża?

— Tak. Mieszkał tu ze swoją starą, znaczy się matką — poprawiła się.

— A gdzie jest pani teściowa?

Kobieta zachichotała. Miała dość szczególne poczucie humoru.

— Umarła. Ze trzy lata temu. Najadła się grochówki na wędzonce, potem zjadła solidny kawał wędzonki, no i umarła. Osiemdziesiąt pięć lat i gar grochówki, to ją zmogło. Co mi tam! Ja nie mówiłam, żeby nie jadła, boby pomyślała, że żałuję.

— Nie lubiła pani teściowej?

— Czemu nie, lubiłam. Jak miała coś przeciwko mnie, to gadała swoje, a ja nie słuchałam. Ja nie uważam się kłócić.

— Ma pani dzieci?

— Dzieci? A po co mi dzieci? — kobieta znowu się zaśmiała. — Tylko kłopot. Spać nie można za długo, robić przy nich trzeba, jeść



dawać, po co mi to?

— A pani mąż nie chce mieć dzieci? — indagował Andrzej, zdając sobie sprawę z bezsensu swoich pytań. Gorczyński trzymał ostentacyjnie notes i bawił się długopisem.

— A bo ja wiem? — zastanowiła się Hanyszowa. — Może i by chciał, ale po co jemu taki kłopot?

— No tak — powiedział Andrzej, otarł pot z czoła, rozpaczliwie myśląc, o co ją teraz spytać. — Proszę pani, znała pani Marię Jagodzińską?

— No pewno. Wszyscy ją tu znali. Biedna kobieta.

— Dlaczego biedna?

— Przez męża. Oni tam mieszkają, naprzeciwno, tyle że mieszkanie mają ładniejsze, bo od frontu, z łazienką, to się widziało różne rzeczy. On zawsze siedział, a ona zawsze pracowała. Musiała się dobrze narobić — powiedziała z niechęcią Hanyszowa. — Rano szła do pracy, potem wracała i do późnej nocy skakała przy mężu. Ja bym tak nie skakała.

— Widziała pani wypadek? — przerwał Andrzej.

— Nie.

— A dlaczego pani wezwała pogotowie?

— Usłyszałam najpierw krzyk.

— Słyszała pani krzyk Jagodzińskiej?

— No, to chyba jej. Nikt inny by nie krzyczał, prawda? Ale nie zwróciłam na to uwagi. A potem coś plasnęło. I wtedy się przestraszyłam.

— Chwileczkę, proszę pani. Usłyszała pani krzyk. Jaki to był krzyk?

Krzyczała jakieś słowa? „Na pomoc! Ratunku!” czy coś takiego?

— E, nie. Nawet nie wiedziałam, że to krzyczy ona. Dopiero później...

— Chwileczkę — przerwał znowu Andrzej. — Chciałbym wiedzieć, jaki to był krzyk? Jezus Maria!

Ludzie! Na pomoc?

— Krzyk jak krzyk. Bo ja wiem jaki? Po prostu sam krzyk. Żadne „Jezus” ani nic — Hanyszowa wzruszyła ramionami. — Dlatego dopiero jak plasnęło coś na podwórzu, to się złąłam. Aż mi się słabo zrobiło. Podbiegłam do okna. Ciemno już było, podwórze źle oświetlone, wychyliłam się, ale nic nie widziałam. Pomyślałam sobie, że mi się coś przywidziało.

— I co pani zrobiła?

— A nic.

— Jak to nic?

— No bo pomyślałam, że coś mi się wydało. Mój chłop poszedł na nocną zmianę, sama byłam w domu, może za dużo się najadłam i z tego jakieś przywidzenia.

— Więc dlaczego pani zaalarmowała pogotowie?

— Bo potem zrobiło mi się straszno. Przestraszyłam się tak, że nie mogłam się ruszyć.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Może to diabeł albo duch krzychał? Tak dobrze to już nie pamiętam. Tyle pamiętam, że się bałam. Siedziałam i zastanawiałam się, czy wyjrzeć jeszcze raz, czy nie? A było jakoś dziwnie.

Jakaś taka cisza się zrobiła. Więc znowu podeszłam do okna, wychyliłam się nawet i Jezus Maria, jakaś ciemna plama. Popatrzyłam jeszcze raz i zobaczyłam, że leży człowiek! To narzuciłam na siebie szlafrok i zbiegłam na dół. No i ona tam leżała, to znaczy Jagodzińska.

Hanyszowa otrząsnęła się, szczelniej otuliła się szlafrokiem, jakby się jej zrobiło zimno i dalej mówiła.

— Leżała... tak jakoś dziwnie. Nieprawdziwie.

— Dlaczego nieprawdziwie?

— Nie wiem. Żyła dopiero co, widziałam ją przez okno jak chodziła po pokoju, a tu nagle koniec.

Leżała... leżała jakby nie była człowiekiem i ręce miała jakoś tak rozrzucone.

— I co dalej? — nie ustępował Andrzej. Gorceński już dawno otworzył notes i stenografował.

— Zaczęłam krzyczeć. Ludzie wylecieli, a ja pobiegłam na drugie piętro do Gołębiowskich, bo u nich jest telefon, zadzwonić po pogotowie.

— Sądziła pani, że ona żyje?

— Ja... ja nic nie myślałam. Pobiegłam zadzwonić po pogotowie. Nie, chyba wiedziałam, że ona nie żyje. Na pewno już nie żyje. Ale... ale ona miała oczy otwarte, takie jakieś... jakby jeszcze żyła.

— Jakie oczy?

— Jakby żyła — powiedziała Hanyszowa.

— Czy pani, gdy wyglądała pierwszy raz przez okno, a potem drugi, zauważyła coś w oknie u państwa Jagodzińskich?

Hanyszowa rozplotła i splotła nerwowo ręce. Spojrzała pytająco na Doleckiego.

— A co mogłabym zobaczyć? Ja przecież nie wiedziałam, że to ona wypadła. Ja nie widziałam, jak ona stała na tym oknie. Mówią, że chciała poprawić zasłonę i zakreśliło się jej w głowie.

— Usłyszała pani krzyk. Krzyk nie zwrócił pani uwagi, jedynie panią uczulił. Potem, bardzo szybko po krzyku, usłyszała pani uderzenie ciała o beton. Wtedy pani podeszła do okna i wychyliła się. Czy widziała pani męża pani Jagodzińskiej w oknie ich mieszkania?

— Pana Jagodzińskiego?

— Tak, pana Jagodzińskiego — powtórzył niecierpliwie Andrzej.

— Jego to chyba nikt nigdy dobrze nie widział — powiedziała kobieta. — On wcale z domu nie wychodził. To dziwak. Mówią, że ma nie po kolei w głowie...

— Na razie interesuje mnie, czy pan Jagodziński pojawił się w oknie, gdy pani pierwszy raz wyglądała na podwórze? Proszę się dobrze zastanowić.

— Nie, proszę pana — odparła po krótkim namyśle Hanyszowa.

— Na pewno nie?

— Na pewno. Tam nikogo nie było w oknie.

— A firanka?

— Jaka firanka?

— Niech pani wskaże mi okno państwa Jagodzińskich. Które to? Andrzej podszedł do okna. Hanyszowa stanęła za nim.

— Tamto na wprost, na samym środku.

— Dziękuję pani — powiedział Andrzej. — A jednak firanka wisi,

tylko tej nieszczęsnej zasłony nie widać. Proszę teraz, aby się pani zastanowiła, czy firanka nie była przypadkiem wyrzucona na zewnątrz okna?

Hanyszowa zamyśliła się, zmarszczyła brwi.

— Proszę pana — powiedziała po chwili — tam u nich wszystko jakby było normalnie. Puste okno — otrząsnęła się. — Całkiem puste.

— A inne okna? Ludzie zaalarmowani krzykiem, wyglądali, co się stało?

— Nikt nigdzie nie wyglądał. Nikt nie usłyszał. U mnie nie ma telewizji ani radia, no i dzieci nie krzyczą, to może dlatego dosłyszałam.

— A gdy pani drugi raz wyglądała na podwórze?

— To pamiętam dobrze — przerwała szybko kobieta — bo za drugim razem najpierw rozejrzałam się po oknach. Jeśli naprawdę ktoś krzyknął i coś tak okropnie plasnęło, to pomyślałam, że ktoś z sąsiadów powinien też być usłyszeć. Więc się rozejrzałam. Ale nic, spokojnie. A potem patrzę w dół

— leży. O Jezu!

— A w oknie Jagodzińskich w dalszym ciągu nic się nie działo?

— Tak. Nie. Zaraz. Proszę pana, jak spojrzałam drugi raz, to u Jagodzińskich nie paliło się światło.

Tak. Na pewno.

— Zgasło światło?

— Tak. W oknie było ciemno.

— U pani też zgasło światło?

— Ależ skąd! — obruszyła się Hanyszowa.

— A u innych?

— Paliło się światło tu i tam. Pewno Jagodzińscy mieli krótkie śpięcie. Chociaż nie, to nie mogło być krótkie śpięcie... — powiedziała po chwili zastanowienia.

— A co w takim razie?

— Bo zaraz się światło zapaliło.

— Jak to zaraz?

— No tak. Jak patrzyłam po oknach, czy nikt nie wygląda, u Jagodzińskich było ciemno. A potem, jeszcze nim spojrzałam na dół, zapaliło się. Tak, na pewno. Przysięgam.

— Czy potrafiłaby pani określić, jaki czas upłynął od momentu, w którym pierwszy raz, zaraz po krzyku, podeszła pani do okna, a tym drugim, gdy pani zobaczyła, że u Jagodzińskich światło jest wyłączone?

— Ile czasu? Ile czasu? — Hanyszowa usiłowała sobie przypomnieć.

— Nie patrzyłam na zegarek.

— Pięć minut?

— Ech, nie. Znacznie krócej. Bo mi się zaraz zrobiło tak dziwnie i tak się od razu przelękłam.

— Pięć minut na pewno nie?

— Na pewno nie. Zaraz, to było tak — Hanyszową wyraźnie satysfakcjonowało zainteresowanie Andrzeja, próbowała odtworzyć sytuację. — Siedziałam tu, na łóżku. Najadłam się na kolację. Za dużo, bo łapczywa jestem. Spać mi się chciało. Nagle ktoś krzyknął tak, jakby zaskowytał. O, tak, zaskowytał. Potem plasnęło. Podeszłam do okna i popatrzyłam, ale wszędzie było spokojnie.

Wróciłam z powrotem na łóżko, ale się nie położyłam. I od razu pomyślałam, że coś jest nie w porządku i że chyba mam jakieś zwidy. Przestraszyłam się tak, aż się spociłam. Aż mnie zemdliło. I znowu do okna. No, ile to mogło zająć czasu?

— Około dwóch minut. Najwyżej. Czy w ciągu dwóch, nawet trzech minut ktoś zdążyłby zreperować popsute korki?

— E tam, proszę pana, widać, że pan się nic nie zna na korkach. Sztuka to nie jest, ale jak zgaśnie światło, to trzeba zapalić świecę albo latarkę, poszukać tego zepsutego korka, wykręcić, nawinąć drucik, jeśli jest pod ręką, albo dopiero poszukać drucika. W ciągu trzech minut nie da rady.

— A gdy zapaliło się światło, pan Jagodziński wychylał się z pewnością przez okno? Może krzyczał o pomoc?

— Nie, proszę pana. Ani razu nie widziałam pana Jagodzińskiego w oknie. On zszedł do żony, na podwórze, dopiero jak przyjechało pogotowie. Mówią, że zemdłał. Pewno, ja tam też bym zemdlała, gdyby tak na moich oczach...

— Dziękuję pani. I do widzenia. Proszę pozdrowić męża — powiedział Andrzej.

— Bardzo pan miły — uśmiechnęła się Hanyszowa. — Chyba jednak tu posprzątam — dodała niepewnie.

— Do widzenia pani. Trochę posprzątać nie zawadzi — z uśmiechem odparł Andrzej. Hanyszowa była rozbrajająca w swojej szczerości.

Na półpiętrze podniecony Andrzej złapał Gorczyńskiego za ramię.

— Słyszał pan? Dlaczego mąż Marii Jagodzińskiej — a nikogo

innego poza nim nie było w ich mieszkaniu — zgasił światło, a potem je zapalił? Żadnej awarii na linii, a więc co? Z jakiegoś powodu wywaliło korki u Jagodzińskich i dlatego zgasło? Naprawa korków zajęłaby sporo czasu.

Trudno zresztą wyobrazić sobie, że ktoś zaraz po gwałtownej śmierci bliskiej osoby, która nastąpiła na jego oczach, najspokojniej w świecie zabiera się do reperowania korków. I dlaczego to okno było takie puste? Nienaturalnie puste i milczące?

Jak zachowuje się człowiek, który był świadkiem tragicznej śmierci żony? Nie wzywa pomocy?

Chociaż wszelka pomoc jest zbyteczna to i tak człowiek w pierwszym odruchu podbiega do okna, wychyla się i krzyczy: „Na pomoc, ratunku, ludzie!”.

— Mógł być w szoku — zauważył spokojnie Gorczyński.

— Co takiego?

— No, mógł być w szoku, panie prokuratorze. Nie musiał wcale krzyczeć ani rozpaczać tak, aby wszyscy go dookoła słyszeli. Ludzie zachowują się różnie i nie ma tu jednego schematu ani reguły.

On mógł zemdleć, jak mówi Hanyszowa lub zachowywać się zupełnie niedorzecznie, wbrew wszelkiej logice.

— Jednak będąc, jak pan mówi, w szoku zgasił światło, a potem je zapalił?

— Panie prokuratorze, ja naprawdę nie chcę pana zniechęcać. Uważam, że zrobił pan dobrze, nie podpisując tego protokołu — powiedział poważnie Gorczyński. — Ale dlaczego on gasił, a później zapalał światło, to już rzecz pana prokuratora. Właśnie pan musi



ustalić i znaleźć wiarygodną odpowiedź na pytanie: dlaczego? I jeszcze jedno. Uważam, że rzeczywiście nienaturalne jest puste okno, ale chciałbym uprzedzić, aby przynajmniej na razie nie wyciągać żadnych wniosków, ponieważ mogą okazać się pochopne.

## Rozdział 4.

Drzwi otworzyły się tak nagle i niespodziewanie, że nie mógł to być zwykły przypadek. Czekano tu na nich. Gdy przechodzili przez podwórze, Andrzej przypomniał sobie, że szukając mieszkania Haliny Hanyszowej w oknie na parterze zza różowej firanki mignęła twarz kobieca. Potem firanka szybko opadła. Kobieta musiała ich śledzić, a potem czekała pod drzwiami.

— Właśnie szłam poszukać panów — powiedziała kobieta. W korytarzu było ciemno, Andrzej nie mógł stwierdzić, czy to ta sama kobieta zza różowej firanki, bo widział jedynie zarys postaci, która wydała mu się bardzo wysoka, prawie olbrzymia. Ale głos brzmiał przyjemnie, łagodnie modulowany.

— Proszę za mną. Tylko ostrożnie, ponieważ stoi tu wiele gratów.

Gorczyński potknął się o jakąś skrzynię i zaklął szpetnie.

— Nie można zapalić światła?

— Kontakt jest popsuty już od trzech lat — wyjaśniła.

Prowadząca ich przez długi korytarz kobieta przystanąła na moment, jakby się czegoś obawiając lub nasłuchując, następnie ostrożnie pchnęła drzwi. Znaleźli się w progu najdziwaczniejszego pokoju, jaki kiedykolwiek Andrzej Dolecki widział w swoim życiu, a sądząc po osłupiałej minie Gorczyńskiego, i ten również nigdy czegoś podobnego nie oglądał.

Był to duży pokój, jasny, pełen lekko różowego światła, przypominający raczej skład muzealny niż mieszkanie. W wysokich

oknach wisały firanki z różowej, przejrzystej tkaniny, ściany pokoju wybite lekko już spłowiałym różowym kretonem lub satyną. Piękne, empiryczne mebelki pokrywały różowe obicia, nad olbrzymim stylowym łóżkiem różowił się wysoki baldachim. Jedyne rozłożyste palma, stojąca na marmurowym postumencie, była, o dziwo, zielona.

— No tak — powiedział ni w pięć, ni w dziesięć Gorczyński i prawie z rozpaczą spojrzął na Andrzeja.

— Panowie wybaczą — powiedziała kobieta. — Kocham różowy kolor. Może trochę go za dużo, ale każdy z nas grzeszy jakimiś słabostkami.

Mogła mieć jakieś siedemdziesiąt kilka lat, nie więcej. Bardzo wysoka, przewyższała Andrzeja, który nie należał do niskich, o pół głowy. Przygarbiona, może ze względu na wiek lub z powodu swego wzrostu, chuda, koścista, miała na sobie czarną suknię sięgającą nieomal do ziemi. Suknia, uszyta wiele lat temu spływała w talii szeroką krynoliną, szeleszczącą przy każdym ruchu.

— Poza tym jest to kolor ochronny przeciwko pająkom — powiedziała kobieta, pochylając się nad Andrzejem. I ścisząc głos, dodała — pająki się go boją.

Wariatka — pomyślał Andrzej. Zobaczył nad sobą jej twarz, tak samo niesamowitą jak cały ten pokój. Wydawało mu się, że gospodyni, stojąca w swojej złowroziej, głębokiej czerni na tle różowych dekoracji, pochodzi z jakiejś innej epoki i przypomina raczej widmo czy upiora, a nie żywą istotę. Jej twarz była kredowobiała, miała ostro wystające kości policzkowe, obciągnięte wysuszoną skórą, mały, wąski nos, bezkrwiste usta i ogromne oczy,

pałające, bardzo piękne.

— Panowie spoczna — zaprosiła ich kobieta, wskazując na różowe krzesła. — I proszę się nie obawiać, nie jestem wariatką.

Gorczyński rozkaszał się i odchrząknął.

Wariatka — raz jeszcze pomyślał Andrzej, ale uprzejmie zaprotestował.

— Ależ skąd, proszę pani.

— Pan jest jeszcze bardzo młody i nie posiadał dotąd sztuki obłudy — uśmiechnęła się lekko kobieta i uważnie spojrzała na Andrzeja, który zmieszał się, poczerwieniał i pomyślał już teraz z całą pewnością, że to osoba chora umysłowo. — Sztuka obłudy przydaje się bardzo w życiu i szybko jej się pan nauczy, bo nie należy do najtrudniejszych. O wiele trudniej jest myśleć i mówić prawdę. Pan jednak musi jeszcze popracować nad swoją twarzą, która zdradza pańskie myśli. Dlaczego panowie nie siadają?

— Pani pozwoli, że wyjaśnię... — zaczął Andrzej, ale kobieta przerwała.

— Chciałabym złożyć zeznanie.

— Szanowna pani wybaczy — wtrącił Gorczyński — lecz my mamy niezbyt wiele czasu. Zresztą, chcemy porozmawiać ze wszystkimi lokatorami po kolei, więc z pewnością i pani będzie mogła wyłożyć nam niewątpliwie interesujący punkt widzenia.

— Jeżeli panowie zamierzacie rzeczywiście przeprowadzić rozmowy ze wszystkimi mieszkańcami tego domu, w takim razie chyba nie zrobi to różnicy, że zaczniecie ode mnie? — powiedziała kobieta.

— Proszę usiąść. A pan — zwróciła się do Gorczyńskiego — sztukę obłudy opanował doskonale.

Gratuluję.

Gorczyński rozkaszał się gwałtownie.

— Chciałabym teraz wyjaśnić, łaskawy panie — ciągnęła dalej niezrażona — że ja nie zamierzam przedstawiać żadnego punktu widzenia, jedynie pragnę podać kilka faktów. Między punktem widzenia, nawet najbardziej słusznym, a tym, co zwykliśmy nazywać faktami, istnieje zasadnicza różnica. Punkt widzenia to subiektywizm, fakty zaś są empiryczne i sprawdzalne, a więc obiektywne.

Musieli usiąść. Andrzej pomyślał, że kobieta wcale nie jest taką wariatką, na jaką wygląda, ale przeciwnie, zachowuje się spokojnie, z godnością, bez żadnej afektacji, no i przede wszystkim mówi logicznie.

— Prokurator Dolecki — przedstawił się Andrzej. — A to jest pan Kazimierz Gorczyński, mój zastępca.

— Miło mi panów poznać — oświadczyła kobieta, dotknęła ręką broszki z ametystem, przypiętej do sukni. — Nazywam się Eliza Hoffmann. Przez dwa «f» i dwa «n», w odróżnieniu do zwykłych Hofmanów.

— No tak — powiedział po raz trzeci Gorczyński.

Wybrali sobie ze spisu lokatorów po Halinie Hanysz nazwisko pani Elizy Hoffmann, Gorczyńskiemu bardzo się ono spodobało, w dodatku dozorca, zapytany o lokatorkę, powiedział zupełnie serio, że od pani Hoffmann można się zawsze dużo dowiedzieć, ponieważ jest ona niezwykle mądrą kobietą. I nie zauważyli w tym stwierdzeniu ironii.

— Więc słuchamy panią? — powiedział Andrzej, który owe dwa „f” i dwa „n” rozśmieszyły i z trudem utrzymywał powagę.

— Każde nazwisko powinno być zawsze wymawiane jak najstaranniej — oświadczyła starsza pani.

— Nie cierpię, kiedy przekręca się nazwiska. Dowodzi to braku szacunku.

— Oczywiście — zgodził się posłusznie Andrzej.

— Przechodzę do meritum sprawy. Otóż on był w butach — powiedziała Eliza Hoffmann.

A jednak pomyłona — pomyślał Andrzej. — No, prędko się stąd nie uwolnimy.

— Był w butach? Przepraszam panią, ale nie rozumiem. Gdyby pani była uprzejma sprecyzować jaśniej, o co chodzi? — zapytał.

— Sprecyzowałam niejasno? — zdziwiła się Eliza Hoffmann. — Pan też tak uważa? — zwróciła się do Gorczyńskiego.

— Pani wybaczy... — odparł kurtuazyjnie Gorczyński.

Eliza Hoffmann nerwowo poruszyła palcami. Miała ładne, długie palce i wypielęgnowane dłonie.

— Przepraszam. Widziałam panów na podwórzu. Weszliście do klatki schodowej, na której mieszka pani Hanysz. Ona pierwsza wezwała pogotowie, ponieważ słyszała krzyk i upadek ciała. Sądziłam więc, że zostało otwarte śledztwo w sprawie tego wypadku. Mieszkam na parterze i moje dwa okna wychodzą wprost na miejsce, gdzie upadło ciało, stąd miałam prawo przypuszczać, że panowie zechcą również mnie odwiedzić. Wolałam jednak na wszelki wypadek poszukać panów. Wydawało mi się, że fakt, jaki podałam, będzie miał

istotne znaczenie. Jeżeli nie ma, w takim razie najmocniej przepraszam.

Andrzejowi zrobiło się nagle żal starej kobiety.

— Dlaczego pani uważa to za ważne?

— Dlaczego uważam za ważne? Ależ, panie prokuratorze! — zachnęła się Eliza Hoffmann. — A pan widział mieszkanie państwa Jagodzińskich?

— Nie. Nie byłem tam jeszcze.

— Muszę więc wyjaśnić. Otóż w ich mieszkaniu parkiet lśni jak lustro.

Gorczyński poruszył się niespokojnie, bo miał już tego wszystkiego dosyć. Ale Andrzej zrozumiał, o co chodzi Elizie Hoffmann. Dozorca miał rację, twierdząc, że jest mądrą kobietą.

— Widzę, że pan zaczyna chwytać — uśmiechnęła się starsza pani. — Podłoga lśniąca jak lustro.

— Tak. U mnie w domu też są takie podłogi. Zupełne przekleństwo. Trzeba w przedpokoju zmieniać buty na miękkie pantofle, gości przyjmować też w miękkim obuwiu, nawet do smokingu, inaczej goście nie mają prawa wejść do pokoju. Podsuwa się im takie okropne muzealne łapcie, a przyjaciele domu, znając zwyczaje, zrezygnowani przynoszą ze sobą swoje domowe pantofle. Nic nie można rozlać, nie można zaszurać krzesłem, bo, nie daj Boże, podłoga się porysuje. Najlepiej przypiąć sobie skrzydła i fruwać.

— Właśnie — rozpromieniła się Eliza Hoffmann. — A on zszedł na podwórze do ciała żony w butach. Do tego przysięgnę, że były to buty nowe, prawie nienoszone.

— Dlaczego?

— Ponieważ bardzo skrzypiały. Poza tym, wszyscy wiemy o tym, że pan Jagodziński jest dziwakiem.

Od wielu lat w ogóle nie wychodził z domu.

— Pani znała dobrze panią Marię?

— Och, nie. Nie mam żadnych znajomych. Absolutnie nie utrzymuję z nikim towarzyskich kontaktów.

Żyję od wielu lat samotnie. Lecz lubię ludzi i wysłuchuję tych, którzy okazują mi zaufanie. Jeżeli potrafię doradzić, doradzam, i to wszystko. Ze wszystkich lokatorów tego domu panią Marię Jagodzińską znałam chyba najmniej. Wymieniałam z nią ukłony i dwa razy byłam u niej w domu.

Dlatego sądziłam, że buty są dowodem obciążającym.

— Henryka Jagodzińskiego pani zna?

— Nie, panie prokuratorze. O ile wiem, jego nikt nie zna. Może dawniej, gdy jeszcze wychodził z domu. Lecz później ludzie po prostu przestali się nim interesować, zapomnieli o nim. Ja go też zobaczyłam po raz pierwszy od wielu lat, gdy szedł do ciała żony.

— A gdy była pani u pani Jagodzińskiej, nie widziała wówczas pani jej męża?

— Nie. Pierwszy raz nie weszłam dalej niż za próg drzwi, a drugi raz zobaczyłam tylko plecy tego pana, który szybko wyszedł do kuchni.

— To niegrzeczne — zauważył Andrzej.

— Jego sprawa. Sądzi się o nim powszechnie, że jest dziwakiem.

— A pani co o nim myśli?



— Ponieważ go podejrzewam, wolałabym nie wydawać sądów. Mogą być subiektywne. Faktem jest, że włożył buty.

— O co go pani podejrzewa?

— O co? Pan chyba lepiej wie ode mnie, inaczej by pan nie prowadził śledztwa — odparła dyplomatycznie.

— Ja nie prowadzę śledztwa, jedynie wyjaśniam kwestie wątpliwe.

— Lecz jeżeli pan tych kwestii nie wyjaśni, śledztwo zostanie wdrożone, nieprawdaż? Czy sądzi pan, że buty wyjaśniają panu owe kwestie?

— Myślę, że pani miała rację, twierdząc, że jest to fakt, o którym warto wiedzieć.

— Dziękuję — Eliza Hoffmann skłoniła lekko głowę. — Przypuszczam, że teraz na pewno będzie pan miał kilka pytań. O ile potrafię, chętnie odpowiem.

— Zgadła pani — przytaknął Andrzej.

Gorczyński ze złością przerwał wymianę wzajemnych grzeczności.

— Mam zapisywać, panie prokuratorze?

— Oczywiście. Proszę pani, czy pani słyszała krzyk?

— Nie.

— A upadek ciała? Leżało dokładnie naprzeciwko pani okien.

— Również nie słyszałam. W moim wieku ludzie szybko się męczą. Kładą się spać, mówiąc kolokwialnie, razem z kurami. Natomiast obudził mnie przeraźliwy krzyk pani Hanysz. Krzyczała: „Jezus, nie żyje, na pomoc!”. Wtedy zerwałam się z łóżka, narzuciłam na siebie szlafrok, podbiegłam do okna, zobaczyłam Hanyszową, jeszcze kilka zaalarmowanych krzykiem osób i ciemny kształt, leżący na betonie. I

tak jak stałam, w szlafroku i miękkich pantoflach, wybiegłam na podwórze. Ona, pani Maria Jagodzińska, rzeczywiście już nie żyła. Ludzie pokazywali na okno, z którego wypadła, przerażeni krzyczeli i coraz więcej i więcej się ich schodziło. Pani Anna Kowalska na widok ciała zaczęła histerycznie krzyżeć, a potem płakać. Ktoś wołał: „Sprowadzić lekarza!”. Pani Hanyszowa pobiegła zatelefonować po pogotowie. A ja byłam zdumiona.

— Dlaczego?

— Ponieważ w tym ogólnym podnieceniu, krzykach i lamentach nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Na co, proszę pani?

— Na to, że przy ciele Marii Jagodzińskiej zabrakło jej męża.

— Pytano o niego?

— Nie. Nie pamiętano o nim. O nim, jak już panu mówiłam, ludzie zapomnieli dawno. Wiedzieli, że ktoś taki jest, ale był wyłączony z życia, więc nikt się nim nie interesował. Myślę, że dlatego i w tamtym momencie jego przedłużająca się nieobecność nikogo nie zaniepokoiła.

— A kiedy pani o nim pomyślała?

— Natychmiast, gdy zobaczyłam ciało. Popatrzyłam w górę, okno było puste. Przecież nie mogła wypaść tak sobie, po cichu, niepostrzeżenie. Pan jej nie widział zaraz po śmierci, upadła na wznak, oczy miała szeroko otwarte. W oczach zobaczyłam zastygłe przerażenie połączone ze zdumieniem, jakby wciąż jeszcze żywe, tak jakby — chociaż już umarła wciąż była czymś zdumiona, śmiertelnie przerażona, wyglądała tak jakby krzychała: Za co? Dlaczego? No i

dłonie Marii... W pierwszej chwili, oczywiście, nie zwróciłam na nie uwagi, byłam zbyt przejęta tym, co się stało, chociaż podświadomie wzrok i pamięć notowały sobie już pewne obrazy. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam, że dłonie Marii Jagodzińskiej bardzo mnie niepokoiły. Były takie bezradne, bezbronne, takie zrezygnowane, bo takie... puste. Niczego nie próbowała się uchwycić? Poddała się bez walki?

Zastanawiające, prawda? No i mąż Marii... powinien był przybiec ten jej mąż, a jego wciąż nie było. Nie wiem, mogę się mylić i obym się myliła, ale... — pani Hoffmann przerwała.

— Proszę, niech pani mówi dalej, to jest bardzo interesujące — poprosił Andrzej. Znudzenie już zniknęło z twarzy Gorczyńskiego, zaniechał też ostentacyjnego ziewania.

— Wszyscy oczywiście uważali — jeszcze nim przyjechało pogotowie, a później milicja — że to nieszczęśliwy wypadek. Było to najprostsze i najwygodniejsze wytłumaczenie tego, co się stało. Ale te dłonie umarłej. Bezwładne nie z powodu śmierci. Bezbronne nie z powodu śmiertelnego bezwładu. Dłonie otwarte, i te palce, które na niczym nie próbowały się zamknąć. Jak to możliwe?

Nie wiedziałam, co ona robiła na oknie, nie ulegało wątpliwości, że musiała wejść w jakimś celu na to okno, jeśli z niego wypadła. Wejść i stanąć na parapecie. Gdyby siedziała lub klęczała — nie wypadłaby. Tu są bardzo szerokie parapety. Nie mogła wychylić się aż tak głęboko, aby wypaść.

Nikt rozsądny takich rzeczy nie robi. Po co zresztą miałyby się aż tak wychylać? Nie jest dzieckiem, które ciekawe widoku ulicy czy

tego, co się dzieje w mieszkaniu o piętro niżej, kładzie się na parapecie i wychyla do połowy ciała. W takiej sytuacji można stracić równowagę. Zresztą, to są wszystko abstrakcyjne sytuacje. Otóż, weszła na okno i stała na nim. Ważne jest jeszcze, jak stała: twarzą do wnętrza pokoju czy twarzą do podwórza? Moim zdaniem, stała plecami do podwórza. Bez względu jednak, czy stała tak, czy inaczej, nie wyobrażam sobie, aby po prostu wypadła, nie próbując się czegoś uchwycić. Zwłaszcza, że tu są okna starego typu i pośrodku każdego znajduje się pionowa futryna. Nie tak łatwo wypaść, trzeba się bardzo o to postarać. No, a potem zszedł na dół pan Jagodziński. I wtedy naprawdę się przeraziłam, bo zanim zszedł, to w ich mieszkaniu zgasło światło.

— Zgasił światło przed zejściem na dół? Skąd pani to wie?

— Widziałam. Obserwowałam raz po raz ich okno. Przyjechało pogotowie na sygnale. Pan wie, jaki ten sygnał jest przeraźliwy? Wtedy właśnie zgasło światło, i zaraz, nim lekarz zdążył podejść do ciała, pojawił się on. Szedł powoli. Jakby niepewnie. Jakby niepewnie stawiał kroki. Jak ktoś, kto odzwyczaił się od chodzenia. Zbliżył się, wszedł w krąg światła i wtedy spostrzegłam, że jest w butach. I usłyszałam ich skrzypienie.

— Był ubrany jak do wyjścia?

— Nie. Miał na sobie stary szlafrok. Związany paskiem. Spod szlafroka widać było spodnie, ciemne, prawdopodobnie czarne, ale nie przysięgnę. Trudno przypuścić, aby siedział wieczorem we własnym domu, w którym jest tak zadbana podłoga, w szlafroku i nowych, nierozchodzonych butach, które z pewnością są niewygodne.

Zwłaszcza, że pan Jagodziński jest człowiekiem chorobliwie otyłym, a jak każdy otyły człowiek w takim dusznym, upalnym dniu, z pewnością cierpi na złe krążenie. Poza tym, od szeregu lat nie używał butów, bo przecież nie wychodził na ulicę. Ale założmy, że miał dziwny zwyczaj noszenia twardego obuwia. Musiałby to być zwyczaj nader uciążliwy, bo proszę sobie wyobrazić nogi człowieka nieużywającego w ogóle ruchu, otyłego, wieczorem po upalnym, dusznym dniu?

— Wtedy puchną nogi?

— Tak. Wtedy puchną nogi. Chodzenie w butach po domu sprawiałoby dużą trudność. Prosty wniosek, schodząc do ciała żony, włożył buty. A wcześniej zgasił światło. Aż taki oszczędny? Żona wypadła z trzeciego piętra, zaś on gasi światło? Tak po prostu. Tak zwyczajnie. Gasi i już. Dziwne, prawda? Jeszcze bardziej dziwne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że pan Jagodziński od lat nie opuszczał mieszkania, więc trudno przyjąć, iż zgaszenie światła było odruchem automatycznym.

Zgadzą się panowie ze mną?

— Bardzo trafne spostrzeżenia — stwierdził Andrzej.

— A jak się zachował mąż denatki przy zwłokach?

— Rozpacz przyjmuje tak różne postaci, że nie ośmielałabym się go sądzić.

— Teraz pani chce mnie uczyć obłudy?

Eliza Hoffmann roześmiała się.

— Widzi pan, to jest kobieca niekonsekwencja. Nie chciałabym rzucać oskarżeń, a cały czas to robię i do tego zmierzam.

Rzeczywiście, nieładnie. Trzeba się na coś zdecydować. Więc pan Jagodziński był bardzo opanowany. Spokojny. Niezwykle blady. Drżały mu ręce, ale nie krzyczał, nie rozpaczał, sprawiał wrażenie człowieka, który nie rozumie, co się stało. Widzi pan, panie prokuratorze, staram się naprawdę być obiektywna.

— Mogłaby pani bliżej określić, jak wyglądał jego szlafrok? — spytał Andrzej.

— Stary szlafrok koloru chyba ciemnobordowego albo wiśniowego. Wypchane kieszenie i łaty na łokciach.

— Ile pani ma lat? — wtrącił nagle Gorczyński.

— Siedemdziesiąt dwa. Zapewne pana interesuje jeszcze, czy używam szkieł i jak mogę określić kolor szlafroka, jeżeli parę minut wcześniej powiedziałam, że nasze podwórze jest kiepsko oświetlone? Odpowiem, nim mnie pan zapyta. Otóż chociaż liczę sobie ponad siedemdziesiąt lat, nie korzystam ze szkieł, bo mam bardzo dobry wzrok. Zdarzają się czasem, niesłychanie rzadko, takie wybryki natury. Zresztą, zawsze cieszyłam się cudownym zdrowiem, nigdy nie chorowałam. Starość przyniosła mi zgarbienie pleców, ale od dziecka starałam się wydawać mniejsza, niż jestem i garbiłam się. Jeżeli chodzi o kolory, kiedyś sądziłam, że posiadam talent malarski i nawet skończyłam Akademię Sztuk Pięknych. Ale ponieważ nie udało mi się wyjść poza zwykłą przeciętność, zaniechałam tej zabawy. Potrafię jednak po dziś dzień odróżnić z dużym prawdopodobieństwem każdy odcień każdego koloru nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach. Czy moje wyjaśnienia zadowolają pana?

— Owszem — odparł zmieszany Gorczyński.

— Chciałabym jeszcze tylko dodać, panie prokuratorze — Eliza Hoffmann wstała, dając tym znak, że uważa rozmowę za skończoną — iż w twarzy Henryka Jagodzińskiego spostrzegłam pewien brak.

Nie umiem panu dokładniej ani określić, ani sprecyzować, czego brakowało i nie wiem, dlaczego odniosłam takie wrażenie. Ale wydawało mi się, że czegoś tej twarzy brakuje. To jest enigmatyczne i nie musi pan mego ostatniego spostrzeżenia brać pod uwagę.

— Jestem pani bardzo wdzięczny — powiedział Andrzej.

— Nie ma za co. A wychodząc, proszę uważać na skrzynie w korytarzu. Przyznam się panu szczerze, że to ja specjalnie popsułam kontakt, ponieważ lękam się pajęczyn. Kiedy jest ciemno, nie widać pajęczyn i nie płoszy się pajaków. A pająki są groźne i wszędzie jest ich bardzo dużo — stara dama wstrząsnęła się z obrzydzeniem, a jej oczy rozszerzyły się nienaturalnie. Górując wzrostem nad Andrzejem, pochyliła się nad nim lekko, cała w czerni i w różowych refleksach słońca, nagle z powrotem niesamowita, pobladła. — Są wszędzie, ale nie lubią różowego koloru.

— Kto nie lubi? — zapytał Gorczyński.

— Pająki — odparła Eliza Hoffmann i znowu się wzdrygnęła.

Jednak nie jest zupełnie normalna — pomyślał Andrzej.

— Oczywiście, proszę pana — powiedziała, jakby odpowiadając na jego myśl — w pewnym sensie tak. Na pewno tak. Ale nie oznacza to, że jestem szkodliwa. Być trochę nienormalnym to nie takie straszne ani niebezpieczne. Wszystko jest kwestią wyobraźni.

## Rozdział 5.

— No, no — Gorczyński otarł pot z czoła i westchnął z wyraźną ulgą, gdy tylko znaleźli się na podwórzu. — Nie ulega wątpliwości, że ta pani nie wszystko ma w głowie poustawiane jak należy.

— Może nie jest aż tak źle — powiedział Andrzej.

Poczuł sympatię, a nawet uznanie dla Elizy Hoffmann, która stwierdziła, że wszystko jest kwestią wyobraźni. Przechodząc przez długi i mroczny korytarz, czuł nieomal namacalnie lepkie ciała pajaków i chętnie schyliłby głowę, żeby nie natrafić na pajęczynę. Wydało mu się, że słyszy, jak pajęczyny kołyszą się cicho, zwisając z sufitu, jak gęstnieją, oplatają wszystko dookoła, ściany, drzwi, i oto znajduje się w samym środku pajęczej pułapki, bez możliwości ucieczki.

— A najgorsze — ciągnął rozdrażniony Gorczyński — że prawie uwierzyłem w te jej pająki. Ohyda.

— To tylko kwestia wyobraźni — roześmiał się Andrzej.

— Dziękuję. Panie prokuratorze, czy pan uważa, że ta niesamowita kobieta mówi prawdę? A jeśli zmyśla? Spotykałem wiele podobnych osób, które wymyślały przepiękne historyjki, historyjki obiektywizowały się w ich bujnej wyobraźni i potem następowała absolutna pewność, przekonanie, że rzeczywiście tak było. Po prostu — ulegały autosugestii.

— Jestem głęboko przekonany, że pani Eliza Hoffmann w swoich wypowiedziach była zwięzła i rzeczowa, a jej spostrzeżenia zgadzają



się z moimi. Zresztą zaraz sprawdzimy kilka rzeczy.

Zobaczymy, jakiego koloru ma szlafrok pan Jagodziński i czy po domu chodzi w butach, które skrzypią, czy też w miękkich pantoflach.

— Znowu na trzecie piętro — jęknął Gorczyński, wspinając się po schodach.

Przed drzwiami mieszkania Jagodzińskich leżała wycieraczka tak czysta, jak gdyby nikt z niej nigdy nie korzystał. Klamka przy drzwiach lśniła, a drzwi, pokryte jasnobrązową farbą olejną, wyglądały jak świeżo pomalowane.

Zadzwonili raz i drugi. Nikt jednak nie podchodził do drzwi.

— Wyszedł? — zastanowił się Gorczyński.

Zadzwonili jeszcze raz. Potem jeszcze raz po raz.

— Kto tam? — zapytał stłumiony głos tak niespodziewanie, że Andrzej drgnął, gdyż nie usłyszał kroków.

— Z prokuratury.

— Z prokuratury? A w jakiej sprawie?

— Proszę otworzyć! Zaraz się pan dowie, w jakiej sprawie — zdenerwował się Gorczyński.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Ktoś w tym domu dbał o zawiasy.

W progu stał wysoki, bardzo otyły mężczyzna. Oczy miał jasne, wypukłe, prawie bez koloru, twarz zaś była nalana, z podwójnym podbródkiem. Miał na sobie szlafrok koloru bordo. Z wyłogami obszytymi wypłowiałym jedwabiem o ton jaśniejszym. Kieszenie były duże i obszerne, mocno wypchane.

— Słucham? — zapytał mężczyzna, a w jego głosie dała się wyczuć nuta nieukrywanej wrogości. — Dlaczego panowie mnie niepokoją?

— Pan Henryk Jagodziński? — oficjalnym tonem zapytał Gorczyński.

— Tak.

— Mąż Marii Jagodzińskiej?

— Tak.

— I jeszcze ośmiela się pytać pan, w jakiej sprawie?

— A nie mam prawa?

— Oczywiście, posiada je pan. Prawo jest cały czas po pana stronie i dlatego chcielibyśmy wejść.

Czy mamy ze sobą rozmawiać na klatce schodowej? — wtrącił Andrzej.

— A skąd mam pewność, że jesteście panowie z prokuratury? — nie ustępował Jagodziński.

— Proszę — Andrzej wyjął z kieszeni legitymację i pokazał Jagodzińskiemu. Ten wziął do ręki i przeczytał.

— W porządku. Proszę do środka.

Korytarz, wyłożony chodnikiem, tłumiał kroki. Jagodziński miał na nogach miękkie, domowe pantofle.

Szlafrok na łokciach był łątany. Były to dwie duże, skórzane, o wiele ciemniejsze łąty, czyli pani Eliza Hoffmann dotąd nie zawiodła.

W pokoju wszystko lśniło czystością. Parkiet barwy miodu błyszczał w słońcu, odbijając jak w lustrze kształty standardowych mebli.

— Nie rozumiem celu tej wizyty — odezwał się nagle Jagodziński, nie siadając ani nie prosząc, żeby usiedli. — Przecież chyba wszystko

jest jasne. Żeby tak nachodzić nieszczęśliwego człowieka... — głos mu się załamał, jakby miał zamiar się rozplakać.

— Pragniemy ustalić pewne szczegóły i nie potrafimy tego zrobić bez pana pomocy — oświadczył Andrzej, przyglądając się uważnie Jagodzińskiemu. Czego, według słów pani Elizy Hoffmann, mogła być pozbawiona twarz tego człowieka? Twarz jak twarz... Może zbyt blada, zbyt rozlana, raczej niesympatyczna.

— Ale przecież milicja, zaraz po wypadku, pytałem...

— O co pan pytał? — rzucił ostro Andrzej.

— Nie rozumiem — zająknął się Jagodziński. — Doprawdy, proszę pana, nie rozumiem, czego jeszcze można ode mnie chcieć?

— O co pan pytał milicję zaraz po wypadku?

— Pytałem... — zawahał się, potem szybko i pewnie dokończył. — Pytałem, kiedy mogę przyjść po ciało mojej żony i czy konieczna jest sekcja?

— Ach, tak — mruknął Andrzej, bez pytania odsunął krzesło, siadł i wskazał Jagodzińskiemu miejsce naprzeciwko siebie. — Niech pan siada. Nie będziemy przecież rozmawiali na stojąco. Niezbyt wygodnie. I dla pana, i dla nas.

— Proszę mi wybaczyć. Zachowuję się niewłaściwie, ale po takim nieszczęściu trudno ode mnie wymagać, abym dbał o formy towarzyskie — Jagodziński ciężko usiadł i okrył połamami szlafroka grube kolana.

— Wyjaśnił pan, że pytał o ciało żony. I o sekcję.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Jestem prokuratorem, a nie kapitanem. Wydawało mi się, że

dość długo i uważnie studiował pan moją legitymację służbową — stwierdził oschle Andrzej. Co za dziwny typ ten Jagodziński, dlaczego nazwał go tak służbiście — po wojskowemu — kapitanem?

— Przepraszam, taki jestem wytrącony z równowagi — Jagodziński potarł drżącymi rękami czoło. — Wszystko mi się miesza, płacze. Nie wiem, czy będę mógł panom w czymkolwiek pomóc. Może lepiej za kilka dni, jak się trochę uspokoję, wrócę do równowagi?

— Przed chwilą, rozmawiając z nami w drzwiach, wykazał pan duże opanowanie i zupełny brak zdenerwowania — uciął Andrzej. — Chyba że woli pan pofatygować się do mnie, do prokuratury?

Twarz Jagodzińskiego stężała, zmrużył oczy.

— Do prokuratury?

— Tak.

— Bardzo źle się czuję, jestem ciężko chory — powiedział Jagodziński i potarł znowu czoło. — Ja naprawdę nie bardzo rozumiem, co się do mnie mówi, proszę mi nie brać tego za złe. Wczoraj straciłem żonę, jedyną bliską mi osobę, nikogo poza nią nie mam, jestem sam, zupełnie sam i chory.

— Bardzo panu współczuję — powiedział Andrzej głosem niewyrażającym współczucia. Czuł antypatię do tego mężczyzny, poza tym odnosił wrażenie, że odgrywa on przed nim komedię. — Muszę spełnić jednak swoje obowiązki. Proszę się więc uspokoić i nie denerwować, bo w gruncie rzeczy chodzi nam o kilka drobiazgów. Był pan przy tym, kiedy to się stało?

— Tak. Ale już o tym mówiłem milicji — grube palce Jagodzińskiego zmięły poły szlafroka, powędrowały do wypchanej

kieszoni. Wyjął chustkę i przyłożył ją do oczu.

— Nie szkodzi. Teraz opowie pan nam, jak to się stało.

Proszę.

Kilkakrotnie potarł chustką oczy, jakby ocierał łzy. Oczy jednak miał suche.

Zgrywa się — pomyślał Andrzej.

— Jadłem kolację. Żona... żona miała oglądać film w telewizji. Ta zasłona... szyny się popsuły, a Maria chciała zasłonić okno. Ja tego nie widziałem. Siedziałem tyłem do okna. Słyszałem... słyszałem tylko. Czy naprawdę musicie mnie tak dręczyć? Nie macie litości. Trzeba to wszystko rozdrapywać na nowo? Nie potraficie uszanować ludzkiego bólu, mojej rozpacz? — wybuchnął i ukrył twarz w dłoniach.

Andrzej czekał spokojnie na ciąg dalszy. Nie wierzył Jagodzińskiemu, bo jego zachowanie nie wzbudzało zaufania. Najpierw był agresywny, sprawdzający ich uprawnienia, podejrzliwy, potem histerycznie zrozpaczony. Jednak, rzecz jasna, w jego sytuacji nie ma reguły na reakcje emocjonalne, wszystkie mogą być prawdziwe.

Jagodziński oderwał rękę od twarzy, otarł ją raz jeszcze, poprawił na sobie szlafrok i założył nogę na nogę.

— Nic więcej nie pamiętam. To już wszystko — powiedział bardzo cicho i z wysiłkiem.

— Jak długo byliście państwo małżeństwem? — zapytał po chwili milczenia Andrzej.

— Dwadzieścia lat, o Boże, całe dwadzieścia lat! Byliśmy dobrym,

spokojnym małżeństwem.

— Ile pan ma lat?

— Pięćdziesiąt pięć.

— Pan nie pracuje. Dlaczego?

— Jestem inwalidą wojennym. Mam rentę inwalidzką.

— Nie pracował pan w ogóle?

— Owszem, przez pierwsze pięć lat, zaraz po wojnie, w banku.

Byłem kasjerem. Potem jednak ze względu na swój stan zdrowia...

— Rozumiem. Miał pan trzydzieści pięć lat, gdy poznał pan żonę.

W jakich okolicznościach nastąpiło spotkanie?

— To jest moja osobista sprawa.

— Jak pan uważa. Nie mieliście państwo dzieci?

— To też moja osobista sprawa!

— Nie pytam, dlaczego nie mieliście dzieci, lecz czy w ogóle ich nie mieliście?

— To są subtelności prawnicze, pan nie ma prawa zadawać mi takich pytań.

— Uwłaczam panu? Czuje się pan urażony? A jeśli pańska żona przeżywała depresję psychiczną związaną właśnie z niezaspokojonym macierzyństwem?

— Czy to jest przesłuchanie? Czy zrobiłem coś złego, że jestem traktowany jak przestępca?! — uniósł się Jagodziński.

— Gdyby to było przesłuchanie, nie siedziałbym u pana w mieszkaniu, lecz to pan byłby teraz w moim gabinecie, wezwany urzędowym pismem, ostrzegającym o odpowiedzialności grożącej w wypadku nieusprawiedliwionego niestawiennictwa. Niepotrzebnie się

pan unosi.

— Co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią mojej żony?

— Widocznie ma, jeżeli o to pytam — odparł spokojnie Andrzej.

— Pan prokurator narzuca szczególny sposób prowadzenia rozmowy — powiedział Jagodziński, przybierając ton ironiczny. — Znam się na tym.

— Skąd?

— Wszyscy się na tym znają. Wszyscy wiedzą, jacy jesteście.

— Pan mówił o sobie, a nie o wszystkich.

— Pan mnie łapie za słówka. Bezprawnie.

— Czy pan jest prawnikiem?

— Nie.

— Jakie ma pan wykształcenie?

— Niepełne średnie.

— Dlaczego w takim razie poucza mnie pan, prokuratora, o zakresie uprawnień przysługujących mi podczas badania okoliczności na wypadek śmierci? W dodatku śmierci pańskiej żony?

— Przecież to był nieszczęśliwy wypadek, więc o co chodzi? Dlaczego grzebiecie się w cudzym nieszczęściu?

— Proszę pana, niechże pan wreszcie porzuci ten swój ton, który zaczyna być uciążliwy. Ja panu niczego nie zarzucam, a pan zachowuje się tak, jakbym pana oskarżał. Proszę powiedzieć: mieliście państwo dzieci?

— Nie.

— Posiada pan rodzinę?

— Poza Marią nie mam nikogo.

— Żadnych krewnych?

— Żadnych. Cała moja rodzina bliższa i dalsza zginęła podczas wojny, którą pan zna jedynie z literatury — powiedział z goryczą Jagodziński.

— Prawdopodobnie miałby pan rację, gdyby nie to, że matkę moją rozstrzelano na ulicy, a ojciec zginął w obozie na miesiąc przed zakończeniem wojny — odpowiedział Andrzej. — Pańska żona miała rodzinę?

— Tylko siostrę. Ale nie utrzymywała z nią kontaktów.

— Pan nie lubił swojej szwagierki?

— Tak się czasem zdarza, że ludzie nie przypadają sobie do gustu.

— Więc i ona pana nie darzyła sympatią?

— Nienawidziła mnie.

— Czy szyna w oknie jest już naprawiona?

— Szyna?... Nie... Niczego nie ruszałem od śmierci żony.

— Na pewno?

— Na pewno.

— To dziwne — powiedział powoli Andrzej, obserwując uważnie Jagodzińskiego. — Jest pan pewien, że niczego pan nie ruszał? Wszystko na oknie jest tak, jak było?

— Tak. O co panu chodzi?

— To moja sprawa — ostro rzucił Andrzej. — Co pan zrobił, gdy usłyszał krzyk żony?

— Chyba mówiłem... Dlaczego pan mnie dręczy? Jestem chory.

— A pańska żona nie żyje. Oglądał pan telewizję, siedział odwrócony plecami do okna. W pewnym momencie usłyszał pan



krzyk. Odwrócił się pan i...?

— Nie było już mojej żony — powiedział z wysiłkiem Jagodziński, krople potu wystąpiły mu na czoło. — Nie było. Boże! Nie mogłem zrozumieć, co się stało. Nie ruszałem się z miejsca.

Siedziałem jak... jak sparaliżowany.

— Jaką pozycję zajmowała pańska żona, stojąc w oknie, twarzą do pokoju czy twarzą do podwórza?

— Tego nie wiem. Nie pamiętam.

— Zeznał pan w protokole, że widział pan, jak żona uknęła na parapecie, żeby zejść. Więc jak to właściwie było?

— Och, to było przedtem. Widziałem chyba, jak uknęła, a pan przecież pytał, jak stała. Ona już nie stała, bo przygotowywała się do zejścia. To był zresztą krótki moment, może nawet później tylko mi się wydawało, że ją widziałem w pozycji klęczącej. Zaraz po wypadku poczułem się taki roztrzęsiony, że doprawdy mogłem pleść jakieś głupstwa. Rozpacz, nic nie czułem poza rozpaczą, niech pan to wreszcie zrozumie!

— krzyknął Jagodziński.

— Doskonale rozumiem — powiedział Andrzej — lub chciałbym zrozumieć. I zgadzam się z panem, że obrazy mogły się panu pomieszać. Powiedział pan, że po wypadku siedział pan jak sparaliżowany.

Jak długo znajdował się pan w stanie otępienia.

— Nie wiem... nie pamiętam. Może długo, a może krótko. Nie umiem powiedzieć. Patrzyłem w okno, które stało się śmiertelną pułapką dla mojej żony. Wszystko jak dawniej. Jakby nic nie zaszło.

Straszne. Firanka lekko falowała. Jak długo tak siedziałem bez pamięci, bez czucia, nie wiem. Nic nie wiem.

— Chwileczkę — przerwał szybko Andrzej, aby uprzedzić wybuch Jagodzińskiego. — Czy przypomina pan sobie, jaka była pogoda?

— Straszliwie duszno. Pociłem się cały dzień i nie miałem czym oddychać. Było tak parno jak przed burzą, ale burza nie nadchodziła.

— Tak. Opisał pan to bardzo dokładnie. Nawet zdrowy człowiek zaczyna się czuć źle w taką pogodę, ona go przytłacza, zaczyna boleć głowa, serce. Podczas takiej pogody szczególnie cierpią ludzie z nadciśnieniem i chorzy na serce. Pan ma chore serce?

— Jestem w ogóle chorym człowiekiem. Tak, i serce mam chore, bardzo chore.

— Musiał się pan czuć szczególnie źle?

— Bardzo źle.

— Więc mówił pan, że firanka falowała?

Jagodziński przymrużył oczy, jakby zrozumiał, do czego zmierza Dolecki.

— Tak mi się wydawało. Może Maria próbowała się jej uchwycić? Nie jestem pewien. Wie pan, kiedy raz jeszcze na pana prośbę próbuję wszystko odtworzyć na nowo, przestaję być pewien czegokolwiek.

— To naturalne — przyznał łagodnie Andrzej. — Każdy na pana miejscu przeżyłby szok.

— O, tak. Ja... ja chyba zemdlałem... potem. Wiem, że pociemniało mi w oczach.

— Upadł pan?

— Nie... chyba nie... ja przecież mówiłem, że siedziałem w fotelu.

Ale zrobiło mi się słabo, zimno, jakby nagle ścisnął silny mróz i otoczyła mnie całkowita ciemność. To chyba omdlenie?

— Czy korki u państwa w domu są w porządku? — Andrzej puścił mimo uszu dramatycznie brzmiące pytanie Jagodzińskiego.

— Co takiego?

— Korki w liczniku elektrycznym. Nie było krótkiego spięcia?

— Nie rozumiem. Ja zemdlałem...

— Tak, proszę pana. Chodzi mi jednak o to, że w mieszkaniu państwa zgasło na krótki czas światło.

Sprawdziliśmy już, że na linii nie było żadnej awarii. Ustaliliśmy też, kiedy zgasło. Stało się to w dwie najwyżej trzy minuty po krzyku pańskiej żony i w oknie waszego mieszkania zapanowała ciemność.

— To są jakieś bzdury! Ktoś panu naopowiadał horrendalnych bzdur, a pan w to uwierzył!

— Nie twierdzę, że uwierzyłem. Dlatego pana o to pytam. Zaprzecza pan?

Jagodziński jakby się zawahał. W każdym razie zwlekał z odpowiedzią.

— Czy pan prokurator mógłby wskazać mi związek między tragiczną śmiercią mojej żony, a tym, że ktoś insynuował, iż u mnie zgasło światło?

Andrzej uśmiechnął się.

— Właśnie pragnę ustalić ten związek, proszę pana.

— Zaprzeczam — oznajmił kategorycznie Jagodziński.

— Kiedy panu wróciła świadomość? Jak długo był pan w omdleniu?

— Nie wiem. Nie patrzyłem na zegarek... Żałuję, że nie ustalałem czasu ze stoperem w rękę. Może kilka sekund, może kilka minut. Pan wolałby precyzyjniejszą odpowiedź.

— Taka mi również wystarczy — odparł Andrzej. — Co potem pan zrobił?

— Będę się powtarzać — Jagodziński był teraz agresywny, dłonie zacisnął na poręczy krzesła tak silnie, aż zbieleły. — Ogarnęła mnie rozpacz. Zwykła ludzka rozpacz, której urzędnicy prokuratury nie potrafią uszanować — mówił przez zaciśnięte zęby. — Chociaż jeszcze nie chciałem uwierzyć, że Maria nie żyje. Może żyła? Może to były majaki, koszmary sen? „Maria!” — zawołałem.

Wstałem, poszedłem do kuchni. Nie, nie pobiegłem, bo pan z pewnością wyobraża sobie, że w takiej sytuacji trzeba wszystko robić w biegu, na przykład podbiec do okna, wychylić się i krzyknąć: „na pomoc!” i tak dalej, i tak dalej. Po prostu poszedłem, zaś chodzenie sprawia mi trudność. Może moja żona wyszła do kuchni? Może położyła się spać? Zajrzałem do łazienki. Szukałem jej wszędzie. I nie znalazłem. Wtedy zrozumiałem, że to nie koszmary sen, lecz koszmaryna prawda. Zszedłem powoli na podwórze. Najchętniej wcale bym nie schodził. Zaraz zapyta pan: dlaczego? Uprzedzę pytanie: dlatego, że boję się śmierci. A raczej widoku śmierci.

— Nie zauważyłem, żeby się pan powtarzał. Bardzo dziękuję, jeszcze tylko trzy sprawy. Czy zszedł pan na podwórze w szlafroku, który obecnie ma pan na sobie?

— Tak.

— Podłogi w mieszkaniu państwa utrzymane są w idealnej

czystości. Pańska żona bardzo dbała o mieszkanie.

— Tak. Moja żona była doskonałą gospodynią.

— W domu nosi pan miękkie obuwie?

— Oczywiście — Jagodziński wysunął stopy w szarych filcowych pantoflach.

— Kiedy ostatnio był u państwa remont mieszkania?

— Panie prokuratorze! Czyżby któryś z nas zwariował?

— Proszę odpowiedzieć.

— Nie pamiętam.

— To proszę sobie przypomnieć.

— Co najmniej pięć lat temu. Albo sześć. Nie wiem, dawno.

— Mimo to ściany są czyste.

— Maria raz na miesiąc odkurzała ściany i dość często czyściła je chlebem.

— Panie Jagodziński, co wisiało na ścianie naprzeciwko okna?

— Co wisiało na ścianie? — powtórzył z nieukrywaniem zdumieniem Jagodziński.

— Tak. Na ścianie naprzeciwko okna, o tej. Nad komodą.

— Ach — rozjaśnił się Jagodziński — jest pan spostrzegawczy, panie prokuratorze. Owszem, kiedyś tam wisiał obrazek. Nawet dobrze nie wiem, co się z nim stało. Maria go zdjęła. Nie podobał się jej.

— A panu się podobał?

— Bo ja wiem? Taki trochę kiczowaty.

— Pamięta pan, co przedstawiał?

— Oczywiście — uśmiechnął się Jagodziński z politowaniem. —

Przedstawiał zachód słońca nad jeziorem. W naturalnych barwach. Jezioro straszliwie niebieskie, słońce straszliwie czerwone, w głębi las i jakieś ptaki nad jeziorem, pewno dzikie kaczki.

— Ten obrazek musiał jednak dość długo wisieć nie ruszany. Nawet bardzo długo, od poprzedniego remontu — powiedział Andrzej. — Można go zobaczyć?

— Lubi pan kolorowe pejzaże? Żałuję bardzo, ale Maria go chyba po prostu spaliła. Nie pasował do mieszkania, był zbyt jaskrawy.

— Rozumiem — odparł Andrzej, co Jagodziński uznał za koniec rozmowy. Podniósł z wysiłkiem swoje wielkie, otyłe ciało z fotela.

— Zaraz sobie pójdziemy. Zadam jeszcze ostatnie pytanie. Czy schodząc do ciała żony, zgasił pan światło...

— Pan znowu z tym światłem! — wybuchnął Jagodziński. — No zgasilem! I co z tego?

— Ma pan rację. Rzeczywiście, niewiele z tego wynika — powiedział Andrzej, dał znak Gorczyńskiemu. — Do widzenia panu, panie Jagodziński.

## Rozdział 6.

— Stawiam panu taksówkę — powiedział z uznaniem Gorczyński.  
— Wykazał pan naprawdę wielką przenikliwość. Czasem wydawało mi się, że pan się trochę gubi, lecz robił pan to celowo. Rozsądnie pan postąpił, nie podpisując protokołu.

— Jeszcze za wcześnie na triumfy — zauważył Andrzej. — O wiele za wcześnie. A taksówkę ja panu stawiam, bo to moja wina, że odesłałem wóz. Gdzie tu jest postój, nie wie pan?

— Zaraz na rogu. I na szczęście są taksówki. Uff! — odetchnął z ulgą Gorczyński, sadowiąc się w samochodzie. — Prokuratura na Głównej, proszę.

— Odda pan zaraz stenogramy do przepisania na maszynie, dowie się pan, czy jest wynik sekcji i jeszcze dzisiaj pośle pan kilku ludzi, żeby zasięgnęli informacji u wszystkich mieszkańców, zajmujących mieszkania naprzeciwko okna Jagodzińskich. Gdyby ktoś jeszcze potwierdził zeznanie Haliny Hanyszowej, gdyby ktoś jeszcze spostrzegł, że światło zgasło i zapaliło się zaraz po wypadku Jagodzińskiej, mielibyśmy punkt zaczepienia. Jagodzińskiego straszliwie wyprowadzały z równowagi pytania, dotyczące gaszenia i zapalania światła... I koniecznie należy pytać o buty.

— Gdyby nie ta stara wariatka... — powiedział z podziwem Gorczyński.

— To tylko kwestia wyobraźni — zaśmiał się Andrzej.

— I nie taka z niej wariatka. Eliza Hoffmann bardzo nam pomogła.

— Powinien jej pan posłać bukiet róż.

— I kto wie, czy tego nie zrobię? Ja płacę, niech pan schowa portfel.

Gabinet Andrzeja znajdował się na drugim piętrze. Po raz pierwszy od dnia rozpoczęcia pracy w prokuraturze pchnął drzwi pewnie, bez obawy, czy wchodzi do właściwego pokoju. Po raz pierwszy spojrzął z przyjemnością na zwykłe, standardowe umeblowanie gabinetu, jak dumnie nazywał dużo biurko, segregatory z aktami spraw, których nie prowadził ani nie rozpatrywał, wysłużony chodnik.

Po raz pierwszy poczuł się jak u siebie.

Reasumując — pomyślał, siadając za biurkiem — dobrze zrobiłem, że nie podpisałem protokołu, który by tym samym zamknął sprawę Marii Jagodzińskiej. Hanna Hanysz nie potrafi zmyślać. Oddała mi nieocenioną przysługę. Po pierwsze trzeba wyjaśnić, dlaczego Jagodziński zgasił światło? Musiał mieć istotny powód. Nie wiem jaki, ale skłamał, mówiąc, że nie gasił światła. Kłamał przez cały czas, ale przekonywająco. W punktach, gdzie go zaskakiwałem, a których sobie uprzednio nie przemyślał, zwlekał z odpowiedzią i albo unosił się, albo udawał zrozpaczonego. Po prostu starał się zyskać na czasie. Z tym światłem zastanawiał się, czy lepiej powiedzieć: „Bardzo możliwe, że tak zrobiłem, nie zdawałem sobie sprawy co robię” i tym podobne, czy raczej kategorycznie się wyprzeć, licząc, że jest to albo mój domysł, albo czyjeś spostrzeżenie, które można będzie łatwo obalić, powołując się na zaburzenia wywołane szokiem. Wybrał wariant drugi i zaprzeczył. Co robił w tym czasie? Obawiał się, że sąsiedzi zaalarmowani krzykiem żony, który dla niego brzmiał bardzo



głośno, zwrócić uwagę na jego okno? Oświetlone, niezasłonięte okno, w którym wszystko widać jak na dłoni? A on nie chciał, aby ktokolwiek widział... Co widział? To, co w tym czasie robił. Ale co robił? Nie wiem i mogę nigdy się nie dowiedzieć. Zaraz. Ciemność panująca w pokoju — jeżeli na to ktoś z mieszkańców zwróci uwagę, będzie można łatwiej usprawiedliwić. Przez jasne okno widać, jak on zachowuje się kilka sekund po śmierci żony. Chciał coś ukryć. Do diabła! Wszystko niejasne.

A może to najporządniejszy pod słońcem człowiek, do którego się uprzedziłem? Punkt pierwszy, dlaczego zgasił światło? Do wyjaśnienia. Punkt drugi, tyle czasu zwlekał z zejściem do ciała żony.

Do wyjaśnienia. Punkt trzeci, dlaczego nazwał mnie kapitanem, pomimo że obejrzał dokładnie moją legitymację? Do wyjaśnienia. Punkt czwarty, schodząc do ciała żony zmienił domowe pantofle na buty. Jagodziński od pięciu lat nie wychodził na ulicę. Odzwyczaił się od noszenia butów. Dlaczego je założył? Do wyjaśnienia! Punkt piąty, nad komodą jest wyraźny ślad po obrazie, który tam wisiał przez bardzo długi czas. Landszaft, który nagle przestał podobać się jego żonie do tego stopnia, że zdjęła go i spaliła? Powiedział, że zrobiła to już dawno. Z całą pewnością kłamie. Kłamie najwyraźniej. Czy on jest ślepy? Przecież ślad jest bardzo świeży, prostokąt sporo jaśniejszy od reszty ściany, jakby obramowany warstwą kurzu. Maria Jagodzińska będąc świetną gospodynią, dbającą pedantycznie o dom, nigdy by kurzu nie zostawiła. Na pewno odkurzała ściany raz na miesiąc, a miejsca bardziej zakurzone często wycierała chlebem. Obrazek? Kto go zdjęł i dlaczego? I czego brak twarzy Henryka

Jagodzińskiego?

Wszedł Gorczyński.

— Panie prokuratorze...

— Szybko i bez namysłu! Czego brakuje twarzy Henryka Jagodzińskiego?

— Nie wiem. Wszystko miał na swoim miejscu: nos, brodę i oczy. Panie prokuratorze jest już wynik sekcji. Bardzo niepomyślny dla nas.

— Jak to, niepomyślny?

Andrzej przeczytał: „Maria Jagodzińska, lat czterdzieści dwa... zgon nastąpił na skutek zawału serca.

Denatka w momencie uderzenia o beton już nie żyła... Obrażenia odniesione na skutek wypadku to: pęknięcie kręgosłupa, pęknięcie czaszki...”.

— Do diabła! — zaklął Andrzej.

— I co teraz?

— Co teraz? Chwileczkę. Muszę pomyśleć. Maria Jagodzińska, lat czterdzieści dwa, miała dwadzieścia lat, gdy wychodziła za mąż. Na zdjęciach wygląda dużo, dużo starzej. A przecież to jeszcze zupełnie młoda kobieta. Tak. Więc nie żyła w momencie uderzenia?

— Dlatego nie próbowała niczego się uchwycić — powiedział Gorczyński.

— A skąd pan wie? Czy sekcja zwłok określa, kiedy dostała zawału serca? Sekcja stwierdza jedynie, że Maria Jagodzińska umarła na skutek zawału serca, zanim spadła na beton podwórza, czy tak?

— Tak.

— Ale nie określa przyczyn, które bezpośrednio wywołały zawał,

czy tak?

— Tak. Jednak dzień był taki parny...

— Zgoda, dzień był parny, bezwietrzny, w sam raz dla zawałowców. Można powiedzieć, że im sprzyjał.

— No właśnie — potwierdził Gorczyński.

— Żadne „właśnie”! Nic z tego nie wynika! Zupełnie nic! Wyklucza jedynie śmierć na skutek uderzenia o beton, to wszystko. Ale nie określa, kiedy nastąpił zgon. Mogła umrzeć podczas spadania między parapetem okna, z którego ją zepchnięto, a betonem? Mogła czy nie? I mogła umrzeć jeszcze wcześniej — ze strachu i zaskoczenia, gdy zobaczyła swego męża, który w nią godził. Eliza Hoffmann w oczach denatki poza przerażeniem dostrzegła zdumienie. Niech pan wyobrazi sobie niczego niespodziewającą się kobietę, którą jednym gwałtownym ruchem wypycha z okna jej własny mąż?

Tego jej chore serce nie wytrzymało. Zawał był gwałtowny, z natychmiastowym skutkiem. A nie zastanawia pana fakt, że Henryk Jagodziński ani razu nie wspomniał o chorobie żony? Mówił nam o swoim sercu, ale ani słowa o niej.

— Przyczyna śmierci świadczy na jego korzyść. I trudno przypuścić, aby nie wiedział, że jest chora na serce — stwierdził Gorczyński.

— Dlaczego? Jest wielkim egoistą, bez przerwy mówił tylko o sobie, o swoich dolegliwościach i jak każdy hipochondryk ściśle ich nie precyzował. Tacy ludzie nie zajmują się chorobami innych, ponieważ choroby innych uważają za urojone. Miał znakomitą okazję przypomnieć sobie o chorobie swojej żony, a nie zrobił tego. Zwłaszcza, że byłby to sprzyjający moment ponieważ było duszno,

żona miała chore serce. A jeśli ją właśnie, gdy stała na parapecie, to serce dopadło? Nie, panie Gorczyński. On nie wiedział o chorym sercu żony.

— Nie bardzo mnie pan przekonuje, panie prokuratorze. Jak to? Musiał wiedzieć! Żyli pod jednym dachem. Maria Jagodzińska z pewnością się leczyła, zażywała lekarstwa, skarżyła się ... — oponował Gorczyński.

— A jeśli Maria, troskliwa żona, zajmująca się uciążliwym mężem, domem i jeszcze pracą zawodową, kobieta pracująca od rana do późnej nocy, nie dbała o siebie zupełnie? Nie zwracała uwagi na swoje serce? Nie zna pan takich kobiet, pełnych poświęcenia, oddania, które nigdy nie pomyślą o sobie, ponieważ nie mają na to czasu ani chęci?

— To są tylko pańskie przypuszczenia, panie prokuratorze.

— Które należy sprawdzić. Jagodziński w kilku kwestiach dawał wykretne odpowiedzi.

— Hanyszowej mogło się przywidzieć.

— Wątpię. Hanyszowa nie jest zdolna sama, z własnej inicjatywy, cokolwiek wymyślić. Brak jej wyobraźni.

— Za to pani Eliza Hoffmann posiada jej w nadmiarze — uśmiechnął się Gorczyński.

— Wszystko, co nam powiedziała Eliza Hoffmann, znalazło pełne potwierdzenie. To nie jest sprawa wyobraźni, lecz fakty — zaoponował gwałtownie Andrzej. — Zastanawiam się, dlaczego Jagodziński okłamał nas, mówiąc o obrazie. Widział pan ślad nad komodą?

— Owszem. Bardzo wyraźny. Ale jeśli my widzieliśmy ten ślad, to Jagodziński, który nie jest ślepy, również go dostrzegł. Widocznie powiedział po prostu prawdę.

— Niech się pan zastanowi. Czy w tak czystym mieszkaniu, sprzątniętym aż do przesady, Maria Jagodzińska, pedantyczna gospodyni, zostawiłaby tak wyraźną, rzucającą się w oczy warstwę kurzu na ścianie? A Jagodziński twierdzi, że obrazek zdjęła już dawno.

— Może coś jej przeszkodziło, a później zapomniała?

— Sam pan w to nie wierzy.

— Ano prawda, nie wierzę. Jednak nie znajduję innego wytłumaczenia. Niech się pan nie denerwuje, panie prokuratorze, ja pana dobrze rozumiem, to jest pana pierwsza poważna sprawa.

— Za nic w świecie nie chciałbym bezpodstawnie oskarżyć niewinnego człowieka o tak ciężkie przestępstwo — powiedział poważnie Andrzej. — To olbrzymia odpowiedzialność. A ja go przecież oskarżam. Nie wierzę ani jednemu jego słowu. Pragnąłbym być obiektywny, a uprzedziłem się do niego.

— Ma pan wątpliwości i pragnie postępować pan uczciwie, to przecież naturalne i nie powinien pan czynić sobie wyrzutów.

— Między pragnieniem, a działaniem jest olbrzymia różnica. Uprzedziłem się do Jagodzińskiego, co jest naganne i co mnie jako prokuratora w zasadzie dyskwalifikuje! Brak mi przecież doświadczenia i praktyki, a ośmielam się podejrzewać człowieka! Zaraz po całej kamienicy rozniesie się, że chodzą i pytają o niego. Ludzie od razu zwęszą jakiś skandal, zaczną się plotki, podejrzenia, a

wszystko to przeze mnie.

— Panie prokuratorze, niech pan już idzie do domu, odpocznie, przemyśli sobie jeszcze raz wszystko od początku.

— Czy pan już wysłał ludzi?

— Nie, ponieważ sądziłem... — Gorczyński zawahał się — sądziłem, że ogarną pana wątpliwości i zechce z tym poczekać.

— Dziękuję panu. Wiele się jeszcze muszę nauczyć.

— Natomiast wysłałem wezwanie do siostry denatki, Klementyny Nawrockiej, żeby stawiła się jutro i myślę, że należałoby też wezwać Jagodzińskiego — podpowiedział Gorczyński.

— Jagodzińskiego na razie zostawmy w spokoju. Chyba że z rozmowy z siostrą wynikną jakieś dodatkowe szczegóły. Ach, zapomniałem o jednym — Andrzej ożywił się na chwilę. — Jagodziński kilkakrotnie powtórzył, że niczego nie ruszał po śmierci żony na oknie.

— Tak, dwa razy poruszył tę kwestię — zgodził się Gorczyński.

— Po środku okna stoi duża donica z rozłożystą paprocią... Zauważył ją pan?

— Rzeczywiście, stała po środku okna duża donica z bardzo pięknie utrzymaną paprocią. Do czego pan zmierza, prokuratorze?

— Jagodzińska musiała albo zdjąć ją z parapetu, albo przynajmniej odsunąć daleko na bok. Paproć jest zbyt rozłożysta, zajmuje jedną trzecią parapetu.

Gorczyński zamyślił się.

— Tak, lecz Jagodziński mógł paproć przestawić na swoje miejsce odruchowo i nie pamiętać o tak mało istotnym szczególe.

— Oczywiście — przytaknął zrezygnowany Andrzej.

## Rozdział 7.

— Spóźniłeś się. Czekam na ciebie z obiadem od dwóch godzin. Nie mogłeś zadzwonić do swojej starej babki? — pani Radecka przywitała Andrzeja wyrzutem, lubiła od czasu do czasu pogderać. — Jesteś zmęczony. Czy coś się stało?

— Dzień dobry — przywitał się Andrzej. — I przepraszam. Po raz pierwszy zapomniałem o tobie.

— A więc stało się — odetchnęła z ulgą pani Radecka. — Masz sprawę, tak? No przebierz się, a ja zaraz podgrzeję ci obiad. Niech cię tylko pocałuję. Hej, wielkoludzie, pochyl się trochę! Nie mogę zrozumieć, jakim cudem urosłeś taki wysoki? Nie wiem, kiedy to się stało. Pewnego dnia patrzę, a tu zamiast małego chłopca — dryblas!

Wspięła się na palce. Była drobna, filigranowa, pełna staroświeckiego wdzięku. Ubierała się w sukienki z koronkowymi żabotami, nosiła błyszczące pantofle zapinane na guziczki i kapelusze naciągnięte głęboko na oczy, jak w latach trzydziestych. Cesała się gładko, z równo uciętą nad czołem grzywką, miała piękne włosy o odcieniu srebra. Zawsze była pogodna, wesoła, dobra, czuła i troskliwa.

Andrzej ucałował babkę serdecznie, wychowała go, jak umiała najlepiej, zastępowała mu i matkę, i ojca, których nie pamiętał.

— Chciałabym, żeby ci się powiodło — powiedziała pani Radecka i przytuliła swój pachnący pudrem policzek do twarzy wnuka. — I wolałabym, abyś był trochę niższy — roześmiała się nagle.



— Gdy mówię do ciebie, muszę zadzierać wysoko głowę. Pewno jesteś potwornie głodny?

— Nie bardzo.

— Jest zupa z porów i mózdzek zapiekany w kokilkach, twoje ulubione danie — powiedziała pani Radecka. — Zaraz podam. Też jestem potwornie głodna.

Andrzej zmienił obuwie, umył się, włożył domową, luźną marynarkę, pamiętającą dobre, studenckie czasy.

— Obiad! — zawołała pani Radecka.

Stół czekał jak zwykle starannie nakryty. Obrus był z mereżką i koronkowymi wstawkami, pamiętający przedwojenne czasy. Pośrodku stołu stało kilka krótko przyciętych tulipanów, które pływały w porcelanowej miseczce. Pani Radecka twierdziła bowiem, że jedzenie jest sztuką, przeznaczoną wyłącznie dla znawców. Uważała, że to jest jak z obrazem, który wymaga dobrego oświetlenia, by móc w pełni ocenić jego wartość, albo dobrą książką, której nie czyta się w tramwaju, gdzie panuje tłok i hałas. Niektórzy mówią, że przy stole należy się zachowywać jak w kościele. Nie ma bardziej mylnego pojęcia, ponieważ jedzenie powinno sprawiać radość. To radość — umieć jeść, wiedzieć, co się je, stworzyć odpowiednią atmosferę, tak aby spożycie posiłku stało się wyjątkową przyjemnością.

Pani Radecka rozwijała całe teorie na temat sztuki jedzenia i gotowania. Według niej, człowiek, który je byle co, jest niewiele wart. Ale człowiek, który je za dużo, też nie zasługuje na uznanie.

Przestępcą natomiast jest ten, kto nie wie, co je. Niewarte jest wiele również jedzenie w samotności, ponieważ wtedy nie ma z kim dzielić

się radością wynikającą z faktu jedzenia. Dlatego głodna pani Radecka od dwóch godzin czekała z obiadem na wnuka i teraz, uśmiechając się do niego, zajęła miejsce po drugiej stronie stołu, rozłożyła serwetkę na kolanach, podniosła pokrywę wazy i wdychając z rozkoszą zapach zupy, nalała jej sobie na talerz.

— Piękne te tulipany — powiedział Andrzej.

— Prawda? — ucieszyła się. — Zupełnie cudowne. Zastanawiałam się, jak je ułożyć, aż wpadłam na pomysł, żeby zamiast do wazonu, włożyć do porcelanowej miseczki. Efekt uzyskałam zaskakujący, prawda Jędrusiu?

— O, tak, babciu. Masz wyobraźnię.

— Napijesz się wina?

— Nie, dziękuję.

— A ja się napiję. Proszę, nalej mi. Ubóstwiam wino, natomiast nienawidzę wódki. Wino jest niezwykle szlachetnym trunkiem. Cóż za kolor! Popatrz pod słońce — jak purpura. Nie smakuje ci zupa?

— Nie zdarzyło się jeszcze, żeby mi cokolwiek, co ty przyrządzisz, nie smakowało.

— No, naturalnie. Potrafię ugotować zupę nawet na gwoździu — roześmiała się pani Radecka. — Powinnam otworzyć restaurację. Zbiłabym wtedy kupę pieniędzy i pojechałabym do Honolulu.

— Dlaczego właśnie do Honolulu?

— Bo tam nigdy nie byłam. Przysuń mi, proszę, sałatę i jedz, do licha!

— Babciu, znowu klniesz!

— Bo mam ochotę. Powinno się zawsze robić to, na co się ma

ochotę. A właśnie widzę, że nie masz najmniejszej ochoty na jedzenie, dlatego klnę. Może tak nie jest?

— Naprawdę, babciu...

— W kogo ty się wrodziłeś? Przecież nie we mnie. Młody staruszek. Zupełnie jakbyś miał sześćdziesiąt, a nie dwadzieścia sześć lat. Ja nigdy nie byłam zasadnicza, chociaż przeżyłam trzech mężów. Poza tym, mój drogi Jędrusiu, sama, na własne uszy, słyszałam wczoraj, jak ta ładna dziewczyna, która u ciebie była, a w której ty się podkochujesz bez wzajemności i wywracasz do niej oczy, jakbyś miał zeza, powiedziała do ciebie: „Stary, skończyły mi się fajki, zasuń do budki!”. I zasunąłeś, a powinieneś był wrzasnąć: „Do jasnej cholery, jak ty mnie traktujesz!”.

— Och! — westchnął Andrzej i zaczerwienił się.

— Dobrze, dobrze — ciągnęła niestrudzenie pani Radecka, upijając łyk wina. — Prokurator, a leci po papierosy jak pierwszy lepszy smarkacz. Wcale cię nie namawiam, żebyś był nieuprzejmy wobec tej ładnej dziewczyny, ale powiadam ci, a znam się na tym, za bardzo wywracasz oczami. Tracisz u niej szanse. Dziewczyny są jednakowe od lat, czy chodzą w fiszbinach, czy w kieckach przed kolana.

No, staruszkule, przestań się dąsać, bo powiem wszystko tej ładnej dziewczynie. Uświadomię ją, zobaczysz.

Andrzej roześmiał się. Nigdy nie potrafił się gniewać na babkę. Od lat była jego najlepszym przyjacielem, chociaż terroryzowała go swoją energią, żywotnością, swoistym poczuciem humoru.

Gdy chodził do liceum, zapraszała jego kolegów i grała z nimi w karty. Nie musieli przy niej chować papierosów. „Wiem, że popalacie,

bo jesteście głupcy, ale przynajmniej powinniście mieć odwagę otwarcie grzeszyć” — mówiła mało pedagogicznie. Koledzy Andrzeja ubóstwiali panią Radecką.

Ileż to razy chodziła razem z nimi na strzelnicę, gdzie fundowała każdemu po kolejce strzałów i besztła za niecelne oko! Ileż to razy, wywołując lekki popłoch wśród zagorzałych kibiców, wołała: „Ja wam pokażę, jak się strzela, patałachy! Panie, dla mnie karabin!”. Dla pani Radeckiej wszystko, z czego się strzelało, było karabinem. Ale strzelała naprawdę celnie. A ile razy kibicowała, siedząc pośrodku rozgorzałych sportowymi emocjami chłopców na najrozmaitszych meczach, krzycząc razem z nimi co sił w płucach: „Gola! Gola!” Nigdy się niczym nie gorszyła, nie wygłaszała kazań w stylu: „Ucz się, ucz, pamiętaj, że nauka to do potęgi klucz”. Każdy egzamin swego wnuka na studiach oblewała razem z nim i jego kolegami winem, przesiadując w zakopconym od papierosowego dymu pokoju do białego rana. Koledzy ze studiów, przyjaciele i tak zwani kumple traktowali starszą panią jak kogoś swojego, kogoś ze swojej paczki. Niejeden kolega Andrzeja powiedział do babki: „Jest pani wspaniałą dziewczyną”, a pani Radecka unosiła wysoko cieniutkie brwi i postukując obcasikiem lakierowanego pantofelka, mówiła: „No pewno”.

— Napijesz się kawy czy herbaty?

— Jeśli można, to kawy.

— Można, można. Matko najświętsza, co za maniery!

Ta ładna dziewczyna ucieknie od ciebie, gdzie pieprz rośnie. Oczywiście, starałam się ciebie nauczyć dobrych manier, ale przede

wszystkim tego, że trzeba robić to, na co się ma ochotę. Jędrusiu, zapuść sobie brodę i wąsy, włóż perukę, togę i zawołaj: „Wysoki Sądzie, oto na ławie oskarżonych siedzi ta straszliwa kobieta, z którą na nieszczęście jestem spokrewniony, kobieta, która przez całe życie, a ma już prawie siedemdziesiąt lat, miała czelność śmiać się do rozpuku, starać się niczym nie przejmować i głosić demagogiczne poglądy, które, cytuję: Jeżeli dziś jest źle, to jutro może być tylko lepiej. Jeśli masz ochotę kichnąć, to kichaj! Jeśli cię swędzi, to się podrap! — wobec tego żądam wysokiego wymiaru kary” — skończyła pani Radecka z całą powagą i Andrzej roześmiał się znowu. — Nie masz powodu do śmiechu — powiedziała poważnie. — Lepiej zastanów się nad tym, co mówię. Życie jest krótkie, szybko przechodzi i nie zawsze pozwala robić to, na co by się miało ochotę.

Za chwilę wróciła do pokoju z kawą.

— Chcesz zostać sam, czy miałbyś ochotę posiedzieć ze mną?

— Oczywiście, że z tobą — powiedział Andrzej.

— Wiem, że masz jakieś kłopoty w pracy. A ty z kolei wiesz, że nie lubię ci przeszkadzać ani się wtrącać.

— Wiem, babciu. Przynieść jeszcze wina?

— Perfidny człowieku! Chciałbyś mnie wpędzić w alkoholizm? Jednak niech ci będzie! Napiję się.

Nalej. Zdaje się, że trafiła ci się jakaś sprawa?

— Niestety — powiedział Andrzej, obserwując babkę, zagłębianą w olbrzymim skórzanym fotelu. — Bardzo poważna sprawa. Będę chyba oskarżał o zabójstwo.

— Chyba? Mówisz: chyba? Dlaczego się asekurujesz?

Jesteś przekonany o winie?

— Nie wiem. Wczoraj z okna trzeciego piętra wypadła czterdziestokilkuletnia kobieta. Mieszkała z mężem, który jest dziwakiem, od lat w ogóle nie wychodzi na ulicę. Inwalida wojenny, stroniący od ludzi. Cała jego rodzina zginęła podczas wojny.

— Ma więc powody, dla których stał się dziwakiem unikającym ludzi, jak to niefrasobliwie określiłeś.

— Tyle lat po wojnie?

— Żaden czas nie jest w stanie zatrzeć wojennych przeżyć. I są sprawy, których człowiek, póki żyje, nigdy nie zapomni. Uważasz, że ten mężczyzna wypchnął swoją żonę przez okno?

— Myślę, że tak.

— Nie wolno ci się uprzedzać. To nieuczciwe. Rozmawiałeś z nim?

— Tak. Zachowywał się tak dziwnie...

— Andrzej — powiedziała surowo babka, zapaliła papierosa. — Czy nim poszedłeś z nim rozmawiać, już go podejrzewałeś?

— Tak. Ale zrozum, momentu podejrzenia nie da się uniknąć — zaoponował Andrzej.

— Podejmując się pełnienia funkcji prokuratora, musiałeś sobie przemyśleć wiele, a przede wszystkim zastanowić się nad ryzykiem odpowiedzialności. Wiesz, że się nie sprzeciwiałam twojemu wyborowi, chociaż uważałam, że nie jest dobry. Skoro tak wybrałeś, postępuj odpowiedzialnie. Dlaczego podejrzewasz tego człowieka?

Andrzej opowiedział babce po kolei wszystko, co się wydarzyło.

— Więc po prostu: gdyby nie zabrakło ci w piórze atramentu, byłbyś podpisał?

— Byłbym podpisał.

— Przypadek dość szczególny. No cóż, przede wszystkim powinieneś odwrócić tok swojego rozumowania. Powinieneś starać się udowodnić, że ten człowiek jest niewinny i podejrzewasz go niesłusznie. Jeżeli nie zdołasz obalić swoich podejrzeń, a zyskasz nowe fakty, wtedy podejmiesz decyzję. Może byś jednak przeszedł do adwokatury?

— Nie. To niemożliwe — odpowiedział stanowczo Andrzej. — Teraz już naprawdę niemożliwe.

— Chyba cię rozumiem — odrzekła cicho pani Radecka. — Przygotuję ci teraz kąpiel, Jędrusiu, wykąp się i połóż. Jeżeli nie zechcesz jeść kolacji, nie będę cię zmuszała.

— Dziękuję.

— Przecież wiesz — pani Radecka pocałowała Andrzeja w policzek — jak bardzo cię kocham.

— Tak, babciu.

— No, właśnie. Nie trzeba za nic dziękować. Słuchaj, Jędrusiu, powiedziałaś, że czegoś brakowało w twarzy tego mężczyzny. Jakie on miał oczy?

— Jasnoniebieskie. Bardzo, bardzo jasne. Jakby wypłowiałe. Nieprzyjemne.

— To nie jest istotne, czy tobie jego oczy wydały się nieprzyjemne, czy zachwycające — powiedziała surowo. Zastanowiła się — Jakby wypukłe?

— Tak.

— Często je mrużył?

- Rzeczywiście! — zawołał Andrzej. — Mrużył je co chwila.
- Był w okularach?
- Nie, on nie nosi okularów.
- Więc może zapomniał je włożyć — powiedziała pani Radecka i wyszła przygotować dla wnuka kąpiel.



## Rozdział 8.

Andrzej źle spał tej nocy. Długo nie mógł zasnąć, potem często się budził, męczyły go jakieś koszmary. Rano, z podkrążonymi oczami, poszedł do pracy i miał wielką ochotę zawrócić sprzed wejścia, po prostu uciec. Jego gabinet, w którym wczoraj przeżył krótką i wątpliwą chwilę satysfakcji i wiary w siebie, wydał mu się bardziej obcy niż kiedykolwiek. Brzydkie biurko, z łuszczącą się politurą, odrapane, stare segregatory pełne zatęchłych skoroszytów, akt spraw, których nie znał, zniszczony chodnik, na którym nie odcisnęły się jeszcze jego buty, skrzypiące krzesło za biurkiem — wszystko cudze i po kimś.

— Wygląda pan nietęgo — zauważył Gorczyński zamiast powitania. — Niech się pan nie przejmuj, panie prokuratorze, zawsze tak jest na początku. Doświadczenie przyjdzie z czasem. Pozbędzie się pan wówczas wątpliwości i zyska pewność.

— Kiedy to będzie? — westchnął Andrzej.

— Będzie, będzie. Najważniejsze, że ma pan skrupuły. Świadczy to, że jest pan człowiekiem uczciwym. To ważne, panie prokuratorze.

— Ryzyko odpowiedzialności — zacytował Andrzej słowa babki.

— Olbrzymie, i jeżeli pan je rozumie, jest pan w połowie drogi do sukcesu. Nie do kariery, ale do sukcesu, który będzie mierzył się pańskim sumieniem.

— To bardzo trudne.

— Na pewno. Jeżeli jednak panu zależy na mojej, zupełnie

prywatnej opinii, uważam, że postąpił pan słusznie, nie zamykając jeszcze sprawy Jagodzińskiego. Gdy są tylko jakiegokolwiek wątpliwości, należy je rozproszyć. Mówił pan wczoraj i dziś o sprawie odpowiedzialności, o ryzyku odpowiedzialności za niesłuszne osądzenie niewinnego człowieka. Pozostaje jednak odwrotna strona medalu i, mówiąc szczerze, w tym przypadku zasługująca na uwagę. To ta alternatywa: a jeśli winny? W pana zawodzie nie ma kompromisu, jest on wykluczony. Pan nie osądza ani jeszcze nie oskarża, nie wniósł pan przecież oskarżenia, pan dopiero bada alternatywę — winny albo niewinny.

Wobec tego poproszę teraz panią Klementynę Nawrocką, która już przyszła i czeka na pana. Czy życzy pan sobie, abym był obecny przy tej rozmowie?

— Nawet proszę pana o to — powiedział Andrzej.

— Świetnie. Czy mam stenografować?

— Tylko wtedy, kiedy pan to uzna za potrzebne.

— Dobrze, panie prokuratorze — powiedział Gorczyński, uśmiechnął się i otworzył drzwi na korytarz. — Klementyna Nawrocka!

Klementyna Nawrocka była w żałobie. Miała na sobie czarny płaszcz, woalkę na czarnym kapeluszu i czarne rękawiczki. Jej oczy były lekko podpuchnięte i przypudrowane. Widać, że musiała dużo płakać. Twarz jednak miała spokojną i opanowaną.

— Proszę usiąść — zwrócił się do niej Andrzej. — Pani Klementyna Nawrocka, siostra Marii Jagodzińskiej?

— Tak — odpowiedziała, siadając. — Rodzona siostra.

Z bliska wyglądała młodo, o wiele młodziej, niż wynikało to z jej metryki. Aż trudno było przypuścić, patrząc na nią, że jest kobietą liczącą pięćdziesiąt lat.

Uniosła woalkę, zarzuciła ją na kapelusz, rozpięła płaszcz, pod którym miała jasną, wiosenną sukienkę. Mimo obrzmiałych oczu twarz jej odznaczała się wyjątkową urodą. Regularne rysy, mały nos, kształtne usta, duże zielone oczy, długie rzęsy, pięknie zarysowane łuki brwi i wspaniała cera, matowa, jasna, właściwa rudym kobietom. Dopiero teraz, patrząc na nią z bliska, Andrzej spostrzegł, że wcale nie jest w żałobie, że jej płaszcz i kapelusz nie są czarne, lecz granatowe.

— Panią z pewnością zaskoczyło nasze wezwanie — zaczął, ale Klementyna Nawrocka pokręciła przecząco głową.

— Nie, proszę pana. Spodziewałam się takiego wezwania.

Andrzej nie potrafił ukryć zdziwienia.

— Spodziewała się pani?

— Tak. Moja siostra zginęła śmiercią tragiczną i zawsze w takich wypadkach prowadzi się dochodzenie. Pracuję w szpitalu. Nasz szpital od czasu do czasu odwiedza prokurator.

— Skąd pani wie o śmierci siostry? My pani nie zawiadamialiśmy.

— Mój szwagier zadzwonił do mnie, do szpitala, wczoraj wieczorem — Nawrocka sięgnęła po torebkę. — Czy można zapalić?

— Oczywiście. Ja dziękuję, nie palę.

— Teraz kobiety więcej palą niż mężczyźni — uśmiechnęła się lekko i chociaż wyraźnie był to uśmiech wymuszony, Andrzej przyglądał się z podziwem wielkiemu opanowaniu tej kobiety. Gdy

zapalała papierosa, jej ręka lekko zadrżała.

— Bardzo dużo palę — odezwała się. — Więc słucham pana, panie prokuratorze. Czy są jakieś poważne wątpliwości co do okoliczności towarzyszących śmierci mojej siostry?

— Poważne wątpliwości to zbyt mocne określenie. Po prostu mamy kilka pytań.

— Słucham.

— Czy pani знаła dobrze swoją siostrę?

— Czy znałam Marię?... Podejrzewa pan samobójstwo?

— Niczego nie podejrzewam. Zadałem pani pytanie, a pani nie zechciała mi odpowiedzieć.

— Od wielu lat jakbym nie miała w ogóle żadnej siostry.

— Ma pani na myśli brak kontaktów z siostrą?

— Tak.

— To jest odpowiedź wymijająca.

— Nie chce się pan dać zbyć byle czym — powiedziała Nawrocka, zgasiła papierosa i zaraz zapaliła następnego. Milczała chwilę. — Kiedyś wydawało mi się, że bardzo dobrze znam Marię, że wiem o niej wszystko lub prawie wszystko. Teraz jednak zrozumiałam, że to nie było prawdą. Nie znałam Marii dobrze. Może nie znałam jej wcale. I to mnie boli — odwróciła głowę.

— Kochała ją pani? — zapytał łagodnie Dolecki.

— Kochałam ją — spojrzała mu prosto w twarz.

— Kiedyś? Czy teraz też?

— Zawsze. Była moją młodszą i jedyną siostrą. Siedem lat różnicy na moją niekorzyść, chociaż nie jest to aż tak istotne. Marię w gruncie

rzeczy traktowałam jak małe, nieporadne dziecko. Czułam się bardzo dorosła, odpowiedzialna za nią.

— Dlaczego?

— Maria miała takie usposobienie, że wymagała opieki. Była wrażliwa, łagodna i naiwna. Łatwo ją można było skrzywdzić.

— A pani stanowiła jej przeciwieństwo.

— Tak. Jestem pozbawiona wyobraźni, nie wzruszam się na filmach ani nad książkami, wierzę ludziom tylko na tyle, ile trzeba, nie ulegam emocjom, nawet jako młoda dziewczyna niczym się nie egzaltowałam. Zawsze byłam trzeźwa, rozsądna, zrównoważona i opanowana — zakończyła swoją charakterystykę z ironią, w której jednak Andrzej wyczuł odcień goryczy.

— Jednak wolałaby pani być inna?

— Kiedyś wolałam, ale teraz już nie. Teraz jest mi to obojętne. Mam pięćdziesiąt lat. W tym wieku nie miewa się marzeń.

— A jednak o swojej siostrze mówi pani z ogromnym uczuciem. Jest więc pani do niego zdolna.

— Nikogo poza nią nie kochałam. Nie przeżyłam w swoim życiu wielkiego szczęścia. Natomiast pragnęłam, aby Maria mogła przeżyć. Byłam dla niej matką, ojcem, siostrą. Okazuje się jednak, że nie byłam dla niej przyjacielem.

— A rodzice?

— Nasi rodzice zginęli w katastrofie kolejowej. Gdy Maria miała osiem, a ja trzynaście lat.

Wychowywałyśmy się u dalszych krewnych.

— Rozumiem — powiedział Andrzej. — Dlatego opiekowała się

pani swoją siostrą.

— Tak.

— Krewni traktowali panią i siostrę źle?

— Nie było nam u nich dobrze, ale nie było też najgorzej. Krewni należeli do ludzi dość zamożnych.

— Pani jest nie tylko rozsądna...

— Co pan chce przez to powiedzieć, panie prokuratorze?

— Myślę, że bardzo wcześnie zaczęła pani pracować na siebie i na siostrę. Myle się?

— Nie.

— Chciałem tylko powiedzieć, że pani jest ambitna. Dlatego tak szybko zrezygnowała pani z walki o siostrę. Domyślam się, że ta walka rozpoczęła się z chwilą, gdy siostra obdarzyła uczuciem mężczyznę, swego przyszłego męża. Poczwała się pani upokorzona wyborem siostry.

— Nie byłam jej potrzebna. Poznała człowieka i odeszła z nim.

— Nie lubi pani swego szwagra?

— Nie — zdecydowanie odpowiedziała Nawrocka.

— Bardzo go pani nie lubi?

— Bardzo.

— Czy dlatego, że siostra go kochała?

— Tak.

— Silniej niż panią?

— Tak. A ja tego nie potrafiłam zrozumieć.

— Straciła pani swój wpływ na siostrę?

— Nie starałam się mieć na nią wpływu. Starałam się tylko ją

obronić.

— Przed mężczyzną, którego ona kochała?

— Tak. Właśnie przed nim.

— Dlaczego?

— Ponieważ ona mu ufała, a ja nie.

— W jaki sposób siostra poznała swego męża?

— W sklepie. Stała w kolejce, a on za nią. Był o kulach. Przeprowadziła go tego samego dnia do domu. „Trzeba mu pomóc”

— powiedziała. Po dwóch tygodniach wzięli cichy ślub.

— Ukrywali to przed panią?

— Tak. Pewnego dnia Maria powiedziała do mnie: „Wychodzimy”. Zapytałam: „Dokąd?”, a Maria odparła: „Idziemy wziąć ślub. Jeśli chcesz, możesz być naszym świadkiem”.

— Dość okrutnie.

— Nie miałam jej tego za złe.

— Była pani świadkiem?

— Tak.

— Dlaczego pani nie ufała szwagrowi?

— Początkowo nie miałam nic przeciwko niemu. Maria przyprowadziła do domu obcego mężczyznę, inwalidę. Nie sprzeciwiałam się temu. Miała prawo przyprowadzić do naszego wspólnego domu kogo chciała. Henryk był obdarty, wygłodzony, jak to zaraz po wojnie. Wystarałam się dla niego o nowe ubranie. Nie pytałam kim jest ani skąd pochodzi. O takie sprawy nie należy pytać. Zwłaszcza wtedy nie należało. Zachowywał się cicho, nieśmiało. Był nawet miły. Myślałam, że to po prostu człowiek, który dużo przeżył.

Był małomówny, ale przecież słowa tak niewiele znaczą. Potrzebował pomocy i otrzymał ją.

— Została pani zaskoczona dopiero ich decyzją?

— Zupełnie. I dlatego przestałam mu ufać.

— Czy pani siostra była z nim szczęśliwa?

Nawrocka zamyśliła się. Sięgnęła znów po papierosa.

— Dużo pani pali.

— Nie potrafię się opanować. Ale dotyczy to tylko papierosów...  
Szczęśliwa? Nie wiem... — zaciągnęła się głęboko. — Myślę, że postawił pan ważne pytanie... Chyba tak. Przez kilka pierwszych miesięcy. Później zaczęła jakby przygasać. Łatwo ją było złamać. Jak każda wrażliwa natura, ulegała nastrojom, depresjom oraz... ludziom silniejszym od siebie. Wie pan, ona kiedyś pisała wiersze — Klementyna Nawrocka uśmiechnęła się smutno. — Nie znam się na poezji i na pewno wiersze mojej siostry są niewiele warte, ale przecież szczere, pragnęła przez nie wyrazić coś istotnego, może coś bardzo ważnego. Czytałam je, wydały mi się niebanalne, lecz mój sąd nie jest miarodajny. Uderzyło mnie w nich to, że moja siostra, mimo pozorów szczęścia, czuła się niezwykle samotna i jakby stłamszona.

— Stłamszona?

— Przez Henryka. Myślę, że Maria, kochając go, stworzyła sobie swój własny obraz wspólnego z nim życia, a rzeczywistość temu zaprzeczała. Rzeczywistość niszczyła ten obraz. Maria potrzebowała ciepła i uczucia, Henryk zaś był wobec niej oschły, zimny, zachowywał się niczym obcy. Wydawał polecenia, które ona musiała spełniać, nie słysząc w zamian słowa „dziękuję”. Zachowywał się



dziwaczne, stronił od ludzi, jakby się ich obawiał. Na początku trochę pracował, bo przecież nie było nam tak łatwo, chociaż ja zarabiałam nieźle jako kwalifikowana pielęgniarka. Maria, która tak marzyła, by zaraz po wojnie skończyć studia humanistyczne, musiała zrezygnować z owych niedorzecznych pragnień i poszła do pracy, aby Henrykowi na niczym nie zbywało. Gdyby chociaż mogła mieć dziecko...

— Pragnęła mieć dziecko?

— Każda normalna kobieta pragnie mieć dziecko. Maria tym bardziej.

— Dlaczego nie miała dziecka?

— Ponieważ Henryk nie życzył sobie.

— Skąd pani wie o tym?

— Moja siostra miała mieć dziecko.

— Nie urodziła go jednak?

— Nie.

— Pomogła jej pani przy tym.

— Nie. Chociaż zwróciła się do mnie o pomoc w dokonaniu aborcji.

Znałam przecież tylu lekarzy.

Po raz pierwszy jej wtedy odmówiłam.

— Załatwiła to jednak bez pomocy pani?

— Tak. Długo później chorowała.

— I wtedy pani odeszła od siostry?

— Jeszcze nie. Zamieszkałam tylko oddzielnie. Wynajęłam sobie pokój na mieście, zostawiając Marii swoje mieszkanie, które dostałam z przydziału. Więcej tam moja noga nie stanęła. Ale Maria często odwiedzała mnie.

— Później jednak przestała pani utrzymywać jakiegokolwiek kontakty z siostrą?

— Owszem. Któregoś dnia przyszedł do mnie mój szwagier, oświadczając, że nie życzy sobie, abym widywała się z Marią, ponieważ źle wpływam na ich pożycie małżeńskie. Spytałam go, czy przychodzi tylko w swoim imieniu, czy również Marii. Odrzekł, że Maria również nie życzy sobie mnie widywać.

— I już pani więcej nie widziała się z siostrą?

— Następnego dnia poszłam do Marii, do pracy i spytałam, czy to prawda, czy wie o wizycie Henryka.

— Potwierdziła?

— Powiedziała: „Zrozum mnie, Klementyno, zawsze mnie potrafiłaś zrozumieć”. Postarałam się ją zrozumieć i przez następne lata nie widziałyśmy się ani razu.

— I nie interesowała się pani więcej siostrą?

— Nie robiłam tego wprost. Miałyśmy wspólnych znajomych, dowiadywałam się u nich o jej losy.

Ale Maria zerwała później ze wszystkimi, odseparowała się od ludzi. Ostatnio nie miałam o niej żadnych informacji.

— A teraz?

— A teraz moja siostra nie żyje — Klementyna Nawrocka tym razem nie zdążyła ukryć łez. — Przepraszam.

— Jak on panią zawiadomił?

— Telefonicznie. Miałam dyżur w szpitalu.

— Wiedział, gdzie pani pracuje?

— Od lat pracuję w tym samym szpitalu. Powiedział:

„Zawiadamiam cię, że Maria nie żyje”.

Zapytałam: „Kiedy pogrzeb?”. Powiedział, że nie wie. Pytałam, co się stało, jak to nie wie?

Wyjaśnił, że Maria miała nieszczęśliwy wypadek. I odłożył słuchawkę.

— Ale pani zna szczegóły, wie pani, jakiego rodzaju to wypadek?

— Poprosiłam znajomą o zastępstwo, pojechałam na Wysoką, poszłam do pani Elizy Hoffmann, ona przedstawiła mi okoliczności.

— Pani Eliza Hoffmann? Sugerowała pani cokolwiek?

— Ależ skąd! Opowiedziała, jak było.

— Proszę pani, czy pani siostra chorowała na serce?

— Tak. Bardzo ciężko, to była *angina pectoris*.

— Od dawna?

— Tego nie wiem. Ale znam lekarza, u którego Maria dwa lata temu była z wizytą. To jest mój serdeczny znajomy, pracował kiedyś w naszym szpitalu.

— Czy mąż pani siostry wiedział o jej chorobie?

— Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć.

— Czy sądzi pani, że siostra nic mu nie powiedziała o swojej chorobie?

— Mogę najwyżej przypuszczać, że nie powiedziała.

A jeśli powiedziała, to on szybko o tym zapomniał. On dba tylko o siebie. W ogóle był i pewno jest nadal hipochondrykiem. Choruje na wszystkie możliwe choroby. Kiedy jeszcze kontaktowałam się z Marią, zawsze prosiła mnie o załatwienie najrozmaitszych recept, o leki przeciwko najprzeróżniejszym dolegliwościom. Henryk lubił

chorować, ale panicznie bał się lekarzy. O ile dobrze pamiętam, nawet szkła załatwiałam dla niego tak, mówiąc szczerze, nie bardzo legalnie, ponieważ Henryk nie chciał pójść do okulisty.

— Szkła? Pani szwagrowi potrzebne były szkła?

— Henryk jest krótkowidzem. Nie potrafi się obejść bez okularów. Zawsze ich używał. Kiedy Maria przyprowadziła go do domu, nosił takie śmieszne okulary, powiązane drucikami. On widzi nie dalej niż na odległość kilku metrów. Nie pamiętam dokładnie, ile ma minusów, ale bardzo dużo. Jest prawie ślepcem. Pan jeszcze nie spotkał się z moim szwagrem?

Andrzej pomiął pytanie milczeniem.

— W jaki sposób załatwiła pani szkła dla szwagra?

— Przez znajomego lekarza. Dobierało się dioptrie na „odległość”, jeśli można to w ten sposób określić.

— Mogłaby pani podać nazwisko tego okulisty?

— Nie wiem, gdzie pracuje, ale wtedy pracował w ubezpieczalni społecznej na Jedlickiego. Nazywa się Leopold Komornicki.

## Rozdział 9.

— I co pan sądzi? — zapytał Andrzej Gorczyńskiego, gdy tylko zamknęły się drzwi za Klementyną Nawrocką. W powietrzu unosił się jeszcze subtelny zapach perfum, jaki po sobie pozostawiła.

Popielniczka była pełna niedopałków papierosów bez śladu szminki.

— Bardzo, ale to bardzo piękna kobieta, panie prokuratorze — Gorczyński porządkował wolno, jakby z rozmysłem, kartki zapisane stenograficznymi hieroglifami. — Dawno nie widziałem tak pięknej kobiety. Nie wygląda na więcej niż czterdzieści lat. Wykwalifikowana pielęgniarzka, używająca drogich perfum, ubierająca się w drogie, zagraniczne rzeczy z Peweksu lub komisju.

Nosiła na sobie sporo tysięcy złotych. Moja córka choruje od pół roku na taki płaszcz, niemnący, kosztuje w Peweksie około trzydziestu dolarów. Kapelusz od znakomitej modystki. Pantofle włoskie.

Sukienka też za niezłe pieniądze. No i ta bransoleta z ciężkiego złota, wysadzana szmaragdami, nie największymi, ale zawsze. Jeżeli tak ubiera się na co dzień, musi mieć dużo pieniędzy. Ile zarabia wykwalifikowana pielęgniarzka z najwyższym nawet stażem? Skąd ona na to bierze ? Przecież nie ze swojej pensji. Musi mieć bogatego przyjaciela albo... Tak, to wyjątkowo piękna kobieta.

— Ależ, proszę pana — zaoponował Andrzej zdziwiony. Klementyna Nawrocka zrobiła na nim jak najlepsze wrażenie, nie

zgadzał się z opinią Gorczyńskiego. — Od kiedy pan jest takim koneserem kobiet? Strojów i biżuterii? Skąd pan wie, że jej bransoleta jest ze złota? Mnie na przykład wydała się zwykłą, pospolitą imitacją.

— Widocznie mało złota widział pan w swoim życiu. Na pewno była ze złota i na pewno wysadzana szmaragdami. A na kobietach muszę się znać, ponieważ mam same kobiety w domu. Pan nawet nie potrafi sobie wyobrazić, co to znaczy być jednym mężczyzną wśród kobiet. Żona i trzy córki.

Dorastające córki — podkreślił Gorczyński.

— Kobiety lubią się dobrze ubierać, nie widzę w tym nic złego.

— Jednak niewiele kobiet stać na kosztowne ubrania. A Klementyna Nawrocka, zapewniam pana, miała na sobie rzeczy bardzo kosztowne. Takiej kobiecie na pewno jest łatwo.

— Nie interesuje mnie życie prywatne Klementyny Nawrockiej — odezwał się Andrzej z rozdrażnieniem. — I pana nie powinno obchodzić.

— Ej, czyżby? A cały czas wypytywał ją pan właśnie o jej życie prywatne. Jest piękna, lecz nie ufałbym jej. Ta kobieta jest wyrachowana, zimna i niezdolna do wyższych uczuć.

— Sama o tym mówiła, nie robiła z tego tajemnicy. Odniosłem zupełnie przeciwne wrażenie niż pan — że jest szczerą, bezpośrednią, nieuznającą półśrodków ani kłamstw. Było dużo gorczy w jej słowach, najlepiej świadczy o niej fakt, że nie usiłowała niczym obciążyć swego szwagra, chociaż przyznała, że nie przepada za nim.

— Doprawdy, panie prokuratorze, jest bardzo piękna i zafascynowała pana swoją urodą. Nie obciążała Jagodzińskiego

wprost, ale przez cały czas robiła to w zawoalowany sposób i to konsekwentnie, wiele panu sugerując.

— Nie będziemy się dalej sprzeczać, to bez sensu. Klementyna Nawrocka udzieliła nam ciekawej informacji. Henryk Jagodziński nie może obejść się bez okularów. Okulary — oto element, którego brakowało jego twarzy. Już pani Eliza Hoffmann zwróciła na to uwagę . Zszedł więc do ciała żony bez szkieł. Dlaczego? Przyjął nas wczoraj bez szkieł. A jest prawie ślepcem.

— To niesprawdzona informacja, udzielona przez Klementynę Nawrocką.

— Doprawdy, czemu się pan tak na nią wziął? Informacja Nawrockiej jest do sprawdzenia. Ma pan nazwisko i adres okulisty, który wystawiał recepty dla Jagodzińskiego. Czy sądzi pan, że kłamałaby, powołując się na opinię lekarza? Stwierdziła zresztą, że nie pamięta, ile dioptrii miał Jagodziński.

Poza tym jaki cel przyświecałby jej w podawaniu fałszywej informacji?

— Chciała zemścić się na szwagrze. Za siostrę. Piękne kobiety potrafią być okrutne — powiedział Gorczyński.

— Pana słowa zabrzmiały teraz tak osobiście, że zastanawiam się, czy pana kiedyś nie skrzywdziła jakaś piękna kobieta — zauważył Andrzej.

Gorczyński zmieszał się.

— O Boże — powiedział po chwili milczenia. — Z panem lepiej nie zaczynać. Jest pan niezłym psychologiem — roześmiał się trochę sztucznie. — Powracając na ziemię, obawiam się, że nasza kochana

Eliza Hoffmann tym razem się omyliła. Jagodziński od pięciu lat przestał wychodzić z domu, ale przedtem ludzie go widywali. Pani Eliza Hoffmann również. Pracował i jeżeli jest prawie ślepcem, jak to podkreśla z naciskiem Nawrocka, to musiał korzystać stale z okularów. A więc w pracy, na ulicy, wszędzie. Potem odseparował się od życia, zapomniano o nim i zapomniano jak wyglądał. Powiedzmy, że okulary stukły się. W końcu przeżył szok, mógł więc w zdenerwowaniu upuścić okulary, nieważne jak, w każdym razie stukły się. Zszedł więc do ciała bez okularów. A i nieomylna Eliza Hoffmann, tak niezwykle spostrzegawcza i bystra, nie pamiętając Jagodzińskiego sprzed lat, zauważyła tylko, że czegoś jego twarzy brakowało i tu jej pamięć nie dopisała.

— Niemożliwe — stwierdził spokojnie Andrzej.

— Co niemożliwe?

— Człowiek, który jest prawie ślepcem, który ma tak słaby wzrok, musi posiadać zapasowe szkła.

Nie może mieć tylko jednej pary okularów. Zwłaszcza, jeżeli ma uraz do lekarzy i jeżeli załatwienie recept odbywa się drogą pośrednią, a więc nieco kłopotliwą.

— Po co, po jakiego diabła miałyby ukrywać swój słaby wzrok? Bez sensu! — zdenerwował się Gorczyński.

— Chwileczkę.

Andrzej rozłożył arkusz papieru, szybkimi ruchami naszkicował dwa portrety. Na pierwszym twarz Jagodzińskiego, rozlana z łysiejącym czołem, wąskimi ustami, szyją tonącą w zwałach tłuszczu. Na drugim ta sama twarz, jedynie oczy przysłonięte okularami.



— Proszę, niech pan spojrzy.

— Widzę, że ma pan zdolności plastyczne. Żeby na poczekaniu, z pamięci, uchwycić tak znakomicie podobieństwo? Pan mnie zdumiewa, panie prokuratorze.

— Kiedyś nawet myślałem poważnie o studiach plastycznych — powiedział Andrzej. — Rysowanie nigdy nie sprawiało mi kłopotu. Ale zrobiłem kilka szkiców, kilka prób, poszedłem z tym do kogoś, kto się na tym zna i dowiedziałem się, że zdolności owszem mam, jednak dość przeciętne. Podobnie jak pani Eliza Hoffmann nie chciałem zostać artystą przeciętnym, jakich wielu, więc zniechęciłem się, zwinąłem te kilka płócien, akwarelek, związałem sznurkiem i schowałem za szafę. Leżą tam do tej pory. Jednak lubię, ot tak sobie, dla własnej przyjemności czasem zrobić jakiś szkic, coś zapisać rysunkiem, jakąś ciekawą twarz, postać, sylwetkę... Niech pan przyjrzy się teraz dwóm wersjom tej samej twarzy. Nic pana nie uderza?

Gorczyński pochylił się nad rysunkiem.

— Owszem. Okulary zmieniają twarz. Nawet bardzo zmieniają. Do czego pan zmierza?

— Nie wiem — powiedział Andrzej. — Narysowałem to, ot tak sobie. Żebym ja wiedział, do czego zmierzam?

I szybko dorysował Jagodzińskiemu wąsiki.

— Teraz by go pan nie rozpoznał, spotykając na ulicy — zaśmiał się Andrzej.

— No, to niech pan jeszcze machnie mu brodę, dorobi wspaniałe bujne włosy i będziemy mieli czwartą wersję pana Jagodzińskiego —

zażartował Gorczyński. — Albo niech pan zlikwiduje trzy podbródki i otrzymamy pana Jagodzińskiego z czasów młodości. Kiedyś poproszę pana o zrobienie mojej podobizny. Daję słowo, oprawię w ramki i powieszę w swoim pokoju. Jeżeli kiedykolwiek w życiu będę miał swój pokój. Jak się ma tyle kobiet w domu, to dla jednego mężczyzny brakuje miejsca. Przeganiają mnie z kąta w kąt. Żonie przeszkadzam w kuchni, trzy moje córki kłócą się bez przerwy między sobą, a mamy tylko dwa pokoje z kuchnią.

— Ciężko panu.

— Przyzwyczailem się. Zresztą, tak rzadko bywam w domu... Już pan zauważył, że u nas nie obowiązuje ośmiogodzinny dzień pracy.

Andrzej przyglądał się swoim rysunkom. Pięciu wersjom Henryka Jagodzińskiego. Poczłł nagle niepokój. Okulary. Dlaczego Henryk Jagodziński nie chce pokazywać się w okularach?

— Teraz rozumiem — powiedział głośno Andrzej — czemu on tytułował mnie „panem kapitanem”.

Pamięta pan? On po prostu udał, że odczytuje legitymację, którą mu pokazałem. Nie mógł odczytać, ponieważ był bez okularów. Zamarkował. Dlaczego? Czym da się wytłumaczyć zachowanie Jagodzińskiego? O wiele prościej byłoby, gdyby powiedział: „Wybaczcie panowie, lecz zgubiłem czy też potłukłem okulary, nie mogę znaleźć pary zapasowej, nie przeczytam”. W ogóle nie powinien był żądać okazania legitymacji, jeżeli nie mógł jej odczytać. Ale on zażądał i odegrał prześliczną scenkę. Bardzo zresztą zręczną. Trzymał legitymację ani zbyt blisko, ani zbyt daleko od oczu. Więc mamy wyjaśnione drugie kłamstwo, że to nie żona, a sam Jagodziński usunął

obrazek, dlatego nie dostrzegł różnicy w kolorze ściany ani nie zauważył kurzu wokół miejsca po obrazku.

— Dlaczego miałyby mu przeszkadzać jakiś niewinny obrazek? — zaproponował Gorczyński.

— A jeśli to nie był niewinny obrazek? Nie widzieliśmy go. Słyszeliśmy jedynie relację Jagodzińskiego, który zbyt wiele kłamstw popełnił, żeby mu nadal wierzyć. Obrazek opisał szczegółowo, jakiś pejzaż z jeziorem i zachodzącym słońcem. Wisiał tyle lat i raptem przestał się podobać? Maria Jagodzińska szczyściłaby natychmiast płamę na ścianie. Obrazek, który trzeba zdjąć?

Pejzaż? Dziwne.

— Pana naprawdę ponosi wyobraźnia. Jeżeli bowiem zgodnie z pana teorią, Jagodziński sam zdjął obrazek ze ściany czy cokolwiek, co tam wisiało, to nie musiał się krępować obecnością żony. I zrobiłby to w okularach, ona przecież wiedziała, że nosi je na co dzień.

— A jeśli usunął dopiero po jej śmierci, ponieważ obraz przedstawiał coś, co go kompromitowało?

— Ech, tyle czasu wisiał i Jagodziński nie miał podobnych obiekcji, dlaczego ni stąd, ni zowąd miałyby go ogarnąć? Ale założmy, że tak właśnie było, jak pan sugeruje. Żona Jagodzińskiego nie żyje, wisi sobie obrazek na ścianie, Jagodziński postanawia się go pozbyć. Panie prokuratorze, jest wtedy sam w swoim własnym mieszkaniu i w okularach, bo przed nikim nie musi się ukrywać.

Zdejmuje obraz, no i właśnie widzi płamę i kurz. Nic mu nie przeszkadza, żeby zatrzeć ślad, zwłaszcza że to ma być dla niego takie ważne. Sumując, to rozumowanie nie opiera się na żadnych

logicznych przesłankach. Przepraszam pana, wydaje mi się, że jest bez sensu.

Andrzej nie słuchał jednak wywodów Gorczyńskiego, tylko patrzył na swoje rysunki: Jagodziński bez okularów, Jagodziński w okularach, Jagodziński w okularach i z wąsikami...

— Cokolwiek wisiało na ścianie? Cokolwiek — powiedział Gorczyński. — Mogło to być na przykład zdjęcie ślubne przedstawiające pana młodego i jego młodą żonę. Pan młody był w okularach i o dwadzieścia lat młodszy. Ta ostatnia wersja została naszkicowana z wyobraźni: szczupła, pociągła twarz, czoło wysokie, wąskie usta — Henryk Jagodziński. Rysy te same, lecz twarz inna. Jakby cudza. Jeszcze okulary. Oczy przesłonięte okularami, twarz zmieniona nie do poznania.

— Cokolwiek by wisiało, powiedział pan? Kochany panie, podsunął mi pan pewną myśl. Niech pan będzie tak dobry, załatwi szybko wóz, pojedzie do Henryka Jagodzińskiego i sprowadzi go tutaj, do mnie. Wierzę, że trudno mu chodzić, bo odwykł od ruchu. Powie mu pan, że to zwykła formalność i że to wszystko jest już w zasadzie wyjaśnione. Może go pan poinformować o tym, iż wynik sekcji potwierdza tezę o wypadku, jednak nic ponadto. Powie pan mu również, że potrzebny nam jest jeszcze jeden jego podpis i że dostanie zezwolenie na zabranie ciała żony do Zakładu Medycyny Sądowej. Niech pan postara się być jak najbardziej uprzejmy i delikatny. I proszę dyskretnie rozejrzeć się po mieszkaniu, czy są tam jakieś zdjęcia, no wie pan, ludzie lubią ustawiać na kredensie czy w innym miejscu swoje pamiątkowe zdjęcia rodzinne, oprawiają je w ramki, trzymają

za szkłem. Lecz ani słowa o okularach. Niech mu pan współczuje i będzie miły. I zwróci uwagę: jakie położenie zajmuje fotel przed telewizorem. Nie wiem, czy pamiętam dokładnie. Chciałbym się upewnić. Kiedy go pan tu sprowadzi, proszę mu nie pomagać przy chodzeniu, nie podawać ramienia, nic z tych rzeczy. Będę szczęśliwy, jeżeli okaże się, że się mylę. Zostawi go pan na korytarzu, przyjdzie do mnie. Chcę, żeby poczekał parę minut, ale nie za długo, i potem go pan wezwie. I jeszcze jedno, zanim pan załatwi wóz, proszę kogoś pchnąć, aby odszukał doktora Komornickiego i sprawdził, ile dioptrii miały szkła Henryka Jagodzińskiego.

— Co pan zamierza, panie prokuratorze?

— Zamierzam przeprowadzić towarzyską pogawędkę z panem Jagodzińskim. Nic więcej.

— Pan go podejrzewa?

— Sam pan powiedział, że istnieje tylko jedna alternatywa — winny albo niewinny. Od pewnego czasu pragnę dowieść, że jest niewinny. Aby zyskać pewność, muszę wyjaśnić kilka interesujących szczegółów.

## Rozdział 10.

Andrzej został sam w gabinecie. Przez otwarte okno dochodził hałas ludnej ulicy wielkiego miasta.

Był to zgrzyt tramwajów na pobliskim skrzyżowaniu, szum samochodów przejeżdżających nieprzerwanym strumieniem, pisk hamulców i głośne rozmowy ludzi czekających na przystanku autobusowym. Przeszkadzał mu ten hałas. Jeszcze w szkole i na studiach, przygotowując się do egzaminów, musiał mieć idealny spokój i ciszę, inaczej nie potrafił się skoncentrować. Zamknął okno, ale to niewiele pomogło. Przedwczoraj, w duszny, gorący, bezwietrzny wieczór, kilkanaście ulic stąd kobieta poniosła śmierć. Była niestara, choć bardzo zniszczona życiem. Czy śmierć ta była przypadkowa, czy też umyślna? Krzyknęła tylko raz — krótko, urywanie. Krzyknęła... Sekcja zwłok wykazała, że nie zabiło jej uderzenie o beton, chociaż było śmiertelne, nie mogło zabić, ponieważ nie żyła już wcześniej. Zabiło ją jej własne serce. Stała na szerokim parapecie okiennym, bardzo nieostrożnie, powinna była przedtem zamknąć okno. Było duszno, parno, czekała na burzę, która przyniesie ulgę. Otwarte okno, wysokie, wąskie, z rozdzielającą je pionową futryną, z ustawioną rozłożystą paprocią. Dlaczego nie zamknęła okna? Śpieszyła się? Z jakiego powodu się śpieszyła?

Pytania, na jakie nie zna na razie odpowiedzi. Krzyknęła? Krzyknęła — a więc wtedy jeszcze żyła.

Może to właśnie śmierć przerwała jej krzyk? W którym momencie

krzyknęła? Spadając w czeluść podwórza? Jagodziński przesłuchiwany po wypadku, powiedział, że żona uknęła na parapecie, szykując się do zejścia... Szybko jednak zmienił tę wersję... Gdyby w tym momencie nastąpił śmiertelny skurcz chorego serca, wyczerpanego brakiem powietrza i dusznością, to kobieta umarłaby leżąc na okiennym parapecie. Czy krzyknęła porażona bólem serca? Czy krzyknęła przerażona i zaskoczona tym, co się nagle stało — nagłą utratą równowagi? Czy tym, co tę utratę równowagi spowodowało?

Moje rozważania są bez sensu, czysto akademickie, werbalne — pomyślał Andrzej. Uprzedziłem się.

A ryzyko odpowiedzialności? Jeśli jednak moje uprzedzenie jest słuszne? Nagromadziło się tyle dwuznacznych szczegółów i szczegółików, każdy z nich można wytłumaczyć, racjonalnie uzasadnić tak w jedną, jak w drugą stronę. A trzeba tylko w jedną. Tak albo tak. Jakie powody mógłby mieć Henryk Jagodziński, aby zabić swoją żonę? To śmieszne, ale nie miał żadnych. Spokojne na pozór małżeństwo. Może niezbyt szczęśliwe, ale wiele takich żyje, zachowując pozory. Rozumując logicznie, dochodzi się do wniosku, że Jagodziński nie miał motywu. Na śmierci żony wyłącznie tracił, a nie zyskiwał. Tryb życia, jaki prowadził, uzależniał go od niej całkowicie. Jest zniedołężniały, źle widzi, inwalida, renta na pewno niezbyt wysoka, dlaczego miałby zabijać?

Bzdura! Nie istnieją żadne przesłanki do podejrzeń. Dlaczego ja się go tak uczepliłem? Nie mogę mieć racji. Nie chcę mieć racji. Winny — stwierdzenie nie do przyjęcia. On jest niewinny. Zgasił, a potem

zapalił światło. Mógł nie wiedzieć, co robi. Zszedł w butach, chociaż od lat chodzi po domu w miękkich pantoflach. I co z tego wynika? Przecież nic. Kompletnie nic. Może naprawdę zgubił okulary, a nie posiada zapasowych? Zauważyłem brak jakiegoś bzdurnego obrazka na ścianie, a ja od razu dorabiam ideologię.

— Panie prokuratorze?

Andrzej drgnął. Zamyślony nie słyszał, jak sekretarka wydziału, młoda i ładna dziewczyna, przez pracowników zdrobniale nazywana Zosią, weszła do gabinetu.

— Panie prokuratorze, jakaś pani — Zosia parsknęła śmiechem — jakaś pani do pana. Wysoka na dwa metry. Powiedziała, że pan ją na pewno przyjmie.

— Nikogo teraz nie przyjmuję — powiedział Andrzej. — Jestem zajęty.

— Ja też jej powiedziałam, że nic z tego. Na to ona do mnie: „Moja łaskawa panienko, nazywam się Eliza Hoffmann, tylko proszę nie przekreślić mego nazwiska, przez dwa «f» i dwa «n»”. Pewno niekiepska wariatka! A jak ubrana! Nie widziałam jeszcze kogoś tak dziwnego! — I sekretarka znowu roześmiała się.

— Pani Eliza Hoffmann? Do mnie? — zastanawiał się przez moment. Nie miał ochoty na rozmowy z Elizą Hoffmann, skoro jednak pofatygowała się, nie wypada jej zbyć.

— Dobrze, niech wejdzie.

Eliza Hoffmann weszła, pochylając głowę przy drzwiach, jakby obawiała się zawadzić nią o framugę. Głęboka czerń długiej do kostek sukni podkreślała jeszcze jej wzrost. Na ramiona miała zarzucony



koronkowy, różowy szal. Rzeczywiście wyglądała dziwnie.

— Witam pana — powiedziała, wyciągając dłoń do Andrzeja.

— Widzę, że pan ma kłopoty.

Spojrzał na nią z taką niechęcią, która go samego zdumiała. Jaka domyślna: „Widzę, że ma pan kłopoty...”. Usłużna i wścibska kobieta, która czatowała wczoraj na nich, aby broń Boże, nie pozbawić się dreszczyku emocji. Poza tym ten jej ubiór i pokój na różowo. Pozowanie na wariatkę, dla której jakieś idiotyczne pająki stanowią zagrożenie.

Jest zapewne zgorzkniałą ekscentryczną starą panną, zajmującą się plotkami i cudzymi sprawami, które nie powinny jej wcale obchodzić.

— Słucham panią.

Eliza Hoffmann nie zważając na ton głosu Andrzeja, oschły i oficjalny, odsunęła krzesło, usiadła, rozejrzała się ciekawie dokoła.

— Przyszłam do pana, żeby powiedzieć, że wiem, czego brakowało twarzy pana Jagodzińskiego.

— W gruncie rzeczy już mnie to niewiele interesuje. Sprawa jest tak oczywista, że zamykam ją ostatecznie.

Eliza Hoffmann nie wyglądała ani na zaskoczoną, ani na przejętą.

— Z pewnością śmierć pani Marii Jagodzińskiej wygląda pozornie na naturalną. Ale...

— Proszę pani — przerwał jej Andrzej — z przyjemnością pani wysłucham, jeżeli ma pani coś istotnego do zakomunikowania, pragnę jednak zauważyć, że wszelkie opinie na temat śmierci Marii Jagodzińskiej powinna pani zostawić osobom bardziej kompetentnym.

— O, szybko pan się uczy sztuki obłudy — Eliza Hoffmann nie wyglądała na dotkniętą czy urażoną.

— Bardzo dobrze. I nie jest pan już taki uprzejmy, powiedziałabym, że raczej niegrzeczny, czego nie mam panu za złe, widzę bowiem, że jest pan zdenerwowany, a domyślam się powodów. Znalazł się pan jakby między mieczem a kowadłem. Nie ufa pan mężowi Marii, zaś równocześnie — nie zna pan żadnych motywów, dla jakich Jagodziński mógłby posunąć się do zabójstwa. A że jeszcze nie nabył pan zawodowej rutyny, która pozwoliłaby panu zagłuszyć pańskie sumienie, więc denerwuje się pan, nie umiejąc powziąć ostatecznej decyzji. A jeśliby znalazł się motyw, przyczyna, to co wtedy?

— Proszę pani! — uniósł się Andrzej. Albo ona jest taka mądra, albo on jest aż tak głupi, że łatwo daje się byle komu rozszyfrować!

— Zaraz wychodzę, doprawdy, pan źle mnie sądzi. I chyba siebie również — Eliza Hoffmann wstała i, już nie wyciągając ręki na pożegnanie, dodała: — Henryk Jagodziński ma bardzo zły wzrok. Może to pan łatwo sprawdzić. Jego twarzy brakowało okularów i zamierzał ten fakt ukryć. Mówiłam panu, że kiedyś zabawiałam się w artystkę malarkę. Namalowałam w domu kilka portrecików pana Jagodzińskiego. Parę wersji. Poza tym przypomniało mi się, że gdy byłam po raz drugi u pani Marii i zostałam przez nią wpuszczona do pokoju, przed telewizorem leżały duże, męskie okulary w rogowej oprawie. Pani Maria nie używała szkieł. Okulary stanowią charakterystyczną cechę twarzy człowieka. Niekiedy — identyfikującą. Niech się pan nad tym zastanowi. Dlaczego ktoś chce zataić szczegół, który go może zidentyfikować? Żegnam pana.

I wyszła, nie zapominając schylić głowy w drzwiach. Andrzejowi zrobiło się przykro. Nie należało zachować się w ten sposób wobec tej starej, dziwacznej damy. Nie zasługiwała na nieuprzejmość.

Sięgnął po swoje portreciki Jagodzińskiego. Niewątpliwie okulary zmieniają twarz. Cecha charakterystyczna? Bardzo charakterystyczna. Identyfikująca? W domu nosił okulary, od początku tego nie ukrywał przed żoną i Klementyną Nawrocką. Okulary związane drucikami. Nawrocka starała się dla niego o receptę na szkła. Ale gdyby miał na sumieniu jakieś przestępstwo, za które był ścigany, to właśnie w tamtym czasie nie nosiłby okularów, ponieważ łatwo by go zidentyfikowały.

Nie teraz. Nie po przeszło dwudziestu latach, ponieważ w ciągu tego okresu, izolowany od ludzi i życia nie miał nawet okazji do popełnienia jakiegokolwiek przestępstwa. To wszystko pozbawione jest logiki. Na siłę dopasowane teorie do moich bzdurnych wątpliwości, bez żadnych podstaw, nieuzasadnionych, niepopartych choćby jednym konkretnym faktem. Z kolei — dlaczego Jagodziński pragnie zataić to, czego nie ukrywał przedtem? Nie rozumiem. I dlaczego usiłował odegrać rolę człowieka, który widzi normalnie? Doprawdy, należy zakończyć jak najszybciej zabawę w ciuciubabkę. Niepotrzebnie kazałem sprowadzić tego nieszczęśnika, do którego, trzeba przyznać otwarcie, zwyczajnie się uprzedziłem — rozmyślał Andrzej, czując jednocześnie potęgający się niepokój. Jagodziński miał już dość czasu, aby odnaleźć zgubioną parę okularów, jeśli ta, którą nosił na co dzień, uległa zniszczeniu. Z pewnością przyjdzie w okularach i cała sprawa nareszcie się wyjaśni.

Zadzwoił telefon. Andrzej drgnął, przestraszony.

— Halo?

— Panie prokuratorze, mówi Gorczyński. Za piętnaście minut przywiozę Jagodzińskiego. Nie bardzo miał ochotę, wykręcał się złym samopoczuciem i innymi dolegliwościami. Nie chciał się przy mnie ubierać, był jak zwykle w szlafroku i domowych pantoflach. Byłem również u doktora Komornickiego, który potwierdził informację Klementyny Nawrockiej, że Jagodziński jest niemal ślepcem i używa bardzo silnych szkieł, minus czternaście dioptrii. Praktycznie — nie może obejść się bez okularów. Tyle na razie. Do widzenia!

— Panie Kazimierzu! — zawołał Andrzej, lecz Gorczyński wyłączył się.

— W takim razie Jagodziński musi używać szkieł — powiedział do siebie Andrzej. — Musi.

Rozpoczął nerwową wędrówkę po gabinecie. Od okna do drzwi. Tam i z powrotem. Trzeba Jagodzińskiego zapytać wprost o jego oczy. Odpowiedź będzie rozstrzygająca. Czas oczekiwania dłużył się Andrzejowi tak bardzo, że aby się czymś zająć, zrobił porządek na biurku, poukładał kartki, ołówki, zupełnie niepotrzebnie zajrzał do szafy, otworzył okno, potem je zamknął, ale zrobiło mu się gorąco, więc znowu otworzył, co chwila spoglądał na zegarek i poprosił nadąsaną Zosię o zrobienie mu kawy. Myślał, że nigdy nie doczeka się Gorczyńskiego, który się spóźniał. Minęło pół godziny od telefonu.

— Jest pan nareszcie! — powiedział Andrzej z ulgą, gdy Gorczyński wpadł podniecony do gabinetu.

— Gdzie Jagodziński?

— Zgodnie z zaleceniem poprosiłem go, żeby chwilę zaczekał, panie prokuratorze. Wie pan, jednak coś nie jest w porządku. Co za sprawa! Cholera wie, niczego nie rozumiem! Staralem się wykonać wszystko, jak pan prosił. Znowu długo nie otwierał. Pytał kto, po co, dlaczego. Odniosłem wrażenie, że jakby się wystraszył. Ale mogę się mylić. Trochę rozpaczał, mówił wciąż o żonie, że nie wie, co z sobą zrobi, jak będzie żyć bez niej, bo jest sam i w dodatku chory, pytał się o możliwości zmiany mieszkania, mówił, że musi mieć opiekę i jednocześnie, dlaczego tak się nim interesujemy, i to mi się nie podobało. Powiedziałem mu, że ostatecznie pragniemy zakończyć sprawę, bo jest już wynik sekcji. Ucieszył się do tego stopnia, że prawie zapomniał o rozpaczy.

— Zaraz, po kolei — przerwał Andrzej. — Jak był ubrany, kiedy pan wszedł do mieszkania?

— Tak samo jak wczoraj. W szlafroku, w miękkich pantoflach.

— Okulary?

— Otworzył drzwi i nie miał okularów, panie prokuratorze.

— W którym momencie rozmowy uspokoił się, bo z tego, co pan opowiada, wynika, że raczej zdenerwowała go pańska wizyta?

— Uspokoił się, gdy powiedziałem mu, że sprawę ostatecznie zamykamy.

— Pytał pana o jakieś szczegóły?

— Nie. Kiedy poprosiłem go, aby zechciał się udać ze mną do pana, bo trzeba jeszcze podpisać protokół, zapytał rzeczowo: „Czy nie byłoby prościej, aby pan ten protokół tu do mnie przywiózł, jeżeli już się pan fatygował? Chyba to nie ma znaczenia, czy go podpiszę u

siebie w domu, czy w urzędzie? Zwłaszcza, że jestem człowiekiem ciężko chorym”. Po czym rozpoczął długą litanię rozmaitych dolegliwości. Powiedziałem, że mam wóz, zaś po dopełnieniu formalności z powrotem go odwieziemy. I wie pan co, panie prokuratorze? On się znowu wystraszył i to do tego stopnia, że nie umiał się opanować. Zaczął krzyczeć o bezduszości, braku litości, o swojej rozpacz. Długo musiałem go uspokajać. No, ale w końcu poprosił mnie, abym na niego zaczekał kilka minut przed domem, bo chce się ubrać. Oznajmiłem mu, że nie musi się wcale spieszyć, że zjawię się po niego za pół godziny. No i pojechałem do doktora Komornickiego, którego nowy adres znalazłem w spisie lekarzy.

— O tym za chwilę — przerwał Andrzej. — Czy rozejrzał się pan po mieszkaniu?

— Nie bardzo mogłem, ale udało mi się trochę przepatrzyć kąty. W pokoju nie ma żadnego zdjęcia.

To stwierdziłem z całą pewnością. Fotel stoi blisko przed telewizorem, tyłem do okna.

— Tyle i ja zapamiętałem, lecz wolałem się upewnić. Oparcie jest wysokie. Kiedy człowiek siedzi w takim fotelu, oparcie zasłania mu całkowicie widok na znaczną część pokoju. W tym również na okno, z którego wypadła Maria Jagodzińska.

— Ma pan rację, panie prokuratorze. I jeszcze jedno, najważniejsze, miejsce na ścianie po obrazie zostało dokładnie wytarte. Nie różni się teraz od reszty ściany.

— Na pewno?

— Na pewno. Bardzo staranna robota.

— Pytał się pan, dlaczego to zrobił?

— Nie. Nie pytałem o nic.

— To bardzo dobrze. Przyjechał pan po niego i długo jeszcze czekał?

— Nie. On już stał przed domem.

— W okularach?

— Bez okularów. A że już wiedziałem od doktora Komornickiego...

— Dobrze, dobrze. Niech pan poprosi do mnie Jagodzińskiego.

Jagodziński mimo ciepłego dnia miał na sobie szczelnie zapięty prochowiec, na głowie pilśniowy kapelusz z szerokim rondem. I kapelusz, i prochowiec musiały pochodzić sprzed wielu lat, nikt już takich od dawna nie nosił. Wszedł, podpierając się laską. Na nogach miał czarne, lśniące, skrzypiące półbuty.

— Dzień dobry, panie Jagodziński. Doprawdy czuję się w obowiązku przeprosić pana, że tak bardzo pana fatygujemy. Proszę, proszę bliżej — powiedział Andrzej, nie ruszając się ze swego miejsca za biurkiem. — Ale mam dla pana pomyślne wiadomości. Otóż możemy sprawę uważać za zakończoną.

Otrzyma pan zezwolenie na zabranie ciała żony z Zakładu Medycyny Sądowej. Przykro mi, ale sekcja była konieczna.

Opierając się na lasce Jagodziński powoli, ostrożnie przeszedł pokój i zatrzymał się tuż przed biurkiem. Pierwszy raz wyciągnął rękę.

— Dzień dobry — powiedział. — Czy mogę usiąść?

— Oczywiście. Proszę.

Lekko się potknął, odsuwając krzesło.

— Pan kuleje. Co się panu stało w nogę?

— Jestem kaleką — odpowiedział Jagodziński.

— Nie zauważyłem poprzednio, żeby pan kulał — Andrzej starał się mówić jak najbardziej życzliwie.

— Czy to karalne? — agresywnie zapytał Jagodziński.

— Jestem inwalidą wojennym, mówiłem już. Mam legitymację, rentę i prawo, żeby kuleć. W czasie wojny przestrelono mi nogę — uderzył się lekko po udzie — i groził mi całkowity niedowład.

Udało się zapobiec temu, mogę chodzić i rzeczywiście, jak pan prokurator był łaskaw spostrzec, nie zawsze utykam. Noga dokucza mi czasami mniej, czasami więcej. Czuję ją zwłaszcza przed każdą zmianą pogody. A zanosi się na zmianę. Niech pan spojrzy, będzie burza.

Rzeczywiście, niebo pociemniało i zaciągnęło się niskimi chmurami.

— Współczuję panu. To musi być bardzo przykre.

— Jest przykre. Chodzenie sprawia mi dzisiaj olbrzymią trudność — Jagodziński skrzywił usta w bolesnym grymasie.

— Mój zastępca odwiezie pana do domu. Nie będzie pan musiał się trudzić — powiedział Andrzej i zaczął na czystej kartce kreślić geometryczne figury, jakieś romby, kwadraty, prostokąty. Zastanawiał się, w jaki sposób ma prowadzić dalej rozmowę, aby nie spłoszyć Jagodzińskiego. Intuicyjnie wyczuwał, że Jagodziński nie pozwoli się tak łatwo podejść. Był czujny, napięty i uważny.

— Właściwie cała sprawa dobiega końca — zaczął Andrzej.

Jagodziński poruszył się niespokojnie.

— Jak to dobiega końca? — zapytał.



— No cóż, mamy już wynik sekcji zwłok. Jeżeli pana interesuje, proszę, może się pan z nim zapoznać — Andrzej poszperał w stosie papierów, wyciągnął arkusz i podsunął Jagodzińskiemu.

— I po co to wszystko? — zauważył z goryczą i wyrzutem Jagodziński. — Musieliście jeszcze ją krajać, znęcać się nad zwłokami?

— Panie Jagodziński, niechże pan zrozumie, że taka jest właśnie procedura. Zawsze.

— To nieludzkie.

— Jednak konieczne. Proszę, nie interesuje pana wynik?

— Nie — oświadczył Jagodziński, nie sięgając nawet po arkusz. — Zupełnie mnie nie interesuje. Nie chcę czytać tych wszystkich szczegółów.

Widziałem ją... widziałem swoją żonę martwą, tam na podwórzu... a pan mi podsuwa wynik sekcji!

— No cóż, może niezbyt to taktowne z mojej strony. Przepraszam. Panie Jagodziński, czy pańska żona chorowała na serce?

— Dlaczego to pana interesuje?

— O, Boże — westchnął Andrzej. — Jakież pan jest podejrzliwy.

— Niech pan przejdzie do właściwej sprawy i przestanie wreszcie przepytawać mnie z mojego życia! — krzyknął Jagodziński.

— Pytanie, jakie panu postawiłem, nie dotyczy pańskiego życia, a zdrowia pańskiej żony — odparł Andrzej, z trudem hamując gniew. — Więc słucham pana?

— Moja żona rzadko skarżyła się na zdrowie. Owszem, przyjmowała czasem jakieś krople, ale nic mi o tym nie wiadomo, aby

chorowała na serce... Chociaż, chwileczkę, parę razy skarżyła się, że jej dokucza. Jaki to ma związek z wypadkiem?

— Gdyby pan zechciał zapoznać się z wynikiem sekcji, znalazłby pan odpowiedź. Proszę. — Andrzej znowu podsunął mu papier.

— Nie, za nic nie będę tego czytać — zachnął się Jagodziński.

— Nie mogę. Nie jestem w stanie.

Więc Maria chorowała na serce? — zapytał po chwili milczenia. — Poważnie? Biedna. Nie chciała mnie martwić, nic nie mówiła o swojej chorobie. Zawsze była dobrą, troskliwą żoną.

— Pańska żona chorowała na angina pectoris.

Jagodziński ukrył twarz w dłoniach. Milczał.

— Sekcja zwłok wykazała, że bezpośrednim powodem śmierci pańskiej żony był zawał serca.

— Ach, więc dlatego straciła równowagę? Teraz rozumiem. Teraz już wszystko rozumiem — powiedział cicho Jagodziński, wciąż zasłaniając oczy. — Przepraszam pana, panie prokuratorze, za moje zachowanie.

Teraz chciałbym pójść... być sam. Czy już mogę? — odjął ręce i spojrzał pytająco na Andrzeja.

Oczy miał suche, jakby rozpozgodzone, wyraz napięcia ustąpił z jego twarzy. Sięgnął po kapelusz, który trzymał na kolanach, i laskę.

— Tak. Oczywiście, mój zastępca zaraz sprowadzi samochód.

— Dziękuję... Ja wolę być sam... Przejdę się.

— Przywieźliśmy pana, boli pana noga, więc i odwieziemy. To jest spory kawałek drogi. A pan przez tyle lat nie wychodził z domu.

— Boję się ludzi — odparł Jagodziński, wstając ciężko. — Taki ze

mnie dziwak — uśmiechnął się.

— Maria nie miała ze mną łatwego życia. Nie byłem dla niej dobrym mężem, no cóż, dziękuję panu, panie prokuratorze. I jeszcze raz przepraszam.

— Nie mam do pana pretensji. Przecież przeżył pan w ciągu dwóch dni tak wiele... Proszę pana, dlaczego pan nie nosi szkieł?

— Szkieł? Jakich szkieł? O co panu chodzi?

— Okularów — wyjaśnił Andrzej. — Przecież pan ma słaby wzrok.

— Zupełnie pana nie rozumiem. Jakie okulary? Dlaczego miałbym mieć zły wzrok? Znowu jakieś insynuacje.

— Wydawało mi się, że pan się męczy bez szkieł. Ciągłe na przykład mruży pan oczy. Po prostu zainteresowało mnie, dlaczego pan nie używa okularów. Mogły się potłuc, mógł je pan zgubić, nie mieć zapasowych.

— Panie prokuratorze — oświadczył podniesionym głosem Jagodziński — mam normalny wzrok i nie noszę w ogóle okularów.

— Wygląda pan jednak na krótkowidza — upierał się Andrzej. — Ma pan charakterystyczne siodełko przy nasadzie nosa, typowe dla osób, które przez bardzo długi okres noszą okulary.

— Interesujące rozumowanie — ironicznie odparł Jagodziński. — A gdyby mi brakowało zębów w górnej szczęce, wtedy usiłowałby pan dociec, dlaczego nie zrobiłem sobie protezy?

— Być może — roześmiał się Andrzej — lub u jakiego dentysty usuwał pan zęby. Jednak pańska szwagierka, Klementyna Nawrocka powiedziała nam, że cierpi pan na bardzo poważną wadę wzroku.

— Nie interesuje mnie zupełnie, jakich bzdur naopowiadała panu

moja szwagierka! Jeżeli zaś pana tak bardzo obchodzą moje oczy, niechże pan poszuka lekarza, który by mnie leczył i wypisywał recepty na szkła.

— Nie ma takiej potrzeby — odparł Andrzej. — Mój zastępca wyprowadzi pana i pomoże wsiąść do samochodu.

— Trafię sam do wyjścia — oznajmił Jagodziński. — I nie życzę sobie żadnego wozu.

Opierając się na lasce, mocno kulejąc, wyszedł z gabinetu.

## Rozdział 11.

— Ależ się zdenerwował — zauważył Gorczyński.

— Raczej przestraszył. Zdaje się, że popełniłem poważny błąd. Nie należało mówić wprost.

Niedobrze przeprowadziłem rozmowę. Żaden ze mnie taktyk — Andrzej nerwowymi krokami przemierzał gabinet. — A najgorsze, że wciąż niczego nie rozumiem, nic tu nie pasuje i nie łączy się w logiczną całość. Czy przestępstwem jest mieć zły wzrok? Czemu więc Jagodziński wypiera się okularów, jakby stanowiły one dowód... Czego dowód? Czego? Oszaleć można! I jeszcze jaki pewny siebie — odsyłał nas do lekarzy. A nie wygląda na naiwnego. Zapomniał, do diabła, że korzystał z porad specjalisty?

— Panie prokuratorze, niech pan usiądzie i przestanie wreszcie ćwiczyć te marsze — powiedział Gorczyński. — Należy dowiedzieć się, co się kryje za tym wszystkim, ponieważ teraz nawet ja, urodzony sceptyk, nie posiadam najmniejszej wątpliwości, że sprawa nie jest czysta. A Henryk Jagodziński ma powody, aby być pewnym siebie.

Andrzej, zrezygnowany, usiadł za biurkiem. Wyciągnął swoje szkice, przyjrzał się im i ciężko westchnął.

— Jakie znowu powody? Bzdura! Przecież lekarz potwierdził krótkowzroczność Jagodzińskiego.

— Owszem, potwierdził, ale tylko ustnie. Niech pan posłucha. Doktor Komornicki jest mocno starszym panem. Ma pewnie ponad siedemdziesiąt lat. Powinien przejść na emeryturę, ponieważ jednak

w jego specjalności, okulistyce, wciąż brak tak zwanych kadr, więc nadal pracuje. Ostatni raz receptę dla Henryka Jagodzińskiego wypisywał jakieś pięć albo sześć lat temu.

— No i co z tego? Pamięta to. Tyle wystarczy.

— Nie. Trochę jednak za mało. Pamięta Henryka Jagodzińskiego tylko dlatego, ponieważ był to jedyny pacjent w jego praktyce, któremu ustalał dioptrie, nie oglądając go na oczy.

— Jak to możliwe?

— Po prostu, nigdy nie widział tego pacjenta. Nie pamiętał też jego nazwiska. Skojarzył go sobie, gdy wymieniłem nazwisko Klementyny Nawrockiej. „Ach, to ten okropny dziwak, krewny pani Nawrockiej. Mówiłem zaraz, że należy go leczyć u psychiatry” — powiedział. Ani razu go nie badał.

— W jaki sposób mógł więc określić wadę jego wzroku?

— Nie określał jej dokładnie. Pamiętał jedynie, że wypisywał recepty na bardzo silne szkła.

Kilkakrotnie to robił. Nie pamięta, oczywiście, ile razy. Może trzy, a może cztery. Pierwszy raz wystawił taką receptę na usilną prośbę Klementyny Nawrockiej. Pani Klementyna ze swoją urodą, a wtedy była o te kilka ładnych lat młodsza, zdołałaby przekonać każdego mężczyznę. Dał jej receptę.

Nawrocka jest pielęgniarką, ona określała liczbę dioptrii. Doktor Komornicki z całą stanowczością orzekł, że taki człowiek bez szkieł jest nieomal kaleką, nie widzi dalej jak na pięć, sześć metrów.

Potem zamiast Klementyny, powołując się na nią, przychodziła do niego żona Jagodzińskiego.

— I jej również doktor ulegał?

— Jagodzińska opowiedziała mu dość przekonującą bajeczkę. Trudno jej było nie uwierzyć.

— Jaką bajeczkę? Komornicki pamięta?

— Pamięta, bo sam pan przyzna, że to dość szczególny przypadek mieć pacjenta i leczyć go na odległość. Jagodzińska płacząc, opowiedziała, że jej mąż przeżył silny szok podczas wojny, stracił całą rodzinę. Cierpi na lęk przestrzeni, nie może wychodzić z domu, boi się panicznie wszelkich hałasów, przypominających lub kojarzących się z wojną. A więc przelot samolotu może spowodować u niego silną depresję psychiczną, jak również gwałtowne hamowanie samochodu, i tak dalej, i tak dalej. Wtedy doktor Komornicki namawiał ją gorąco, żeby zwróciła się o pomoc do psychiatry. Obiecała, że to zrobi. No, ale receptę wypisał. W końcu nie chodziło o żadne leki, środki nasenne, lecz o zwykłą receptę na szkła optyczne. Wypytywał szczegółowo panią Jagodzińską o wzrok męża, na jaką odległość widzi, czy ma bóle głowy, czy nie cierpi na zawroty, utratę równowagi. Jagodzińska prosiła go o szkła nieco silniejsze od poprzednich. Wynikałoby z tego, że wzrok Jagodzińskiego ulegał stopniowemu pogorszeniu. Doktor Komornicki mówił, że ostatnia recepta, jaką wypisywał mniej więcej sześć lat temu, dotyczyła minus czternaście albo minus trzynaście dioptrii. Dokładnie nie pamięta.

— Trzeba to sprawdzić.

— Ba, kiedy nie ma jak sprawdzić. Jagodziński był jego nieoficjalnym pacjentem, powiedzmy, takim grzecznościowym. Nie zakładał mu karty zdrowia.

— Recepty wypisywał na blankietach ubezpieczalni? Pracował w przychodni? Będą więc odnotowane.

— Nie będą odnotowane, ponieważ nie wypisywał ich na blankietach ubezpieczalni. Nie będą nigdzie odnotowane, gdyż były to w pewnym sensie recepty „lewe”, panie prokuratorze. Doktor Komornicki nie ukrywał tego. Oświadczył, że nie miał prawa wypisywać recept pacjentowi, którego nie leczył. Nie chciał i nie mógł dawać mu prawa do ubezpieczeniowej zniżki. Nie chciał też przyjmować na siebie odpowiedzialności, jeśliby wskazana liczba dioptrii okazała się zbyt wysoka.

Ponieważ pierwsze szkła, które dzięki niemu zyskał Jagodziński — a Komornicki interesował się tym za pośrednictwem pani Nawrockiej — były dobre, więc przy wypisywaniu następnych recept miał nieco mniejsze obiekcje.

— Na Boga Ojca, niechże pan się streszcza, gubię się w tym wszystkim — zdenerwował się Andrzej.

— Dawał receptę, a raczej polecający liścik do znajomego, prywatnego optyka.

— Więc to tak?

— Właśnie.

— Zna pan nazwisko tego optyka?

— Nic już nam po jego nazwisku, panie prokuratorze.

— Znowu mówi pan niejasno.

— Oczywiście, spytałem się o nazwisko optyka i adres. Optyk miał swój maleńki zakład przy ulicy Staromiejskiej. Umarł pięć lat temu. Zakład zlikwidowano, optyk nie miał żadnej rodziny, był samotnym



człowiekiem, kawalerem. Nawet tego domu nie ma, wyburzony podczas rozszerzania ulicy.

— Więc stąd ta pewność siebie — powiedział wolno Andrzej.

— Jednak świadectwo doktora Komornickiego też posiada swoją wagę.

— Niewielką. Każdy adwokat łatwo się z tym upora.

— Ale wystarczy poddać Jagodzińskiego badaniu.

— To prawda. Przedtem jednak musi go pan oskarżyć na podstawie zasadnych dowodów. Wtedy dopiero może pan go poddać badaniom specjalistów.

— Do diabła! Nie mam żadnych zasadnych dowodów, żadnego punktu zaczepienia, nic. W ogóle to jakaś piekielnie cuchnąca historia. Nie do pojęcia! Tyle faktów, jednak na żadnym nie mogę budować aktu oskarżenia. Nawet nie wiem, czy mam prawo używać w stosunku do Jagodzińskiego terminu podejrzany? A jednocześnie proszę, laska, na której się dziś tak ostentacyjnie opierał, podkreślając swoje rzekome kalectwo, miała mu służyć jako asekuracja przy jakimś ewentualnym potknięciu, maskować ślepotę, odwrócić naszą uwagę od błędów, które mógłby popełnić, niedowidząc.

Wysuwał laskę do przodu, bardzo ostrożnie, jakby badał, czy droga wolna. Potem dopiero stawiał nogę. Nie chciał przeczytać wyniku sekcji nie dlatego, że nie był nim zainteresowany, ale dlatego, że nie mógł go przeczytać bez okularów. Z pewnością dużo by dał, żeby zapoznać się z wynikiem sekcji.

Zresztą on był przekonany, że śmierć żony nastąpiła na skutek upadku. Cały czas odgrywał komedię.

Nie wiedział o chorobie serca żony, lecz niezwykle szybko pojął, że jej choroba jest mu na rękę.

— Niepotrzebnie go pan zapoznał z wynikiem sekcji — zauważył Gorczyński.

— Rzeczywiście. W ogóle wiele rzeczy zrobiłem niepotrzebnie. Trudno. Teraz tego nie cofnę. Ale jedno jest pewne, gdy powiedziałem o przyczynie zgonu, uspokoił się, odprężył. Jakby poczuł się wolny od wszelkich podejrzeń, ostatni ich cień został rozproszony.

— Panie prokuratorze, dlaczego pan określił jego kalectwo jako rzekome? On kulał naprawdę. Nie wydawało mi się, żeby udawał.

— Jeżeli ktoś od wielu długich lat ma poważnie chorą nogę, której groził bezwład i jeżeli ten ktoś kiedyś chodził o kulach — a wiemy o tym od Klementyny Nawrockiej — to utykanie przechodzi w nawyk. Utyka się po prostu instynktownie, żeby uprzedzić ból. Zawsze przecież trzeba spodziewać się bólu. Stąpę mocniej, zaboli mnie, nie chcę, aby bolało, stawiam nogę ostrożnie, kuleję.

— A wie pan, ma pan rację. Kiedyś upadłem i złamałem sobie dwa palce u prawej ręki. Założono mi gips, dość opornie się zrastały, potem gips zdjęto, palce były sztywne, musiałem je specjalnie gimnastykować, ale długo potem, gdy ujmowałem pióro, odchylałem automatycznie palce, ponieważ ich zgięcie było bolesne.

— Zwłaszcza — ciągnął swoją myśl Andrzej — że Jagodziński bardzo mało zażywa ruchu. Od pięciu lat nie wychodzi na ulicę. Gdy schodził do ciała żony, nie kulał. Był bez laski, ale w tak dramatycznych okolicznościach, w szoku, miał prawo o niej zapomnieć. Gdyby nawet potknął się i upadł, ludzie poczytaliby to za

objaw rozpaczy. Eliza Hoffmann zauważyła, że szedł bardzo powoli, poruszał się jak manekin. Również naturalnie. Ale to nie było naturalne, chociaż tak wszystkim się wydawało i nikt nie zwrócił na to uwagi, poza Elizą Hoffmann. Myślę, że celowo nie zabrał laski i celowo nie utykał, zamierzając ukryć przed ludźmi nie tylko fakt noszenia szkieł, lecz i swoje inwalidztwo.

— Nie rozumiem, panie prokuratorze.

— Faktem bezspornym jest, że ukrywa swój stan wzroku, tak?

— Tak. To już wiemy na pewno.

— Wczoraj, gdy byliśmy u niego, kulał?

— Chyba nie... Zresztą, uzasadnił logicznie, dlaczego kuleje raz więcej, raz mniej.

— To on tak powiedział, że kuleje raz mocniej, raz słabiej. Pragnął nam zasugerować, że kuleje zawsze, choć nie zawsze jednakowo. Dziś kulał ostentacyjnie. Na prawą nogę. Lecz niezbyt wiele i raczej niechętnie mówił o swoim kalectwie, podczas gdy, jak każdy hipochondryk lubił wymieniać swoje dolegliwości. Ponieważ jednak dzisiaj, bez okularów, nie odważył się przyjść bez asekuracyjnej laski, więc ostentacyjnie kulał. Na prawą nogę — podkreślił z naciskiem Andrzej.

— Wychodząc też kulał na prawą nogę — powiedział Gorczyński.

— Owszem. Tak było. A jednak pomyliły mu się nogi.

— Pomyliły?

— Tak. Obserwowałem go uważnie. Uczulił mnie pan swoim telefonem od doktora Komornickiego.

Byłem wręcz przekonany, że wreszcie włoży okulary. Jednak tego

nie zrobił. Wolał wybrać mniejsze zło i zabezpieczając się laską, manifestował utykanie na prawą nogę. Usiadł, laskę trzymał wciąż przy prawej nodze.

— Pan ciągle z tą prawą nogą!

— Bo to ważne. Potem musiał laskę na chwilę odwiesić, ale bał się, żeby nie upadła. Nie chciał wypuścić jej z rąk, bo nie widząc dobrze, wolał nie szukać laski. Lepiej nie ryzykować, prawda?

Przełożył laskę do lewej ręki, prawą zdjął kapelusz i rozpiął trzy górne guziki płaszcza. Ale zdenerwował się moim pytaniem, dlaczego kuleje, a zwłaszcza gdy powiedziałem mu, że poprzednio tego nie zauważyłem. No i jeszcze, przedtem, siadając, założył nogę na nogę. Lewą na prawą.

Zdrową na chorą.

— Pamiętam, panie prokuratorze! Klepnął się lekko w udo! W udo swojej lewej, zdrowej nogi, a następnie zaczął je rozmasowywać, jakby go bolało — zauważył Gorczyński.

— Wychodząc, kulał na prawą nogę — dopowiedział Andrzej — podczas gdy ma naprawdę chorą lewą nogę.

— A to znowu co nowego?

— Twierdzę, że ma chorą lewą nogę.

— Na jakiej podstawie, do licha? Już teraz doprawdy wszystko mi pan pokręcił!

— Klementyna Nawrocka mówiła, że chodził o kulach. Jest wykwalifikowaną pielęgniarzką. Gdyby wtedy jego kule i chora noga były mistyfikacją, szybko by się tego domyśliła.

— Dlaczego więc kulał na prawą? To bez sensu.

— Dla tych samych powodów, jemu tylko dotąd wiadomych, dla których pragnie, żeby oglądać go bez okularów. Dlatego, schodząc na podwórze po śmierci Jagodzińskiej, pokazał się bez okularów i dlatego nie kulał. Dlatego też wczoraj tak długo nas nie wpuszczał, bo musiał się zastanowić, jak ma postąpić. I znowu nie kulał. Wczoraj nie było to takie trudne, bo ostatecznie miał do przebycia krótką przestrzeń — kilkanaście metrów. Przypominam sobie, jak weszliśmy do pokoju, wtedy on z grymasem bólu oparł się o stół. Dzisiaj zmusiliśmy go do ujawnienia swego kalectwa. Postanowił jednak zdradzić je tylko połowicznie. Jeżeli naprawdę kuleje na lewą nogę, będzie utykał mocno, wyraźnie na prawą. I tak też zrobił.

— Panie prokuratorze — powiedział Gorczyński — ciągle łapiemy się lewą ręką za prawe ucho. Nic do niczego nie pasuje. Pragnę zwrócić pańską uwagę, że Jagodziński mówił wczoraj o rencie inwalidzkiej.

— A mówił, mówił. Mówił też, że jest ciężko chory, bardzo chory, dawał do zrozumienia, że nawet głowę ma nie bardzo w porządku na skutek przeżyć wojennych, było mu to potrzebne do zrobienia wrażenia i wywołania współczucia.

— A jeśli Jagodziński ma naprawdę bzika? Jest chory psychicznie? Nareszcie to sobie powiedzmy — już nie ma wątpliwości, zachodzi podejrzenie, uzasadnione podejrzenie, o popełnienie zabójstwa.

Zaczynam wierzyć, że to on zabił swoją żonę, wypychając ją z okna. Ale jaki motyw? O co w tym wszystkim może chodzić? Zabijają dla pieniędzy. Zabijają z miłości. Z zazdrości. Z nienawiści.

Zawsze musi być motyw, powód, przyczyna. Żadna tu nie pasuje.

Tu w ogóle nic nie pasuje. Nie można się już wycofać i tak zostawić tej historii, nie można, przynajmniej na razie, tego człowieka oskarżyć, nic nie można. Nie posiadał majątku. Żyli ze sobą, lepiej lub gorzej jak tysiące małżeństw, dwadzieścia lat. Namiętność? Zazdrość? Przecież to śmieszne. Co więcej — ona mu była potrzebna do życia, chował się za nią jak za parawanem. Utrzymywała go, pracowała na niego, dbała. Wierzę mu, gdy mówi, że on bez niej żyć nie może. Wszyscy po kolei potwierdzają jego dziwactwa. Pięć lat bez kontaktu z ludźmi? Panie prokuratorze, chyba że mamy do czynienia z wariatem, ale z kolei on nie wygląda na wariata, nie zachowuje się jak wariat, jego posunięcia są precyzyjnie przemyślane.

Chyba my sami zwariujemy.

— Niech pan powtórzy szybko, proszę!

— Co mam powtórzyć?!

— Powiedział pan o Marii Jagodzińskiej, że go utrzymywała, pracowała na niego... i dalej. Jak dalej powiedział?

— No nic takiego, utrzymywała go, dbała, harowała...

— Nie, nie! Jakoś inaczej. Niech pan powtórzy! Koniecznie.

— Powiedziałem, że była mu potrzebna do życia, chował się za nią jak za parawanem...

— Chował się? Chował się jak za parawanem? Ma pan rację. Jagodziński się chował.

— Tym bardziej była mu potrzebna!

— Tak albo nie. Wynika z tego, że zaszło coś, czego my nie wiemy i nie potrafimy nawet się domyślić, nawet domniemywać, a co dla Jagodzińskiego stanowiło powód tak istotny, tak mu zagrażający, że

postanowił usunąć żonę. Gdy będę wiedział, dlaczego Jagodziński chował się, poznam prawdę — powiedział spokojnie Andrzej. Jego podniecenie minęło. — Eliza Hoffmann złożyła mi dzisiaj wizytę. To bardzo mądra kobieta. Zachowałem się wobec niej nietaktownie, a teraz mi wstyd. Zjawiała się w nieodpowiednim momencie. Jeszcze przed pana telefonem od doktora siedziałem i gryzłem się, że podejrzewam niewinnego człowieka. Wszystkie zarzuty przeciwko niemu wydały mi się idiotyczne. I nagle znowu ta Hoffmann — nieproszona, niewzywana, ekscentryczna wariatka, której się nudzi i nie wie, co ma zrobić z czasem, która pasjonuje się plotkami, zbiera je, węszy, podgląda ludzi, obserwuje i pragnie uchodzić za osobę postronną, obiektywną, a przy tym nie można odmówić jej piekielnego zmysłu spostrzegawczości.

— I pozbył się pan jej? Biedna Eliza Hoffmann — uśmiechnął się Gorczyński. — Nie próbowała pana przekonywać do swoich racji?

— Eliza Hoffmann nie starała się mnie niczym przekonać. Zachowała się bardzo godnie, zrozumiała, że jest tu *persona non grata*. Przyszła powiedzieć, że wie, czego brakowało twarzy Jagodzińskiego.

Naszkirowała, podobnie jak ja, kilka wersji jego portretów. Tym bardziej poczułem się urażony i nieomal wściekły na nią za jej przenikliwość.

— Pokazała je panu?

— Nie wiem, czy je miała ze sobą. Chyba tak. Lecz nie podtrzymałem rozmowy. Zachowałem się wobec niej okropnie. A ona pierwsza użyła słowa: identyfikacja. Pani Eliza Hoffmann jest bardzo mądra. Z całym szacunkiem, niestety spóźnionym, według niej

Jagodziński nie chce być zidentyfikowany. I tym należy tłumaczyć całe jego obecne zachowanie, jak i poprzedni styl życia: dziwactwa, unikanie ludzi. Z uporem dąży do pokazania siebie innym, takim jakim chce by go widziano. W takim razie ten, którego widzimy, znamy, nie jest prawdziwy. Kim jest? Kim jest Henryk Jagodziński? Jeżeli żona, która służyła mu za parawan, stwarzała mu niejako alibi, nagle zawiodła? A jeśli Maria Jagodzińska zidentyfikowała tego, który przez dwadzieścia lat był jej mężem, a który ma jakąś ponurą, wymagającą zatajenia przeszłość? Czy to będzie motyw wystarczający do popełnienia zabójstwa?

— Otwiera pan sprawę Henryka Jagodzińskiego i stawia go pan w stan oskarżenia? — zapytał cicho Gorczyński.

— Niech pan mi doradzi, pan ma doświadczenie. Zrobić to już czy jeszcze zaczekać?

— Ta hipoteza, panie prokuratorze, nie jest pozbawiona logiki. Ale w takim razie kryje się za tym coś więcej niż samo zabójstwo. Musi pan najpierw wiedzieć, kim jest ten człowiek i dlaczego się boi rozpoznania?

— Właśnie. Kim jest Henryk Jagodziński?



## Rozdział 12.

— Czekalam właśnie na panów — oznajmiła Eliza Hoffmann. — Proszę uważać na pajaki, one w tym korytarzu gnieźdzą się masami, lecz pozbawione światła nie są dla nas groźne — wyjaśniała szeptem, prowadząc ich długim korytarzem.

Pchnęła drzwi i oto znowu znaleźli się w jej pokoju, nasyconym różowymi barwami, pokoju jakby nie z tej epoki, nierealnym, nieprawdziwym, wymyślonym, istniejącym poza wszelkim czasem, poza normalnym życiem, poza wszelkimi zwykłymi sprawami tego świata, poza rzeczywistością. I nagle dziwaczny pokój — miejsce, gdzie kalendarz i zegar nie odgrywały żadnej roli i zostały usunięte jako zbyteczne, nic nieznaczące elementy — przestał wydawać się Andrzejowi śmieszny i ekscentryczny.

Panował tu łagodny spokój i trwała wciąż ta sama, nieruchomo zawieszona, kolorowa cisza, a lekko różowe światło sączyło się przez tiulowe firanki. Było to miejsce szczególne, miało bowiem barwę i zapach. Eliza Hoffmann potrafiła swoją samotność — samotność starej kobiety — przyozdobić ciepłem, rozjaśnić światłem, wyeliminować bunt i nadać swoisty sens. A jaki? To już pozostało jej tajemnicą.

— Czekala pani na nas? — zdziwił się Gorczyński. — Pani jest chyba jasnowidzem.

I on inaczej odczuł tym razem nastrój pokoju Elizy Hoffmann. Pochylił się nad jej ręką z szacunkiem.

— Jak tu u pani pięknie — powiedział. — Dopiero teraz to widzę. Jakby wszystkie trudne i ciężkie sprawy tego świata pozostały wraz z pająkami w ciemnym korytarzu, za drzwiami tego pokoju.

— Cieszę się, że pan to tak właśnie zrozumiał — odparła pani Eliza. Pojaśniała, uznanie sprawiło jej przyjemność. — A kiedy panowie przyjdziecie do mnie po raz trzeci, powinno się podobać wam u mnie jeszcze bardziej. Chociaż i u mnie od czasu do czasu pojawiają się pająki — przeprasza jąco uśmiechnęła się.

Pani Eliza też przestała razić na tle różowych mebli, obić ścian, firanek. Ona była stąd, z tego pokoju wyściełanego ciszą. To oni byli obcy, wnosili ze sobą niepokój, niszcząc harmonię i ład, oni, roznosiciele pajaków, przed którymi się broniła.

Dziś miała na sobie fioletową suknię, zapiętą pod szyją kameą z kobiecą główką. Włosy pani Elizy, srebrne, zwinięte były w niski kok, tak jak na kamei. Ona pasowała do tego świata, ten pokój bez Elizy Hoffmann stałby się martwy i groteskowy.

— Pani Elizo — zaczął Andrzej i zająknął się. — Chciałem panią przeprosić za swoje dzisiejsze zachowanie. Bardzo mi przykro.

— Siądźcie panowie — poprosiła, zaszleściła suknią, postawiła na stoliku srebrną tacę z maleńkimi, różowymi filizankami. Były to istne cacka, warte z pewnością masę pieniędzy i każdy zbieracz antyków dałby za nie wiele, aby je tylko umieścić w swoich zbiorach. — Kawa zaraz będzie gotowa, a w ogóle posiadam wspaniałą receptę. Kawa przyrządzona według niej to istna ambrozja. Wystarczy mały łyk, żeby poczuć rozkosz. A na pana wcale się nie gniewam, chociaż w pierwszej chwili zrobiło mi się przykro. Pomyślałam sobie, że to moja

wina, bo przyszedłam w nieodpowiednim momencie. Nigdy nie trzeba przychodzić w nieodpowiednim momencie. Pan akurat walczył ze swoim sumieniem i pragnął oddalić od siebie zagrażające mu bezpośrednio poczucie odpowiedzialności.

Nie wiem, czy pan spostrzegł, ale i tak zdołałam powiedzieć to, co chciałam. Bo w gruncie rzeczy jestem bardzo uparta. Wróciłam do domu, wymyłam dawno nieużywany serwis z japońskiej porcelany, zaparzyłam kawę i czekałam. Byłam pewna, że panowie przyjdą. Cieszę się, że się nie omyliłam. O, dopiero wówczas byłoby mi naprawdę przykro. Więc teraz uznajemy poranne zdarzenie za niebyłe, dobrze?

— Dziękuję pani — odparł Andrzej. — Nie wiem doprawdy, jak mam wyrazić...

— Nie trzeba — przerwała Eliza Hoffmann. — Czasem nie należy zbyt dużo wyrażać, bo to staje się zobowiązaniem na przyszłość, w taki sposób powstają długi. Słowa są gładkie, ale i dwuznaczne. I niech pan zwraca się do mnie mniej oficjalnie, dobrze? Może po prostu po imieniu? Zwłaszcza, że nie przyszedł pan ze swoim współpracownikiem urzędowo, ale tak po prostu, zwyczajnie, prawda?

Chciałabym, aby i do mnie ktoś czasem zaszedł tak zwyczajnie i po prostu — dodała ciszej, zamyśliła się, a potem raptownie roześmiała. — No, proszę, jaka to konsekwencja — powiedziała — o kilka słów za dużo. Ale proszę mówić mi: Elizo.

— Nie wiem, czy się odważę — powiedział zmieszany Andrzej.

— Tylko pająkom nie pozwalam mówić do siebie po imieniu —

odparła poważnie Eliza Hoffmann.

— Dobrze, proszę pani, to znaczy: Elizo. Chciałbym wiedzieć, co pani sądzi o Henryku Jagodzińskim? On uporczywie zapiera się swojej wady wzroku.

Nalała im kawy, która miała kolor smoły, była gęsta jak likier, a poza tym pachniała mocno i przyjemnie. Podsunęła cukiernicę i przyniosła maleńkie łyżeczki. Jej fioletowa suknia z jedwabiu szeleściła przy każdym kroku. Eliza Hoffmann poruszała się z nieco staroświeckim wdziękiem, była gościnna i serdeczna.

— Moją kawę należy pić wolno jak likier. Ma specjalną konsystencję i jest bardzo mocna.

Uprzedzam, gdyż może zakręcić się w głowie... Henryk Jagodziński. Ja go nie znam, proszę pana. Jak pan ma na imię?

— Andrzej.

— A moje imię pani nie interesuje? — zapytał Gorczyński. — Jestem Kazimierz.

Roześmiała się.

— Teraz prezentacja jest pełna. Cieszę się, że was poznałam. Niech pan doleje sobie jeszcze kawy, panie Kazimierzu, pod warunkiem, że ma pan zdrowe serce.

— Zdrowe — odparł Gorczyński. — Kawa rzeczywiście jest wspaniała. Po prostu ambrozja.

— Użyła pani dziś u mnie fachowego określenia: identyfikacja. Nie bez kozery, prawda? — zapytał Andrzej.

— Owszem. Chciałabym jeszcze wyjaśnić, że nie jestem wścibską, żądną sensacji i podniecających wrażeń osobą.

Interesuje mnie dowód prawdy. To wszystko. Nie chodzę po ludziach, nie rozpowiadam niczego, nie pytam, nie przeprowadzam jakichś sondaży, nie bawię się w amatora rozwiązującego łamigłówki kryminalne. Dowód prawdy — to właśnie jest pasjonujące. Stosuję go wobec wielu osób, wobec pana również, panie Andrzeju. Zmusiło mnie do tego życie i poczucie mojej własnej odrębności. Przy moim wzroście, który jest kalectwem, zawsze byłam uczulona na dowód prawdy.

Wypadek, który panowie rozpatrują, zbiegł się z ludzką śmiercią i tym bardziej jest poważny.

Rozumiemy się, prawda? Wspomniałam o identyfikacji, bo chciałam na pana wpłynąć psychologicznie — uśmiechnęła się. — Musiało bowiem pana to określenie zastanowić. A o to mi chodziło. Nie znam Henryka Jagodzińskiego. Widywałam go przed laty, gdy jeszcze od czasu do czasu wychodził z domu. Było to wtedy, gdy pracował. To było bardzo dawno, piętnaście lat temu.

Spotykałam go czasem na ulicy, ale raczej rzadko. Jego obraz zatarł się w mojej pamięci.

Oczywiście, Jagodziński był inny, bardzo szczupły, później się roztył, zewnętrznie bardzo się zmienił. Muszę dodać, że na początku nie wiedziałam nawet, kto to jest, nie znałam wówczas jego żony ani Klementyny. Chociaż siostrę pani Jagodzińskiej łatwo można zapamiętać. Cóż za wspaniała uroda! Tak piękna kobieta powinna być gwiazdą filmową, a nie pielęgniarzką. Gdyby żyła w latach francuskich Ludwików, z pewnością zakasowałaby słynną Madame de Pompadour. Lubię piękno.

Dokładnie więc zapamiętałam Klementynę, zawsze zwracała na siebie uwagę. Aż dziwne, że mieszkając w jednym domu, tak długo mijałyśmy się, nie zawarwszy znajomości. Potem, ta młoda jeszcze dziewczyna, Maria. Zawsze miała smutną twarz. Nie była piękna jak jej siostra, niepodobna do niej, ale i niebrzydka, niewielkiego wzrostu, szczupła, o bardzo jasnych włosach, jak dojrzała pszenica. Naiwna i ufna, tak o niej myślałam. Bardzo szybko przygarbiła się, jakby ustawicznie nosiła na plecach wielki ciężar. Myślę — powiedziała w zamyśleniu Eliza Hoffmann — że ona nie umiała przystosować się do życia, jak każdy człowiek o podobnym charakterze. Bo, proszę panów, naiwność i ufność nie dają ani siły woli, ani pewności siebie, takich ludzi łatwo złamać, a jeszcze łatwiej skrzywdzić. Pochylają wówczas plecy, mają smutną twarz, nie potrafią się obronić ani walczyć. Tak myślę o Marii. Jej mąż — żałuję, że tak mało go pamiętam, szczupły, wysoki mężczyzna, jasne włosy, jasne oczy, wąskie usta. Nie patrzył na ludzi. Omijał ich. Nikomu się nie kłaniał. I, proszę panów, nie używał wtedy okularów.

— Niemożliwe! — zawołał Andrzej.

— Do licha, mam tego dość! — zdenerwował się Gorczyński.

— Musicie to sprawdzić, nie polegam tak bezwzględnie w tym wypadku na swojej pamięci, jednak wydaje mi się, że nie nosił okularów. Chodził o lasce, to na pewno. Z czasem, jak to w takiej kamienicy, sąsiedzi wiedzą, kto z kim i na czym siedzi, mówiono o nim, że jest inwalidą wojennym.

Zresztą bardzo wyraźnie kulał. W ogóle chodzenie sprawiało mu dużą trudność. Takim zapamiętałam go z pierwszych lat po wojnie.

Następnie przestał pracować. I wtedy już rzadko wychodził z domu. A jeśli już, to zawsze z żoną, trzymając ją pod rękę. Parę razy spotkałam ich w parku. Lubię park w godzinach pierwszego zmierzchu. Mało ludzi, spokój, cisza, przytłumione kolory, półcienie i zapachy kwiatów, drzew, trawy.

— Nie próbowała pani podczas tych spotkań w parku zbliżyć się do nich, nawiązać rozmowy?

— Nie. Maria była tak bardzo, tak przejmująco smutna, że nietaktem byłoby narzucać jej swoje towarzystwo. Mówiłam już, że mam znakomity wzrok. Zazwyczaj dostrzegałam ich ze znacznej odległości i sama zmieniałam trasę, aby się z nimi nie spotkać. Może szukali samotności?

Oczywiście, zdarzało się raz czy dwa, że minęli mnie, gdy siedziałam na ławce w jakiejś bocznej alejce. Chodzili tylko bocznymi alejkami, i ja też. Dlatego wiem, że on ją trzymał pod rękę.

Uśmiechała się lekko, mijając mnie i to wszystko. Co jeszcze? Na spacer z żoną wychodził bez laski i bez okularów. Opierał się na jej ramieniu ciężko, kulał. Nawet jeśli było bardzo gorąco, miał na sobie szczelnie zapięty pod szyję prochowiec i kapelusz z szerokim rondem, osłaniający twarz.

— Skąd pani wie, że nie nosił okularów? — zapytał Gorczyński.

— Och, panie Kazimierzu! Kapelusz w końcu nie zakrywał całej twarzy, tylko część, zwłaszcza czoło, musiałyby go sobie wcisnąć głęboko na oczy. Zresztą zaznaczyłam, że tak mi się po prostu wydają, lecz głowy nie dam, że tak było.

— Dlaczego pani powiedziała wczoraj, że nie widywała Henryka

Jagodzińskiego?

— Zapomniałam o tym. Pamiętałam to, co działo się niedawno, a do Marii Jagodzińskiej po mieszankę użyźniającą ziemię do mojej palmy poszłam któregoś dnia w ostatnim półroczu. Po prostu zapomniałam. Te spotkania były tak odległe, tak rzadkie, że z dużym wysiłkiem musiałam sobie je przypominać. I dlatego to, co mówię, nie musi być ściśle. Przedwczoraj na podwórzu, tak jak pozostali sąsiedzi, nie zwróciłabym na niego uwagi. Ale należę do tych ludzi, którzy gdy zaczną czegoś dociekać, pragną koniecznie poznać całą prawdę.

— Jednak na podwórzu, obserwując Jagodzińskiego, doszła pani do wniosku, że czegoś jego twarzy brakuje?

— Twarz ludzka jest fascynująca, panie Andrzeju. Zwłaszcza twarz człowieka, który schodząc do ciała tragicznie zmarłej żony, gasi uprzednio w swoim mieszkaniu światło i będąc w szlafroku wkłada zupełnie nowe, skrzypiące buty. Tak, w tej twarzy brakowało mi jakiegoś istotnego elementu, szczegółu, który by ją charakteryzował. Długo myślałam, o jaki szczegół chodzi. Odtworzyłam po kolei wszystko, co wiem o panu Jagodzińskim. Wiedziałam mało. Najpierw przypomniałam sobie moment, w którym po raz pierwszy i ostatni znalazłam się w mieszkaniu państwa Jagodzińskich. I nagle olśnienie, jakby się otworzyła jakaś klapka w pamięci: fotel, który Jagodziński w takim spokoju opuścił, stał blisko telewizora, za blisko, a przed telewizorem leżały okulary w rogowej oprawie, duże, męskie. I mój film zaczął się cofać. Przecież ja widywałam pana Jagodzińskiego!

Kilka razy mijaliśmy się na podwórzu, miał pochyloną głowę, oczy spuszczone. Spotykałam go o zmierzchu w parku. Miał nasunięty



kapelusz na czoło. Wyraźnie pamiętam, że utykał, ale nie mogłam sobie przypomnieć, czy nosił okulary. Da się z tego wysnuć wniosek, że po prostu nie widziałam go w okularach. A tymczasem, przyglądając się Jagodzińskiemu przedwczoraj na podwórzu, zarejestrowałam podświadomie parę szczegółów i teraz wszystko mi się zgadza, kólecčko zamknęło się idealnie. Oczy jak u krótkowidza z silną wadą wzroku, nos u nasady przypłaszczony jak u kogoś, kto przez bardzo długie lata nosi ciężkie okulary. W gruncie rzeczy było to dziecinnie proste, ale właśnie przez to tak trudne, ponieważ nigdy lub prawie nigdy pan Jagodziński nie pokazywał się w okularach. Wtedy właśnie, chcąc się upewnić, czy rzeczywiście jego twarzy brakowało okularów, naszkicowałam kilka portrecików pana Jagodzińskiego.

— Ja również — przyznał się Andrzej.

— Bo pan prokurator całkiem nieźle rysuje. Jagodziński jest jak żywy — wtrącił Gorczyński.

— Więc dobrze, że został prokuratorem, a nie malarzem — odparła pani Hoffmann życzliwie. — Ja też powinnam była studiować co innego, na przykład psychologię, a nie ufać swoim wybitnym talentom. No cóż, nie każdy potrafi w odpowiednim czasie dokonać słusznego wyboru. Powracając do sprawy, interesuje mnie bardzo, jak pan Jagodziński wygląda w okularach. Chętnie, gdyby tak można było, założyłabym mu je i wtedy przyjrzałabym się jego odmienionej twarzy. A najbardziej chciałabym zobaczyć, jak wyglądał pan Jagodziński dwadzieścia lat temu. Teraz zmienił się nie do poznania. Jego twarz jest obrośnięta tłuszczem i rozlana. Pan, panie

prokuratorze, zajmował się kiedyś rysunkiem, toteż pan wie, że jedną jedyną kreską można zmienić nie tylko wyraz twarzy, ale i jej układ. Twarz żywego człowieka pozwala się również dowolnie retuszować. Doprawić jej wąsy albo wąsy zgolić, zapuścić brodę, powiększyć łysinę lub zdjąć okulary i oto widzimy zupełnie inną osobę. Jagodziński przez tyle lat nosił okulary, że stały się jego elementem rozpoznawczym. Dlatego dziś rano użyłam wyrażenia identyfikacja. Czy napiją się panowie jeszcze kawy?

— Z przyjemnością. W życiu nie piłem tak cudownego napoju. Jak pani ją parzy?

— Tajemnica. Cóż warta zdradzona tajemnica? Gdyby pan znał recepturę, moja kawa natychmiast przestałaby panu smakować.

— Pani Elizo, czy Jagodziński kulał, przechodząc przez podwórze do ciała żony?

Eliza Hoffmann o mało nie wypuściła z rąk filiżanki.

— O Boże! — zawołała. — O Boże, nie!

## Rozdział 13.

Dozorca domu, Stanisław Kozłowski, nic ciekawego nie zauważył. Pracował na Wysokiej od niedawna. Trzy lata temu otrzymał służbowe mieszkanie na parterze, po poprzednim dozorczy, który udał się w miejsce wiecznego spoczynku. Jagodzińskiego widział tylko raz, zaraz po wypadku.

Współczuł mu, ponieważ stracił żonę. Nigdy niczego w mieszkaniu Jagodzińskich nie naprawiał, ani kranu, ani zamków. Maria Jagodzińska, według jego opinii, była cichą, porządną kobietą. Była uprzejma, ale niezbyt rozmowna, w ogóle to nie miała czasu na pogawędki, bo musiała zajmować się swoim chorym mężem. Trzy razy w tygodniu trzepała sama chodniki. A co do Jagodzińskiego to nie wiadomo, na co choruje. Mówią o nim, że jest inwalidą wojennym. Listonosz co miesiąc przynosi mu rentę z zakładu ubezpieczeń.

— A dlaczego wciąż tak pytacie i pytacie? — zainteresował się w końcu dozorca.

— Widzi pan, to był tragiczny wypadek. Ostatecznie nie co dzień ktoś wypada z okna.

— Pewno, że nie co dzień — zgodził się dozorca flegmatycznie. — Ale co to się w życiu nie zdarza, wszystko, no nie?

— Gdyby pan, przechodząc nieostrożnie przez ulicę, wpadł pod samochód — powiedział Andrzej, a przestraszony dozorca czym prędzej się przeżegnał — to później też należałoby sprawdzić,

dlaczego?

Czyja wina? Pana czy kierowcy? Rozmawiać ze świadkami, spisywać protokoły.

— Niby tak — zgodził się dozorca. — Wszystko należy robić akuratnie. Ale ja tam nic nie wiem. Za krótko tu jestem. Może idźcie jeszcze do Kowalskiej, ona tu mieszka od początku, jeszcze przed wojną mieszkała. Prawa oficyna, drugie piętro.

Poszli do Kowalskiej. Pani Anna Kowalska była w domu. Właśnie gotowała obiad i w całym mieszkaniu pachniało apetycznie pieczystym.

— Pan prokurator! — zawołała Anna Kowalska i spieszyła się.

— A ja tak od kuchni... nieogarnięta, aż wstyd.

— Żaden wstyd — uspokoił ją Gorczyński. — I proszę sobie nie przeszkadzać. Rozpoznała pani prokuratora, może i mnie pani rozpozna?

Anna Kowalska zmieszała się zupełnie.

— Pan to jest pewno od pana prokuratora.

— A skąd pani wie, że jestem prokuratorem? — zapytał rozbawiony Andrzej. — Przecież nie wyglądam tak poważnie jak pan Gorczyński.

— Ale tamten pan nosi teczkę, a pan nie — odparła Anna Kowalska.

Gorczyński wybuchnął śmiechem. Kowalska zaczerwieniła się, zmięła róg gospodarskiego, nieskazitelnie czystego fartucha i też się roześmiała.

— Palnęłam głupstwo, co? Mój mąż zawsze mi powtarza: „Oj Anno, Anno, zastanów się trzy razy, zanim powiesz choć jedno słowo”. A ja

powiem ich trzydzieści i ani razu przedtem się nie zastanowię. Taka już jestem. I przez to ciągle się wszyscy ze mnie śmieją.

— Zajmiemy pani kilka chwil. Przepraszamy, że przyszliśmy nie w porę — powiedział Andrzej i z sympatią spojrzął na kobietę. Kowalska była pulchna jak ktoś, kto lubi dobrze zjeść, miała poczciwe niebieskie oczy, rumieńce, dołeczki w policzkach, włosy splecione w warkocz i okręcone wokół głowy.

— Poprosiłabym was do kuchni, jeśli się nie obrazicie. Kończę gotować obiad i muszę przypilnować sosu, bo mógłby się zwarzyć i nieszczęście gotowe.

— Nie można dopuścić do nieszczęścia — orzekł Gorczyński.

— Prawda? Sos to też ważna rzecz. Zawsze to powtarzam swojemu mężowi, bo on nie rozróżnia sosu tatarskiego od pieczarkowego, ale mężczyźni nie znają się na tym, co dobre.

Kuchnia pani Anny Kowalskiej była taka jak gospodyni — wesoła, jasna, czysta. Nad dużym piecem lśniły rondle, patelnie, zwisały pęki zasuszonych ziół, drewniane miski. Kuchenny kredens był w stylu łowickim, piały na nim koguty podobne do pawi, nastroszone, wojownicze. Na kredensie słomiany chochoł trzymał snopek pszenicy i modliła się Matka Boska, upleciona z kłosów zbóż. Stół, przy którym jadła rodzina Kowalskich, przykryty był haftowanym, białym obrusem, w pękатыm gliniaku stały tulipany.

— Jak przypilnuję sosu, to dam wam po kawałku placka z kruszonką. Dopiero wyjęłam z pieca.

Jeszcze ciepły. A może nie wypada, żebym się tak zachowywała? — zakłopotana się nagle Anna Kowalska. — Prosta ze mnie kobieta, nie

znam się na elegancji.

— Ciepły, powiada pani? O, to cudownie, przepadam za ciepłym ciastem — zawołał Gorczyński z zapałem. — Jak moja żona piecze drożdżowe ciasto, to chowa przede mną blachę, inaczej połowę wyjadam.

— Naprawdę? Jak to miło! — roześmiała się Anna Kowalska.

Ukrajala duże porcje wysokiego, pulchnego, pachnącego wanilią ciasta i ułożyła na talerzu.

— Proszę. Talerzyki też mam podać czy zjecie tak po domowemu, bez ceregieli? Matko Święta, dobrze, że mój mąż nie słyszy. Wykrzyczałby mnie, że nie zaprosiłam do pokoju, że tak mówię po swojemu. Ale ja inaczej nie umiem.

— To bardzo dobrze — uśmiechnął się Andrzej. Do tej kobiety można było się tylko uśmiechać. — Poza tym pani piecze znakomite ciasto.

— Proszę jeść, nie krępować się niczym — odparła Anna Kowalska. — I proszę pytać. A ponieważ lubię mówić, to jak będę wiedziała, o co chodzi, powiem wam wszystko szczerze i uczciwie.

— Podobno jeszcze przed wojną pani tu mieszkała?

— Oj, od małego. Urodziłam się w tym domu, w tej kuchni nawet. Matka, tak jak ja w tej chwili, gotowała obiad i zanim skończyła, ja już krzyczałam, ile sił. Od razu powiedzieli, że jak urodziła się w kuchni, to już przez całe życie w kuchni zostanie. No i siedzę przez całe życie w kuchni, ale mi wesoło, nic a nic nie narzekam. I powiedzieli jeszcze, że z takiego krzykacza wyrośnie pleciuga. I racja. Mój mąż czasem niby się złości, że gadam, co mi ślina na język

przyniesie, ale w gruncie rzeczy on to lubi. Co byłoby warte życia, gdyby człowiek nie mógł sobie pogadać?

— Znała pani Marię Jagodzińską?

— No pewno, że znałam. To była bardzo miła kobieta, ale nierozmowna. Czasem w sklepie stałyśmy w tej samej kolejce. Ja do niej przez dziesięć minut mówiłam i mówiłam, a ona jedno słowo na moich sto. Zawsze jej powtarzałam: „Pani Jagodzińska, pani za bardzo się wszystkim przejmujecie. No i co z tego, że mąż pani chory? Kłopot każdy, każde zmartwienie, robi się o połowę mniejsze, jeżeli człowiek będzie się uśmiechał i trochę sobie pogada przy okazji”. Pewno, nie zawsze można się śmiać. Jak mi umarł mój czwarty syn, ciągle płakałam, ale tak, żeby nikt nie widział. Po co mają wiedzieć, że płaczę, że mi ciężko?

— Kiedy zamieszkała tu Maria Jagodzińska?

— Wprowadziły się razem z siostrą, chyba latem, zaraz po wojnie. Pani Maria wyglądała jak dziewczynka, chociaż już miała dwadzieścia lat. A pani Klementyna, jej siostra, to jak żyję nie widziałam piękniejszej kobiety. Każdy musiał się za nią obejrzeć. Jak szła ulicą, wszyscy się za nią oglądali, nawet mój mąż na nią zerkał. Ale mu powiedziałam, że nie dla psa kiełbasa, nie dla kota szperka i żeby nie wywalał na nią oczu, bo i tak nic z tego nie wyjdzie.

— A pan Jagodziński?

— Pomieszkał u nich z tydzień czy dwa i zaraz był ślub. I to po cichu, ani wesela nie wyprawiali, ani gości żadnych, ubrania sobie nie szyli. Ślub jeden raz w życiu, nie? Powinno się jakoś uroczyste, a nie na łapu-capu.

— Pamięta go pani, jak wyglądał?

— Dokładnie nie pamiętam. Tyle czasu minęło. Ja tam na mężczyzn nie patrzę. Jeszcze by mi mąż oko podbił, chociaż w życiu ręki na mnie nie podniósł. Ale lepiej nie kusić... Był wymizerowany, chudy.

Chodził o kulach.

— Kulał?

— Kulał. Inaczej po co by miał kule? Ale on rzadko z domu wychodził, stronił od ludzi.

— Podobno pracował?

— W jakimś biurze czy spółdzielni. Był kasjerem. Co rano wychodził o siódmej, a wracał punktualnie o trzeciej i już siedział w domu kamieniem. Zawsze widziałam go z laską. Potem dostał rentę inwalidzką, musiało mu się pogorszyć. A potem to już ciągle chorował. I tam nie układało się jak potrzeba. Pani Klementyna, a ona bardzo kochała swoją siostrę, to wszyscy wiedzą, wyprowadziła się od nich szybko i zostawiła im mieszkanie. Chociaż było jej, zresztą meble również. Wyszła tylko z małą walizką.

— Pani odwiedzała państwa Jagodzińskich?

Po otwartej i szczerzej twarzy Anny Kowalskiej przemknął cień niechęci.

— Byłam tam parę razy po to czy po tamto. Tak po sąsiedzku... — urwała.

— Niechże pani skończy.

— Kiedy nie lubię gadać byle czego. Zawsze gadałam dużo, ale tak jakoś nieprzyjemnie źle mówić o ludziach.

— No, to zmieńmy temat — powiedział Andrzej. — Mógłbym



dostać jeszcze kawałek ciasta?

— Ależ oczywiście. Bardzo mi przyjemnie. Tak się cieszę, jak komuś smakuje. Każda gospodyni to lubi. Proszę, pan też niech sobie podje. Pewno od rana nic nie jedliście? Mojemu mężowi daję drugie śniadanie do roboty, a on mi odnosi nietknięte. Powiada: „Nie mam czasu”. Jak to można nie mieć czasu na jedzenie? Jak człowiek głodny, źle mu się pracuje.

— Nie lubi pani pana Jagodzińskiego?

— Ja go nie znam — Anna Kowalska nagle zrobiła się oszczędna w słowach.

— A kto go tu zna?

— Chyba nikt. On taki nie do ludzi.

— Myśli pani, że siostra pani Marii wyprowadziła się przez niego?

— Tego nie wiem, czy przez niego.

— Czy pani Jagodzińska była kobietą zdrową? Jak wyglądała?

— Niewysoka, szczupła, dużo szczuplejsza ode mnie. Całkiem siwa. A przecież jeszcze nie taka stara, wcale nie stara. Codziennie po powrocie z pracy ganiała tam i z powrotem, ciągle po sklepach, zdyszana, zmęczona. Wiele razy spotykałyśmy się w sklepach, kupowała to piwo, to czekoladki.

Widzę, dopiero leciała do domu z ciastkami z cukierni, a już pędzi z powrotem. „Gdzie to pani, pani Mario?” — pytałam. — A ona mi odpowiadała: „A, do sklepu. Zapomniałam jeszcze kupić twarożku”. Albo czegoś innego i tak w kółko. Czasem ze sześć razy schodziła w ciągu jednego popołudnia, deszcz nie deszcz, mróz nie mróz, śnieg nie śnieg, a ona stale po coś do sklepu, dla niego. Od samego wchodzenia

na trzecie piętro można się ciężko rozchorować. Schody u nas takie strome, niewygodne, męczące.

— Leczyła się?

— Proszę pana, ona nigdy nie miała czasu dla siebie.

Od lat w tym samym płaszczu, w tych samych pantoflach, z tą samą torebką, w jednej sukience.

Wcale o sobie nie dbała.

Ale nie wiem, może i leczyła się. W każdym razie, daleko jej było do zdrowia. Ostatnio wyglądała tak, że aż strach było na nią patrzeć.

— A gdy pani zachodziła do państwa Jagodzińskich, pan Jagodziński robił wrażenie chorego?

— Proszę pana, tam nie było po co chodzić, za próg człowieka nie wpuścili — powiedziała gwałtownie Anna Kowalska. — Ach, tak mi się wyrwało, ja naprawdę bardzo, bardzo panią Marię lubiłam. Nieszczęśliwa kobieta.

— I nie miała jej pani za złe, że nie wpuszczała pani za próg swego mieszkania? Przecież to nieuprzejme.

— Ludzie są różni i różnie się zachowują. Prawda, pani Maria nie chciała mnie wpuszczać, ale nie była nieuprzejma. To nie tak. Parę razy zaszłam po sąsiedzku, a ona, zmieszana, usprawiedliwiała się: „Bardzo przepraszam, mąż chory” albo: „Niech pani mi wybaczy, mąż ogląda telewizję i nie lubi, żeby mu przeszkadzać”. Jakby się go bała. No, więc lepiej było nie sprawiać jej przykrości i nie chodzić. To nie jej wina.

— I ani razu nie była pani w ich mieszkaniu?

— Byłam raz — odpowiedziała niechętnie Anna Kowalska.

— Pan Jagodziński przywitał się z panią?

— O, proszę pana — zmieszala się Kowalska — on był wtedy w kuchni. A ja przyniosłam pani Marii trochę ciasta. Poprzedniego dnia spotkałam ją w delikatesach, no i plotłam jak zwykle trzy po trzy, że właśnie będę ciasto piekła, makowiec, że szukam maku. A pani Maria uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: „Pamiętam, że jak jeszcze byłam bardzo mała, moja matka piekła takie wspaniałe makowce”. Pomyślałam sobie, zaniosę jej kawałeczek. Wtedy mnie zaprosiła do pokoju.

Bardzo czysto. Kiedy ona miała jeszcze czas na sprzątanie? Piękne podłogi, ile to się trzeba napracować przy parkiecie, żeby tak lśnił jak lustro!

— Podziękowała pani?

— Oczywiście. Aż miała łzy w oczach.

— Więc nie widziała pani wtedy jej męża?

— Nie, proszę pana.

— Od razu weszła pani do pokoju?

— Nie. Pani Maria otworzyła drzwi, zmieszala się, wystraszyła, mnie też zrobiło się jakoś głupio, powiedziałam: „Upiekłam te makowce i chciałam panią poczęstować”. Coś mi odpowiedziała, ja jej dałam ciasto, ona tak jakby się zawahała i powiedziała: „Niechże pani wstąpi choć na chwilę do mnie. Henryku! — zawołała. — Pani Kowalska przyniosła nam makowiec”. Ale on się nie odezwał i w pokoju go już nie było. Gdy weszłam, widziałam, że pani Marii zrobiło się bardzo przykro, tak przykro, że omal się nie rozplakała i sama już nie wiedziałam, jak się zachować. Coś tam zaczęłam

opowiadać, że ładnie u niej i takie ma ślicznie podłogi utrzymane jak lustro, no i poszłam.

— Proszę pani, może pani zauważyła, czy nad komodą wisiał obraz? Niezbyt duży, przedstawiał widoczek. Był bardzo kolorowy, rzucał się w oczy.

— Obrazek? Nad komodą? Nie, panie prokuratorze, tam żaden obrazek nie wisiał.

— Jest pani pewna?

— Oczywiście.

— Widocznie się pomyliłem — powiedział zgnębiony Andrzej.

— Ale wisiało zdjęcie — dodała szybko Kowalska. — Tylko że nie z widoczkiem i nie kolorowe.

— Świetnie — ucieszył się Andrzej. — Potrafi pani opisać to zdjęcie?

— Dość duże, oprawione w ramki. Pani Maria na nim młodziotka. Nawet pamiętam, że powiedziałam do niej: „Jak pani ładnie wyszła na zdjęciu, pani Mario. A mąż pani był bardzo przystojnym mężczyzną”. Ona westchnęła, uśmiechnęła się smutno: „Jaka ja wtedy byłam młoda...” — odezwała się i oczy jej zasły łzami. Więc się szybko pożegnałam.

— Kiedy pani piekła ten makowiec?

— Niedawno. Jakies trzy tygodnie temu.

— Na zdjęciu pani Maria była ze swoim mężem?

— Chyba z nim, bo z kim mogłaby się fotografować? Wie pan, ja się temu zdjęciu zbyt dokładnie nie przyglądałam, nie wypadało przecież, poza tym byłam zmieszana i zupełnie nie wiedziałam, co

mam ze sobą zrobić.

— Ale pani Maria Jagodzińska potwierdziła, że to jej zdjęcie?

— Tak. Powiedziała: „Byłam jeszcze wtedy bardzo młoda”. Proszę pana... — zaczęła, lecz Andrzej przerwał.

— Czy przed laty, kiedy jeszcze pan Jagodziński chodził do pracy, widywała go pani?

— I owszem. Widziałam go kilka razy.

— Nosił okulary?

— Okulary? Czy nosił okulary? — szczerze zdziwiła się Kowalska.  
— Nie.

— A na tym zdjęciu był w okularach?

— Proszę pana, ja nawet nie wiem, czy to był on. Myślę, że on, bo z kim mogłaby się fotografować pani Maria i wieszać taką fotografię na ścianie?

— Rozumiem. I jeszcze jedno, to pani tak płakała nad ciałem pani Jagodzińskiej?

Anna Kowalska skinęła głową. Otarła łzy.

— Słyszała pani jej krzyk?

— Nie, proszę pana. Mąż akurat wrócił z roboty, był na drugiej zmianie, szykowałam mu kolację, siedział tu, przy stole i nastawił radio, takie małe, na tranzystor. Była jakaś transmisja meczu, a mój mąż interesuje się sportem. Sam kiedyś grał w piłkę. Potem dopiero Hanyszowa tak strasznie zaczęła krzyczeć, na cały dom, no i wybiegliśmy. I ona tam leżała. Straszne — Anna Kowalska płakała otwarcie. — Taka była nieszczęśliwa i taka straszna śmierć... Ale chyba się nie męczyła — dodała pytająco.

- Nie, nie męczyła się. Pani widziała na podwórzu jej męża?
- Tak. Błady jak upiór, wyglądał strasznie.
- Gdy pani zbiegła na podwórze, Jagodziński był przy zwłokach?
- Nie wiem... Chyba nie... Ja od razu zaczęłam tak płakać. To straszny widok. Do końca życia nie zapomnę.
- Ale potem pani spostrzegła pana Jagodzińskiego?
- Tak.
- W którym momencie pani go zobaczyła?
- Zaraz... Przyjechało pogotowie, lekarz... Lekarz ukląkł, dotknął tylko ręki zmarłej. I powiedział, żeby niczego nie ruszać, bo trzeba wezwać milicję. Bardzo dużo się tam ludzi tłoczyło, wszyscy wybiegli. Zaraz... to pani Eliza Hoffmann powiedziała, tak, to ona: „Rozstąpcie się, ludzie, mąż idzie”.
- Wtedy go pani zobaczyła?
- Tak, właśnie wtedy. Rozstąpiono się przed nim, szedł pustym środkiem, między ludźmi.
- Gdzie pani stała w tym momencie?
- Ja? Gdzie stałam? O, Boże, po co to panu? Nie pamiętam. Gdzieś blisko pani Marii. Wciąż nie potrafię mówić o niej, jak o umarłej.
- Widziała pani jego twarz?
- Był błady jak upiór. Szedł powoli, bardzo powoli. Zatrzymał się przy niej. Przy jej nogach.
- Szedł powoli, powiedziała pani. Opierał się jak dawniej na lasce?
- Nie miał laski. Tak, na pewno nie miał.
- Czy pamięta pani, jak był ubrany?
- Jak ubrany? — powtórzyła Kowalska. — Chyba nie w

garniturze... Chyba jakoś inaczej... Ja tam mu się, proszę pana, specjalnie nie przyglądałam.

— Ale zapamiętała pani, że nie opierał się na lasce?

— Szedł taki sztywny, jakby sam był nieżywy. Na pewno nie miał laski.

— A czy był w okularach?

— Ależ nie, proszę pana! Dlaczego miałby je nosić?

— Właśnie. Dlaczego? Nad tym się cały czas zastanawiam — odparł Andrzej.

## Rozdział 14.

Wrócił do domu tak zmęczony, że pani Radecka skwitowała jego trzygodzinne spóźnienie na obiad — bez telefonicznego uprzedzenia — jedynie milczeniem. Nie próbowała Andrzeja ani rozweselić, ani zagadywać. Przygotowała mu kąpiel, posłała łóżko, i chociaż czekała na niego z obiadem, widząc podkrążone oczy wnuka, zaproponowała, że przygotuje tylko lekką przekąskę, którą poda mu do łóżka.

— Na nic nie mam ochoty — odparł Andrzej. — Będiesz na mnie krzyczała?

— Czy ja na ciebie kiedykolwiek krzyczałam, Jędrusiu? — powiedziała z wyrzutem pani Radecka.

— Cóż ty pleciesz? Rozumiem może niewiele, ale na pewno wystarczająco dużo i nie chcę ci przeszkadzać. Miałeś ciężki dzień. Połóż się. Już się zmywam.

— Babciu! — zawołał za nią Andrzej. — Jeśliby ktoś do mnie dzwonił...

— Nie ma cię w domu?

— Przeciwnie, jestem!

— A gdybyś zasnął, obudzić?

— Na pewno nie zasnę. W każdym wypadku — obudzić!

— Dobrze. Powodzenia!

Kochana, mądra, tolerancyjna. Pani Radecka nigdy nie narzucała się za swoim zdaniem i nie próbowała go „przerabiać” ani „urabiać”. Czy jest na świecie taka druga babka? Andrzeja wzruszała zawsze jej



cicha troska. Dzisiaj, gdy czuł się tak źle wskutek nerwowego napięcia, które nie opuszczało go przez tyle godzin, troska babki i jej takt, wzruszyły go głęboko. Tapczan był już przygotowany i pościelony. Przysunęła barenk ze szklanką mocnej herbaty na wypadek, gdyby zachciało mu się pić, butelkę ulubionego wina, kieliszek, a nawet otwarty blok i długopis, gdyby zamierzał coś zanotować.

Nalał sobie wina. Miało cudowny lekko złoty kolor. Poobracał kieliszek w palcach, potem wypił i przeszedł się po pokoju między znajomymi meblami. Pamiętał je od dzieciństwa, wychował się wśród nich. Dobrze być w domu, u siebie. Trzymać w ręku kieliszek złotego wina o lekko cierpkim smaku, orzeźwiając się jego chłodem, a wszystkie trudne, zawikłane sprawy zostawić za progiem i już o nich nie myśleć.

Podszedł do okna. Ulica ucichła, zapadł wczesny zmierzch późnej wiosny. Wiatr targał firanką. Był dopiero początek czerwca, a upał jak latem. I burzy nie było, chociaż się na nią zanosilo. Przeszła bokiem, ominęła zapyłone miasto, nie splukała nawarstwionego kurzu, nie przyniosła ulgi ludziom.

Tylko wiatr pozostał. Przyjemnie było stać w otwartym oknie i czuć wiatr na twarzy.

Odstawił kieliszek. Usiadł. Przecież ona nie zginęła od upadku, tylko umarła na serce. Jak to wyraził się Górczyński? Powiedział kilka ważnych rzeczy: „Cokolwiek by wisiało na tej ścianie...

Jagodziński chował się za swoją żoną jak za parawanem...” Ale było coś jeszcze, coś jeszcze bardzo istotnego. Nie mógł jednak sobie

przypomnieć nawet okoliczności, w których padły owe słowa.

Jakkolwiek by było, dzisiejszy dzień należy zaliczyć do rozstrzygających, od dzisiaj zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni koncepcja. Otóż zamiast szukać dowodów niewinności, zaczyna się żmudny, uciążliwy proces udowadniania winy. Jagodziński jest winny. Jest winny zabójstwa. Czy tylko zabójstwa? Czy jest psychicznie chorym? Wtedy nie odpowiadałby za swoje czyny, nie poniósłby odpowiedzialności, nawet jeśli w napadzie ataku spowodował śmierć żony? A może jest wyrafinowanym, świadomym mordercą, działającym z premedytacją? Te wszystkie kłamstwa Jagodzińskiego świadczą, że działał zaskoczony, że nie planował wcześniej morderstwa. To zabójstwo wydawało się bez sensu, bez motywu i bez przyczyny. A jeśli Jagodziński naprawdę jest chory psychicznie? Trzeba poddać go psychiatrycznym badaniom...

Andrzej, zrezygnowany, znowu nalał sobie wina. Jak gorąco! Wino stało się ciepłe i już straciło swój orzeźwiający smak. Nieprzemyślane kłamstwa, potknięcia wytłumaczy każdy psychiatra, jeżeli tylko orzeknie brak pełnej poczytalności. A jednak Jagodziński nie wyglądał na chorego psychicznie.

Dwadzieścia lat ukrywał swoją wadę wzroku. Pokazywał się ludziom bez szkieł. Ale nie taił inwalidztwa. Chodził najpierw o kulach, później z laską, później — przestał w ogóle się pokazywać, po prostu schował się w domu. Natomiast fotografia na ścianie, nad komodą, gdyby nie pojawiła się tam pocziwa pani Anna Kowalska ze swoim makowcem, pozostałaby rzekomym obrazem, który przestał się podobać, jaskrawym landszaftem z czerwonym słońcem na

farbkowanym niebie.

Powieszona na ścianie, na którą raczej mało zwraca się uwagę, w miejscu nierzucającym się w oczy.

Czy tak wiesz się serdeczne pamiątki? Przeciwnie, wiesz się je w najbardziej honorowych miejscach, tak, aby każdy, kto wchodzi natychmiast je zauważył. U Jagodzińskich zdjęcie powiększone do rozmiarów niewielkiego portretu wisiało na bocznej ścianie nad komodą, na której stało kilka standardowych bibelotów. Zdjęcie przedstawiało młodą dziewczynę o jasnych włosach, uczesanych w koronę, ubrana była w ciemną, skromną sukienkę z białym kołnierzykiem, a obok znajdował się wysoki, szczupły mężczyzna. Dlaczego w ciemnej sukience? Anna Kowalska rzuciła jedynie okiem na to zdjęcie, w ogóle nie zwróciła na nie uwagi, gdyby nie zatrzymała się przy komodzie, zmieszana przyjęciem, jakie ją spotkało. Jeżeli było to zdjęcie ślubne albo zwykłe, amatorskie, potem powiększone, to ktoś jeszcze musi mieć odbitkę. Jagodziński? Nie, on już nie ma.

On ją zniszczył zaraz po wypadku żony, nieświadomy, że zdjęcie widziała Anna Kowalska.

Do diabła, ale ze mnie idiota! — zaklął w duchu Andrzej. — Na tym zdjęciu musiał być Jagodziński, inaczej nie usuwałyby zdjęcia ze ściany, wisiałyby ono tam nadal. Na tym zdjęciu był młody Jagodziński, sprzed dwudziestu kilku lat. Jedyna osoba, która może posiadać to zdjęcie, to Klementyna Nawrocka. Z pewnością je ma. Kocha swoją siostrę, a chociaż daleko jej do sentymentalizmu, na pewno przechowuje rodzinne pamiątki związane z osobą Marii.

Natychmiast muszę zobaczyć się z Klementyną Nawrocką. Dureń ze mnie ostatni, tyle czasu zmarnowałem! Jak można przegapić tak prosty, tak oczywisty fakt!

Pośpiesznie przebrał się, zawiązał krawat, zostawił przyniesione z prokuratury materiały, nawymyślał sobie od bałwanów, wreszcie znalazł w książce telefonicznej adres Nawrockiej.

— Babciu! Wychodzę.

— Tak nagle? — zapytała pani Radecka. Siedziała w fotelu i czytała książkę.

— Niedługo wrócę i będę wściekle głodny. Przygotuj coś dobrego na kolację — zawołał, pocałował babkę w obydwie policzki i przeskakując po dwa stopnie, szybko zbiegł po schodach. Żeby tylko złapać taksówkę.

Stały na postoju długim rzędem. W taki upalny, czerwcowy wieczór ludzie wolą spacerować, oddychać świeżym powietrzem, niż jeździć taksówkami.

Klementyna Nawrocka mieszkała niedaleko od Wysokiej, w nowo wybudowanej dzielnicy miasta, na jedenastym piętrze wieżowca. Nie miał klucza od windy, musiał więc czekać na dole, aż jakiś mieszkaniec domu zabierze go ze sobą.

Otworzyła mu drzwi jakby trochę zaspana. Nie zapytała: „Kto tam?”, choć zadzwonił szybko i nerwowo, jak na pożar. Usłyszał lekkie kroki i głos: — Chwileczkę.

Na nagie ramiona miała narzucony w pośpiechu puszysty szlafrok w pastelowym, błękitnym kolorze.

Zdziwiła się, widząc go. Andrzej zaś odniósł wrażenie, że się nawet

przestraszyła.

— Czy coś się stało, panie prokuratorze? — zapytała, lekko poblądła. Teraz w elektrycznym świetle wyglądała na bardzo młodą kobietę. Była szczupła, wysoka i piękna. Włosy, niewidoczne rano pod kapeluszem, były koloru starego złota i rozpuszczone luźno, opadały na ramiona i plecy.

— Przepraszam za najście — powiedział Andrzej i zmieszał się. Kompromituje się na każdym kroku.

Wpada do cudzego mieszkania bez uprzedzenia jak wariat, przerywa wypoczynek, przeszkadza. Może ona oczekiwała kogoś, jakiegoś mężczyzny, ubrana w puszysty szlafrok, z rozpuszczonymi włosami, błyszczącymi oczami i poblądłą twarzą?

— Bardzo przepraszam — powtórzył. — Powinienem był zadzwonić, zapytać się, czy pani zechce mnie przyjąć...

— Nie szkodzi. Proszę — Klementyna Nawrocka cofnęła się, wpuszczając Andrzeja. — Położyłam się trochę, ponieważ idę dziś na nocny dyżur i w dodatku ostry, a nasz szpital przyjmuje od pół roku wypadki z całego miasta. I tak już powinnam była wstać i przygotować się. Oddał mi pan przysługę, mogłabym zaspać.

— To się chyba pani nie zdarza — powiedział uprzejmie Andrzej.

— Owszem, zdarza się. Niech pan siada, proszę tak nie stać i nie patrzeć na mnie. Za chwilę ubiorę się, to niezbyt przyzwoity strój — uśmiechnęła się, lecz w jej uśmiechu nie czaiła się prowokacja, raczej zażenowanie.

Klementyna Nawrocka zajmowała kawalerkę, urządzoną ze smakiem, chociaż skromnie. We wnęce stał tapczan przykryty rudą

narzutą. Jedna ściana była zabudowana regałem, na którym stało dużo równo ustawionych książek, obok stał niewielki, niski stolik i trzy małe foteliki. Środek pokoju był pusty, przykryty beżowym dywanem. Nad tapczanem wisiał kinkiet i reprodukcja *Słoneczników* Van Gogha. Żadnych serwetek, tanich ozdóbek, pospolitych kryształów czy figurek. Okno olbrzymie, nieomal na całą ścianę, bez firanki, tylko po bokach brązowe zasłony.

— Piękny widok — zauważył Andrzej, wskazując na okno. W dole jarzyły się kolorowe światła miasta.

— Tak. Lubię ten widok — powiedziała Klementyna Nawrocka, siadając naprzeciwko Andrzeja.

Przebrała się błyskawicznie. Miała teraz na sobie jasnozieloną sukienkę zapiętą pod szyję. Włosy niedbale skręciła w duży węzeł. Sięgnęła po papierosa. Andrzej zauważył, że jej ręka lekko drżała.

Wynik zmęczenia czy zdenerwowania jego nieoczekiwaną wizytą?

— Dlaczego? — zapytał głupio.

Nie zrozumiała.

— Lubi pani ten widok?

— Nie wiem. Nie zastanawiałam się, dlaczego. Po prostu lubię. Zwłaszcza wieczorem, kiedy zapalają się w dole światła. Miasto żyje. Lubię miasto wieczorem, już ciche, a przecież pełne życia.

— Czy pani czekała na kogoś?

— Powiedziałam, że pan mnie obudził — uśmiechnęła się znowu.

— Więc chyba że we śnie.

— W takim razie przestraszyłem panią. Bardzo mi przykro.

— Pan jest służbowo?

— Właściwie nie. Pół na pół, powiedzmy.

— Jak na prawnika, odpowiedź prawidłowa. Więc służbowo?

— Widzi pani... — zaczął speszony Andrzej, ale mu przerwała.

— W porządku. Zresztą nie to mnie interesuje. Jest pan młody, łatwo pan ulega impulsom. Ma pan jakieś wątpliwości i oczekuje ode mnie pomocy. Zgadza się?

— Tak.

— Postawię sprawę uczciwie. Odpowiem panu na wszystkie pytania, jakie tylko zechce mi pan postawić, nawet niedyskretne, pod warunkiem że przedtem odpowie mi pan szczerze na jedno.

— Myślę, że wiem, jakie mi pani chce zadać pytanie — powiedział Andrzej — Tym lepiej. Ale nie bawmy się w ciuciubabkę. Pan podejrzewa mojego szwagra? Czy tak?

Podejrzewa go pan o to, że zabił Marię?

— Tak.

— Dziękuję. Teraz proszę pytać. Uprzedzam tylko, że za godzinę muszę wyjść. Nie mogę się spóźnić.

— Godzina całkowicie wystarczy. Proszę pani, gdy siostra poznała swego przyszłego męża i przyprowadziła go do domu, czy chodził o kulach i nosił okulary?

— Owszem. Tak było. Miał drewniane, prymitywne kule. I rozpadające się, związane drutem okularki. Takie spadające co chwila z nosa.

— Pani już wtedy miała kwalifikacje pielęgniarstwa?

— Tak. Przed wojną rozpoczęłam studia na Akademii Medycznej. Chciałam specjalizować się w chirurgii i pewno tak by się stało, gdyby

nie wojna. Podczas wojny wykorzystywałam swoje umiejętności, choć były jeszcze niedoskonałe.

Staralam się pomagać ludziom, jak umiałam.

— Gdzie pani spędziła wojnę?

— Razem z Marią na wsi.

— W jaki sposób pomagała pani ludziom podczas wojny?

— Byłam sanitariuszką. Mieszkałyśmy na wsi, w rejonie partyzanckim.

— Współpracowała pani z partyzantami?

— Można to i tak nazwać — powiedziała Klementyna.

— Całą wojnę spędziła pani razem z siostrą?

— Nie. Pewnego dnia zostawiłam Marię pod opieką naszych gospodarzy, bardzo zacnych ludzi.

— A pani?

— Ja? — zmieszała się Klementyna. — Ja? No cóż, miałam zaliczone cztery lata studiów medycznych...

— Poszła pani do lasu?

— Każdy by to zrobił.

— Nie lubi pani wspominać tego okresu?

— To była wojna, proszę pana — odpowiedziała po prostu. — Myślę, że nikt nie lubi jej wspominać. Ludzie umierali na moich rękach, a ja przeważnie nie mogłam im pomóc.

— Nie bała się pani o siostrę?

— Oczywiście. Ale byłyśmy w kontakcie. Poczta partyzancka działała nadzwyczaj skutecznie.

— Czy jako wykwalifikowana pielęgniarka potrafiłaby pani określić



stopień inwalidztwa swojego szwagra?

— Postrzał w nogę. Niezbyt poważny, kość nienaruszona. Niemniej jednak kula przebiła mięśnie.

Leczył go jakiś patałach.

— Oglądała pani jego nogę?

— Tak. Miał jeszcze opatrunek i paskudnie mu ropiała.

— Czy poza panią oglądał go lekarz?

— Nie. On nie chciał żadnego lekarza. Tłumaczył, że to nie ma sensu, gdyż boi się lekarzy.

Oczywiście, gdyby kość była naruszona...

— Więc to był świeży postrzał?

— Raczej nie, panie prokuratorze. Wojna skończyła się cztery miesiące przedtem.

— To dlaczego rana była niezagojona?

— Zdarza się tak, że rany postrzałowe, zwłaszcza wtedy, kiedy wywiąże się infekcja, trudno się goją.

Leczono go gdzieś jakimiś znachorskimi sposobami. Ale i tak wyszedł obronną ręką, mogło być gorzej.

— Zna pani okoliczności, w jakich został ranny?

— Nie. Nie pytałam go o nic. On był naprawdę wtedy chory, gorączkował. Błagał, żeby nie oddawać go do szpitala ani w ręce lekarza. Panie prokuratorze, w tamtych czasach, zaraz po wojnie, nie należało ludzi wypytywać, bo zbyt wiele przeżyli i przecierpieli. Ciekawość jest okrutna. Sam nic nie mówił, bo widocznie nie chciał o tym mówić. Rozumiałam go. Minęło tyle lat, a ja do tej pory nikomu nie opowiadam o tym wszystkim, co widziałam, gdy byłam tam, w

lesie. Henryk był chory i to wystarczyło, poza tym potrzebował spokoju. Jak pan widzi, staram się być obiektywna.

— Więc leczyła go pani na własną rękę?

— Leczyłam to za wielkie słowo. Znałam się na tym. Wystarczyło ranę oczyścić. Wyglądała paskudnie, ale była powierzchowna. Miał dużo szczęścia. Gdyby dostał w kolano, do końca życia noga zostałaby bezwładna.

— Więc nietrwałe inwalidztwo?

— Inwalidztwo? Znowu określenie na wyrost. Owszem, w pewnym sensie uszkodzenie trwałe.

Mięśni już nie mogłam „dosztukować”, dlatego trochę kulał. Ale utykanie na nogę nie jest już kalectwem czy inwalidztwem. Pan nigdy nie zetknął się z prawdziwym kalectwem? Wojna pozostawiła ich po sobie tysiące.

— Rozumiem. Jednak Henryk Jagodziński musi utykać na prawą nogę, tak?

— Nie. Dlaczego pan powiedział, że na prawą? Otrzymał postrzał w lewą, a nie w prawą.

— Skąd pani wie, że to był akurat postrzał?

— Ależ, panie prokuratorze, przez kilka lat nic innego nie robiłam, tylko opatrywałam postrzały.

— Przepraszam. Zapomniałem, że pani była w partyzantce. Więc lewa noga?

— Ależ tak, lewa. Lewa łydka poniżej kolana.

— Czy takie... nie wiem, jak mam to określić, takie kalectwo upoważniało pani szwagra do starania się o rentę inwalidzką?

— Rentę inwalidzką? Nie, to śmieszne. Że trochę kulał?

— Więc pani nie pomogła mu załatwić renty?

— Henryk ma rentę inwalidzką? Nic nie wiem o tym. Naprawdę. Pierwszy raz słyszę. Nie przyłożyłabym do czegoś takiego ręki. Może niesłusznie, może nawet nie mam racji, ale nigdy bym nie pomogła. Przynajmniej wtedy. Utykanie na nogę, nawet wyraźne, nie stanowi powodu do uzyskania renty inwalidzkiej. Po świecie chodziło tysiące ludzi ciężko chorych, zagrożonych śmiertelnymi chorobami, okaleczonych fizycznie lub psychicznie. Przez pierwsze kilka lat po wojnie o kimś, kto stracił rękę, mówiło się, że to niewielkie kalectwo. Ludzie byli bez oczu, bez nóg! — uniosła się Klementyna. Zapaliła kolejnego papierosa. — Przepraszam. Jak pan widzi, ja też mam swoje obsesje. Nie chcę być niesprawiedliwa, bo być może, doszły jakieś inne, nieznane mi komplikacje, na podstawie których Henryk otrzymał rentę. Może to poprzednia kontuzja spowodowała dalsze powikłania, chociaż również nie sądzę. Była fachowo i umiejętnie wyleczona.

— Jaka poprzednia kontuzja?

— Na tej samej nodze, wysoko, miał dość znaczną bliznę, pochodzącą prawdopodobnie sprzed jakichś dwóch czy trzech lat.

— Nie zdziwiło panią, że ta pierwsza rana była tak fachowo wyleczona?

— Nie. Dlaczego? Mieliśmy znakomitych i pełnych poświęcenia chirurgów. Zresztą, nie przyglądałam się zbyt pilnie tej bliznie ani nie wypytywałam szwagra, byłam zajęta doprowadzaniem do porządku rany, która sprawiła mi sporo kłopotów.

— Chciałbym, żeby pani raz jeszcze, możliwie jak najdokładniej, opowiedziała właśnie o tej ranie, którą pani leczyła.

— Nie wiem, czy potrafię, minęło tyle czasu. Nogę miał mocno spuchniętą i obawiałam się zakażenia. Owinięta była w brudne szmaty, przesiąknięte ropą oraz krwią.

— Czy pani ma całkowitą pewność, że to była zastarzała rana?

— Henryk mówił, że postrzelono go przed paroma miesiącami.

— To on pani tak mówił. A pani co o tym sądziła?

— Wcale się nie zastanawiałam. Chciałam mu pomóc, to wszystko. Bardzo zresztą możliwe, że rana mu się odnowiła. Była niewłaściwie opatrywana. Ale niech pan zrozumie, prokuratorze, że to działo się przed dwudziestu paru laty, jakże ja mam dokładnie pamiętać?

— Pani załatwiła dla swojego szwagra okulary. Powiedziała pani, że był prawie ślepcem.

— Tak. I nadal jest prawie ślepcem. Tak daleko zaawansowana wada wzroku nie cofa się.

— Ile lat mieszkała pani razem z siostrą i szwagrem?

— Nie tak długo. Około roku. Potem wyprowadziłam się.

— Czy pani szwagier już wtedy pracował?

— Tak. Sama mu załatwiłam tę pracę. Nie musiał chodzić daleko, praca była mało kłopotliwa.

Otrzymał posadę kasjera w niewielkim przedsiębiorstwie.

— Miał kwalifikacje?

— Och, był systematyczny, porządny, dokładny. Nie krył, że nie posiada wykształcenia. Niepełna matura. Ale wtedy tyle wystarczyło.

— Był zadowolony z tej posady?

— Nie bardzo. Twierdził, że bołą go oczy. O ile wiem, pracował tam pięć lat. Potem zwolnił się na własną prośbę.

— Proszę pani, dlaczego pani szwagier, wychodząc do pracy i wracając, nie zakładał szkieł?

— Skąd pan wie?

— Nikt z mieszkańców tego domu nie widział go nigdy w okularach.

— To już chyba lekka przesada. Jednak prawdą jest, że na ulicy Henryk uparcie nie chciał zakładać okularów. Wyjaśniał to, lecz nie pamiętam zbyt dobrze, jak. Podawał chyba jakiś powód, raczej nieistotny. W końcu to jego sprawa. On jakby się wstydził, jakby okulary go żenowały... Chyba tak, coś w tym rodzaju.

— W pracy jednak musiał z nich korzystać?

— Oczywiście! Po domu również zawsze chodził w okularach.

— Czy to przedsiębiorstwo jeszcze egzystuje?

— Rozrosło się w potężną centralę, panie prokuratorze. Zajmuje olbrzymi wieżowiec, zawiera wielomilionowe transakcje zagraniczne dotyczące importu i eksportu. Nazywa się też poważnie, nie pamiętam pełnej nazwy, ale znam skrót: Telimpex.

— Chciałbym jeszcze zobaczyć zdjęcie ślubne pani siostry i szwagra.

— Zaraz panu pokażę — odparła, zupełnie niezaskoczona jego prośbą.

Podeszła do regału, otworzyła szafkę i wyjęła grubą, dużą, brązową kopertę. Wyrzuciła jej zawartość na stolik. Były to jakieś listy, niektóre zupełnie pożółkłe oraz kilka fotografii.

— Proszę.

Było to niezbyt wyraźne zdjęcie od kiepskiego fotografa. Przedstawiało ono młodą dziewczynę o jasnych włosach a obok niej szczupłego mężczyznę, blondyna. Był bez okularów.

— To pani szwagier?

— Tak.

— Prawdopodobnie zwrócimy się do pani z prośbą o wypożyczenie tego zdjęcia. Sfotografujemy i oddamy pani zdjęcie nienaruszone. Ma pani tylko jedną odbitkę?

— Tylko tę jedną jedyną. Nie chciałabym jej stracić. Czy już teraz pan mi ją zabierze?

— Wolałbym nie odkładać...

— Panie prokuratorze. Jeżeli nie jest to aż tak pilne, proszę jeszcze zostawić mi to zdjęcie. Bardzo chętnie je panu wypożyczę, ale może nie teraz, nie w tej chwili. Mam kilka innych zdjęć Marii, one pana nie interesują?

— Interesuje mnie pani szwagier.

— Słusznie. Zarzucił mnie pan tyłoma pytaniami, że zapomniałam w końcu o sednie sprawy.

Przeciąłabym tę fotografię na pół, ale Maria go tu trzyma pod rękę, więc okaleczyłabym Marię. Dam ją panu jutro, dobrze? Przyniosę panu do prokuratury. I poczekam u pana na zwrot zdjęcia. Można chyba na oczekaniu zrobić odbitki? To jest ostatnie zdjęcie mojej siostry, jakie mam. Widzi pan, ono jest zniszczone. Często ją sobie oglądam — dokończyła cicho.

— Dobrze. I niech mi pani zaufa, nie zgubimy jej zdjęcia.

— Ale, panie prokuratorze, u Marii w mieszkaniu też jest takie zdjęcie. Fotografowali się zaraz po ślubie, wracając z kościoła, nawet nie pamiętam, gdzie. Było to w jakimś takim małym i brudnym zakładzie. Maria opowiadała mi, że oddała je do powiększenia. Zamierzała zdjęcie oprawić i powiesić na ścianie. Niech pan się zwróci do mego szwagra — powiedziała naiwnie, po chwili zastanowiła się i uśmiechnęła gorzko. — Znowu zapomniałam. Przecież pan go podejrzewa.

Podeszła do okna, stała przy nim dłuższą chwilę.

— I ja też — powiedziała.

— Dlaczego?

— Na mnie czas. Muszę już iść do pracy. Wyjaśnię to panu jutro, panie prokuratorze. O której mogę przyjść do pana?

— O której pani sobie życzy.

— Mówi pan teraz jak mężczyzna, któremu kobieta się podoba — uśmiechnęła się Klementyna Nawrocka — a ja teraz pytam oficjalnie.

— A ja odpowiadam oficjalnie. Cały dzień od ósmej do trzeciej, o ile nie będę dłużej. Mam bardzo dużo pracy.

Podąła mu rękę.

— Proszę pani, dlaczego pani jest sama? — zapytał Andrzej spontanicznie i zaczerwienił się jak sztubak, zrozumiałwszy, że zabrakło mu taktu i dyskrecji.

— Ponieważ cenię sobie wolność. Może właśnie dlatego, że zawsze traktowano mnie jak przystojną kobietę. Pan tego nie zrozumie, ale to jest uciążliwe. A jeśli pan chce wiedzieć więcej, to, oczywiście, nie zawsze jestem sama — wyciągnęła do Andrzeja rękę. — Do widzenia

panu.

— Do widzenia — odpowiedział Andrzej, zmieszany jej szczerością.

— Niech pani na siebie uważa.

Nie odpowiedziała. Wyjęła właśnie szpilki przytrzymujące włosy, które opadając na ramiona zajaśniały starym złotem.



## Rozdział 15.

Nad ranem zadzwonił telefon. Ostrem dzwonkiem wdarł się w ciszę uśpionego domu. Dopiero światło i różowy brzask rozjaśniał niebo. Andrzej zerwał się, poganiany terkoczącym dzwonieniem i swoim nagłym niepokojem. Nie miał wątpliwości, że dzwonią po niego. Musiało się coś stać w ciągu tej krótkiej, gorącej, czerwcowej nocy. Sen prysnął. Andrzej, biegnąc do hallu, zobaczył babkę, wyglądającą ze swojej sypialni, i podniósł słuchawkę.

— Halo? Halo?

— Pan prokurator Dolecki? — usłyszał znajomy głos Gorczyńskiego, który brzmiał oficjalnie, służbiście. — Za pięć minut podjedzie po pana wóz. Proszę być gotowym. Klementyna Nawrocka nie żyje.

— Niemożliwe — powiedział sam do siebie Andrzej. Gorczyński szybko się rozłączył. — Niemożliwe — powtarzał bezsensownie.

— Zaparzę ci kawy — powiedziała pani Radecka.

Nie usłyszał jej nawet.

— Klementyna Nawrocka nie żyje — powtarzał, jakby chciał przekonać samego siebie o tej prawdzie, w którą wciąż nie mógł uwierzyć. Wczoraj wieczorem, zaledwie kilka godzin temu, rozmawiał z nią, był w jej mieszkaniu, siedział przy niskim stoliku, podziwiał widok z szerokiego okna na jedenastym piętrze, umawiał się na dzisiaj, miała przyjść do niego, oczekiwał od niej jeszcze istotnych informacji, przygotowywał schemat pytań, żeby niczego nie przegapić

i nie pominąć. Co to znaczy, że nie żyje? Uległa wypadkowi? Wpadła pod samochód, pod tramwaj, śpiesząc się na ostry dyżur? Była nieuleczalnie chora? Ale wiedział, że nic takiego się nie zdarzyło. Wiedział, że śmierć Klementyny Nawrockiej nie była dziełem ślepego przypadku. Za dużo tu już przypadków, nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. Trzy dni temu Maria Jagodzińska, teraz siostra.

— Bałwan! — wykrzyknął Andrzej. — Bałwan! Nawet nie powiedział, dlaczego nie żyje, taki oszczędny w słowach!

W jasnozielonej sukience, z błyszczącymi jak stare złoto włosami, z których wyjęła szpilki po to, żeby poprawić uczesanie przed wyjściem do szpitala, nie odpowiedziała na jego ostrzeżenie.

Ostrzegł ją. Dlaczego? Będąc u niej, ani razu nie pomyślał, że może jej grozić jakieś niebezpieczeństwo. „Niech pani na siebie uważa” — powiedział, ale nie odczuwał żadnego niepokoju o nią, niczego nie podejrzewał. Po prostu zwrócił jej uwagę, że powinna na siebie uważać.

Zrobił to jak mężczyzna, który ostrzega bardzo piękną kobietę przed jej własną urodą. Tak, tak właśnie było. Tymczasem należało ostrzec ją przed Henrykiem Jagodzińskim.

Klementyna Nawrocka nie żyje. Zabił ją Henryk Jagodziński.

Najpierw, wspólnie z Gorceńskim, będąc u Jagodzińskiego w mieszkaniu po raz pierwszy, zwrócił uwagę na ślad po fotografii. Potem, podczas rozmowy w prokuraturze, beznadziejnie zdradził Klementynę Nawrocką, powołał się na jej słowa, że Jagodziński ma silną wadę wzroku. Jagodziński „pomagając” wypaść swojej żonie przez okno, mógł liczyć, że śmierć Marii zostanie potraktowana jako

nieszczęśliwy wypadek. Ale zaczęto go nachodzić, wypytywać, interesować się, sprawdzać, może i to brał pod uwagę, nawet na pewno obmyślił sobie później plan ewentualnej obrony i wierzył, że potrafi wybrnąć z sytuacji. Chory człowiek, inwalida, samotny, skazany na opiekę żony. To fakty, świadczące na jego korzyść. Potem zrozumiał, że popełnił kilka drobnych błędów, które jednak dają powody do zastanowienia. Wczoraj przeraził się nie na żarty. Jeżeli istniał jeszcze jakiś dowód przeciwko niemu, to posiadała go Klementyna Nawrocka. Tym dowodem było zdjęcie, na którym młoda kobieta, nieco smutna, trzymała go pod rękę. Młoda kobieta i młody Henryk Jagodziński, ze swoją prawdziwą lub bardzo podobną do prawdziwej twarzą. Za wszelką cenę chciał ukryć swoją twarz. Klementyna posiadała odbitkę fotografii. Przyszedł do niej. Ale kiedy? Przecież miała zaraz wyjść, śpieszyła się najwyraźniej, spoglądała na zegarek, nie chciała spóźnić się na ostry dyżur.

— Do licha, prokuratorze, czekamy tu na pana i czekamy! — zawołał zdenerwowany Gorczyński, wciągając Andrzeja do samochodu. — Czemu pan tak marudził?

— Jak zginęła? — zapytał.

— Otruta gazem. Tylko tyle ustalono. Ale zaraz dowiemy się więcej. Dają panu tę sprawę, ponieważ uznali, że wiąże się ze śmiercią Marii Jagodzińskiej. Ekipa już tam jest, ale nie chcą niczego zaczynać bez pana.

— To stało się u niej w domu?

— Tak, w jej mieszkaniu.

— Wybierała się na dyżur do szpitala — powiedział Andrzej.

— Skąd pan wie? — zapytał ze zdumieniem Gorczyński.

— Byłem wczoraj u niej.

— Oho, ho, to zaczyna być intrygujące. Prokurator z nieoficjalną wizytą jako ostatni świadek, widzący żywą Klementynę Nawrocką.

— Niech pan przestanie, nie czas na dowcipy! Proszę powiedzieć, kto dał znać o jej śmierci? Jest dopiero trzecia nad ranem. Tak szybko ją odnaleźli?

— Tym lepiej dla nas, panie prokuratorze. Nawrocka nie przyszła na dyżur. A był to ostry dyżur.

Nawet nie zadzwoniła.

— U niej w domu nie ma telefonu.

— Ale telefon ma sąsiadka, zaraz obok, na tym samym piętrze, przez ścianę. W szpitalu zaczęto się o nią niepokoić. Podobno należała do niezwykle sumiennych i obowiązkowych pracowników. W ciągu ostatnich piętnastu lat nie opuściła ani jednego dnia pracy, mimo że parę razy była chora. Chętnie zastępowała innych. Słowem, jak najlepsza opinia. Lekarz dyżurny, doktor Stanisław Jerzyński, niepokoił się o swoją pielęgniarkę. Wiedział o śmierci jej siostry. W ciągu wieczora dzwonił kilkakrotnie do pani Lepińskiej, tej sąsiadki. Niestety, pani Lepińskiej nie było w domu, bo poszła z mężem do opery, a następnie na kolację do lokalu. Do domu wrócili około drugiej w nocy.

— I poczuła gaz na klatce schodowej?

— Nie wiem dokładnie, jak było. Właściwie nic poza tym, że Lepińska, ta sąsiadka, wszczęła alarm zaraz po drugiej w nocy. Przesłucha ją pan i dowie się wszystkiego. I niech pan nie będzie taki

w gorącej wodzie kąpany, panie prokuratorze. Spokojnie. Teraz tylko spokojnie.

— Jak szybko zrobił się nowy dzień — zauważył pozornie bez związku Andrzej. Jeszcze piętnaście czy dwadzieścia minut temu spał w najlepsze, zmęczony. Po powrocie do Nawrockiej zjadł dobrą kolację, o którą postarała się babka, wziął kąpiel, potem siedział długo z notesem, przygotowując dokładny plan rozmów i spraw do załatwienia. Przeczytał stenogramy odbytych przesłuchań, wreszcie położył się, uspokojony własną przenikliwością, pewny siebie a nawet zadowolony, myśląc, że odniósł sukces. Przecież tyle zdarzyło się w ciągu tej krótkiej nocy, a tu już nowy dzień, który długo będzie pamiętał. Dzień, którego nie doczekała Klementyna Nawrocka. Miała prawo żyć i żyłaby, gdyby nie jego głupota i brak odpowiedzialności. Teraz, o godzinie trzeciej minut pięć, zmęczona całonocnym trudnym dyżurem, z pewnością myłaby ręce albo paliła papierosa przy szklance kawy. Od godziny w szpitalu panował spokój, ostatni pacjent przywieziony został na salę operacyjną. Albo byłoby inaczej. Z włosami schowanymi głęboko pod białym czepkiem i w sterylnej masce zasłaniającej usta i nos, stałaby na sali operacyjnej, skupiona, napięta i uważna. Śledziłaby ruchy chirurga, czekając na jego polecenia i uprzedzając je. Klementyna Nawrocka była świetną, obowiązkową pielęgniarką, cenioną przez lekarzy, lubianą, mimo swojej oschłości, przez personel szpitalny. Żyłaby o godzinie trzeciej minut pięć, czekałby na nią ten dzień, który dopiero się zaczynał i wszystkie dni następne.

Przed wieżowcem stały zaparkowane wozy ekipy technicznej i wóz

milicyjny. Ulica była jeszcze pusta, sklepy głucho zamknięte, jedynie z kilku okien na parterze wychylali się ciekawi sensacji ludzie. Dyżurujący przy windzie milicjant otworzył ją i poinformował: — Wysoko. Jedenaste piętro.

— Wiem — mruknął Andrzej. Wczoraj wjeżdżał tą windą.

Drzwi mieszkania Klementyny Nawrockiej były szeroko otwarte, klatka schodowa pusta, ciekawskich z niej usunięto. Czuć jeszcze było duszący odór gazu.

Klementyna Nawrocka leżała na tapczanie, który był przykryty rudą narzutą. Pod głową miała poduszkę tak jakby spała. Jej twarz była stężała, rysy wyostrome, a skóra sina. Tylko rozrzucone włosy wydawały się żywe.

— Piękna kobieta — powiedział któryś z techników. — Możemy zaczynać.

— Chwileczkę. Nic nie było ruszane?

— Nie.

— Jesteście nieściśli — powiedział Andrzej. — A okno? Przecież otworzyliście, żeby wywietrzyć mieszkanie.

— To się rozumie samo przez się, panie prokuratorze — odparł sierżant.

Andrzej nie znał go. Właściwie nie znał nikogo ani z ekipy technicznej, ani milicyjnej poza kapitanem Żabickim.

— Nic się samo przez się nie rozumie, sierżancie — rzucił ostro. — Najpierw muszę wiedzieć, co tu się działo? Kto zawiadomił milicję?

— Niejaka Lepińska — powiedział sierżant. — Zadzwoiła do pogotowia milicyjnego krzycząc, że czuć gaz, i sąsiadka, ta kobieta

tutaj, prawdopodobnie się zatrula. Krzyczała: „Co robić, co robić?”

jak to przerażona kobieta, która straciła głowę. Przyjechaliśmy zaraz. Wyłamaliśmy drzwi, no i właśnie — pokazał martwą Klementynę Nawrocką.

— Proszę powiedzieć, okno było zamknięte?

— A zamknięte. I okno, i drzwi balkonowe. I drzwi do pokoju.

— Na pewno okno było zamknięte?

— Na pewno, panie prokuratorze. Inaczej by się nie otrula. Aż nas odrzuciło, jak weszliśmy.

Wszystko pozamykane.

— A zasłona przy oknie? Zasunięta czy rozsunięta?

— Zasłona? Zasunięta. Nie widzieliśmy w pierwszej chwili, gdzie tu okno. Właśnie przez tę zasłonę.

Bo taka na całą ścianę. Nawet poszarpałem ją trochę — dodał usprawiedliwiająco sierżant — ale gaz tak dusił, trzeba było szybko wszystko pootwierać.

— Dziękuję, sierżancie — powiedział Andrzej.

— Panie prokuratorze, doktor Śliwiński — Gorczyński przedstawił Andrzejowi niskiego, pulchnego mężczyznę, którego Andrzej parę razy spotkał w gmachu prokuratury.

— Dolecki — przedstawił się Andrzej.

— Wiem, wiem — uśmiechnął się jowialnie lekarz. — Co za piekielny zawód! O każdej porze dnia i nocy. Z imienin mnie wyciągnęli. Moja żona obchodziła wczoraj, a właściwie jeszcze dzisiaj imieniny. Panu też nie dali się wyspać?

— Więc, panie doktorze?

— Na razie niewiele mogę powiedzieć. Zatrucie gazem świetlnym. Oczywiście, pozorowane. Bo ona umarła nagle. Od czego, nie wiem. Zrobię sekcję, będę wiedział. No tak, szkoda, piękna kobieta.

Podobno pielęgniarka. Koleżanka prawie. A więc, panie prokuratorze, było to niewątpliwie pozorowane samobójstwo przez zatrucie gazem świetlnym. Zgon nastąpił prawdopodobnie między godziną wpół do dziesiątej a dziesiątą. Silna i błyskawicznie działająca trucizna, myślę, że cyjanek.

Ogłędzin dokładnych nie zdążyłem przeprowadzić, ale nie widać żadnych obrażeń ani śladów przemocy.

— A co pan jeszcze przypuszcza?

— Nic nie przypuszczam. Nie bawię się w takie łamigłówki — odparł lekarz, dotknął ramienia Andrzeja. — Jestem lekarzem, na szczęście, nie prokuratorem. To pan jest od najrozmaitszych przypuszczeń.

— Cyjanek? Skąd on mógł mieć cyjanek? — zastanowił się głośno Andrzej.

— Nie wiem — opryskliwie odparł lekarz. — Na sto procent nie gwarantuję, że cyjanek. Zapachu gorzkich migdałów nie poczułem — dodał drwiąco. — Jak zrobię sekcję, będę wiedział.

— Chciałbym, żeby pan pośpieszył się z sekcją. Bardzo mi na tym zależy.

— Wam zawsze zależy. A ja nie jestem cudotwórcą. Niech pana zastępca zadzwoni za kilka godzin.

Jeżeli mi ją szybko odeślecie, może prowizorycznie będę wiedział.

— A dokładnie?



— A niech was diabli! — odparł lekarz ze złością i wyszedł.

— Nerwowy człowiek — zauważył Andrzej.

— Ale jeden z wybitniejszych specjalistów w swojej dziedzinie. Dwadzieścia lat pracuje jako lekarz sądowy. Razem zaczynaliśmy. Jest bezbłędny — powiedział Gorczyński.

— No i oczywiście trzeba się do niego przyzwyczaić.

— Niech fotograf robi zdjęcia i będzie można ją zabrać — polecił Andrzej.

Nadrabiał w gruncie rzeczy miną, czuł się trochę jak intruz, zbędny człowiek wśród tych wszystkich fachowców, przewyższających go praktycznym doświadczeniem. Jeszcze raz spojrzął na Klementynę Nawrocką... Z rozrzuconymi włosami, w puszystym szlafroku otworzyła mu wczoraj drzwi. Potem poszła do łazienki przebrać się w coś bardziej stosownego, jak sama powiedziała. Gdy zegnał się z nią, była w zielonej sukience. Wyjęła szpilki z włosów, które przedtem niedbale sobie upięła. Czemu ponownie przebrała się w szlafrok? Przecież śpieszyła się na dyżur do szpitala, a niewiele czasu jej zostało, aby zdążyć na wyznaczoną godzinę.

— Dlaczego pan dopytywał się o zasłonę przy oknie, prokuratorze? — zapytał wysoki mężczyzna w mundurze, kapitan Żabicki, którego Andrzej poznał już przy jakiejś okazji. Nazwisko Żabickiego figurowało też w protokole z przebiegu pierwszego śledztwa w sprawie śmierci Marii Jagodzińskiej.

— Znowu pan uważa, że to tylko zwykły, nieszczęśliwy wypadek, kapitanie? — odparł agresywnie Andrzej. Do diabła, ma przecież prawo pytać się o wszystko, co uzna za stosowne! Nawet tego

kapitana! — A może samobójstwo? Motywy by się szybko znalazły: załamana śmiercią swojej ukochanej siostry, Nawrocka przeżyła silną depresję psychiczną i truje się gazem.

— Owszem. A przedtem łyka dawkę trucizny. Byłoby to nawet do przyjęcia, gdyby nie pewien drobiazg... — odparł kapitan Żabicki, niezrażony atakiem Andrzeja. — Ale tego panu nie powiem, ponieważ widzę, że pan zamierza postępować jak Zosia Samosia. Życzę powodzenia, prokuratorze.

Aha, a to pytanie dotyczące zasłon przy oknie po prostu mi się spodobało. Dowodzi ono pańskiej przenikliwości, prokuratorze lub tego, że znał pan zwyczaje panujące w tym domu. Ciekawy jestem, skąd?

— Przesłuchuje mnie pan, kapitanie?

— Mam nadzieję, że nie będę musiał — uśmiechnął się Żabicki i dodał: — W gorącej wodzie pan kąpany. Nie szkodzi. W pana wieku też taki byłem.

Pomachał ręką i wyszedł do drugiego pokoju, w którym pracowała ekipa techników.

— Nie powinien pan się drażnić z kapitanem, prokuratorze. Niech pan lepiej nie zaczyna. Radzę panu po przyjacielsku.

— To on zaczął, nie ja! — odparł gniewnie Andrzej. — Zresztą, pal go diabli! Ciekawe, o jakim drobiazgu mówił? No nic i tak się dowiemy...

Podszedł do regału, otworzył drzwiczki. Duża brązowa koperta leżała na półce. Zaciekawiony Gorczyński zaglądał mu przez ramię. Andrzej przez chusteczkę do nosa ujął zdjęcia, wśród których

znajdowała się fotografia małej dziewczynki z kokardą na głowie, a także zdjęcie do szkolnej legitymacji nieco starszej dziewczynki i zdjęcie tej samej dziewczynki zajadającej gruszkę, a potem jeszcze jedno i jeszcze. Ale jednego brakowało. Zginęło zdjęcie przedstawiające Marię Jagodzińską opartą na ramieniu swego męża, Henryka Jagodzińskiego.

— Nie ma — powiedział Andrzej. Pobladł.

— Czego nie ma na litość boską?! — zawołał Gorczyński.

— Amatorskiego zdjęcia. Tego samego, które powiększone do formatu portretu wisiało na bocznej ścianie w mieszkaniu Jagodzińskich. Nie ma zdjęcia, na którym był Henryk Jagodziński młodszy o dwadzieścia lat.

— To po to pan wczoraj przyszedł do Nawrockiej? — spytał Gorczyński.

— Właśnie po to — odparł z goryczą Andrzej. — Idiota! Dureń! Czy pan rozumie, że jestem odpowiedzialny za jej śmierć? Mogłem temu przeszkodzić. Przecież nawet dziecko by zrozumiało, pojęło, co jej grozi, a ja, zadowolony z siebie, nie pomyślałem, nie zastanowiłem się, nic nie zrobiłem.

— Eee, panie prokuratorze, najciemniej jest pod latarnią, i tej latarni nawet tu nie było, i w ogóle śmieszne oskarżać się w tak historyczny sposób — powiedział poważnie Gorczyński. — Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego pan nie zabrał zdjęcia? Przecież to dowód rzeczowy.

— Obiecała mi, że przyniesie dzisiaj do prokuratury. Mieliśmy jeszcze porozmawiać. Śpieszyła się na dyżur, siedziałem niecałą

godzinę. Ona naprawdę kochała swoją siostrę. Niech pan spojrzy: listy do niej i tylko zdjęcia Marii. Uległem prośbie. W końcu, cóż za różnica, wczoraj czy dzisiaj? Ona w ogóle nie chciała rozstawać się z tym zdjęciem, obiecałem, że na poczekaniu zrobimy odbitki.

Pamiętam, że przyglądała się długo, nie potrafiła ukryć łez, chociaż starała się być opanowana i spokojna. Oświadczyła, że jest do tego zdjęcia szczególnie przywiązana, gdyż jest to ostatnia fotografia Marii. Potem schowała ją razem z innymi do tej koperty i odłożyła na półkę.

— Przyszedł po zdjęcie — powiedział w zamyśleniu Gorczyński.

— Przyszedł i zabił. Znowu upozorował wypadek — śmierć samobójczą. Nie wiedział, że byłem tuż przed nim, że widziałem zdjęcie. Sporo ryzykował.

— Aż się boję myśleć, co Jagodziński ma na sumieniu, żeby zabijać z powodu zdjęcia — otrząsnął się Gorczyński.

— Myślę — odpowiedział po chwili zastanowienia Andrzej — że Jagodziński pozbywał się nie tylko zdjęcia, lecz również świadka. Klementyna Nawrocka pamiętała, jak wyglądał zaraz po wojnie.

Ja nieświadomie ponagliłem go do działania. Musiał przyjść zaraz po mnie. Co za ironia losu! W kilka minut po mnie! Może minęliśmy się przed wejściem do wiezowca? Jednak nie pojmuję, dlaczego Nawrocka go wpuściła, przestała się śpieszyć, zrezygnowała z pójścia na dyżur, przebrała się z powrotem w szlafrok?

— Jak to przebrała?

— Była w zielonej sukience, a nie w szlafroku, gdy ją zegnałem. I miała zaraz wyjść do szpitala.

— Rzeczywiście interesujące — mruknął Gorczyński.

— Na razie zostawmy ten szczegół. Nie umiem go wyjaśnić.

— Jest pan koronnym świadkiem, panie prokuratorze.

Pan przedostatni widział żywą Klementynę Nawrocką.

— Prawdopodobnie. Ale za wcześnie na tak daleko posunięte wnioski. Niech pan przekazuje technikom kopertę ze zdjęciami. Może Jagodziński zostawił swoje odciski palców? Chociaż wątpię.

Zdjęcia szukał już po śmierci Nawrockiej i na pewno w rękawiczkach. Ja dotykałem koperty, będą moje odciski i Nawrockiej. Aha, sierżancie — zwrócił się Andrzej do milicjanta — czy w mieszkaniu przestawialiście meble, czy cokolwiek ruszaliście?

Andrzej zauważył właśnie, że na stoliku, przy którym wczoraj siedział, stoją dwie szklanki po herbacie. Nawrocka nie częstowała go herbatą. Piła więc herbatę z Jagodzińskim?

— Wszystko zostawiliśmy na swoim miejscu, panie prokuratorze — wtrącił z wyraźną ironią w głosie przechodzący obok kapitan Żabicki. — Niestety, nie nauczyłem jednak moich ludzi fruwać, wobec czego muszą na przykład deptać podłogę. Przykro mi, przepraszam. Zakręciliśmy również kurki gazowe w kuchni i łazience, starając się nie zostawiać swoich odcisków palców — kpił sobie wyraźnie.

— Bardzo mnie to cieszy — odparł oschle Andrzej. — Więc na tym stoliku stały dwie szklanki?

— Jak pan spostrzegł, stały. I nadal stoją.

— Wieczorem ich tu nie było... Nie piłem u niej herbaty — mruknął do siebie Andrzej.

— Co takiego?! — zawołał kapitan.

— Złożyłem pani Nawrockiej wczoraj około godziny dwudziestej wizytę. Interesował mnie bowiem pewien szczegół. Ponieważ jestem samosiem, więc nie powiem panu, jaki. Jeszcze nie powiem. Pani Nawrocka nie częstowała mnie herbatą. Siedziała naprzeciwko mnie i rozmawialiśmy. Paliła papierosy. A widzę, że popielniczka została wymyta i wyczyszczona. Ten, który przyszedł po mnie, nie wszedł na chwilę, musiał zabawić dłużej, świadczą o tym te dwie szklanki. Więc przyjęła go herbatą? Nie rozumiem. Przecież śpieszyła się do szpitala, bo miała rozpocząć dyżur.

— Tak, sprawdzaliśmy. Klementyna Nawrocka była wpisana w grafik nocnego dyżuru — potwierdził kapitan.

— Powód, dla którego po raz pierwszy naraziła się na poważne spóźnienie, musi być szczególny, tak bardzo istotny, że zaaranżowała małą komedyjkę — zwrócił się Andrzej z wyjaśnieniem nie do Żabickiego, lecz Gorczyńskiego.

— Jaką komedyjkę?

— Udała, że ma wolny wieczór. Że nie spieszy się nigdzie i może pozwolić sobie na dłuższą rozmowę.

— Dlatego przebrała się w szlafrok? — zamyślił się Gorczyński.

— Właśnie.

— Natychmiast proszę mnie poinformować o wszystkim, co tu wczoraj zaszło — polecił stanowczo kapitan Żabicki.

— Z pewnością to zrobię, lecz nie w tej chwili, panie kapitanie. Doprawdy, nie mam najmniejszej ochoty bawić się w samosia, ale chyba pan uzna, że teraz moment jest raczej nieodpowiedni.

— Pan wie, kto tu był i po co przyszedł?

— Domyślam się. Może nawet i wiem. Muszę jednak wiedzieć znacznie więcej, odtworzyć przebieg zdarzeń, jakie rozegrały się między Nawrocką a jej mordercą. Wpuściła go do mieszkania i zaczęli rozmowę. Przebrała się w szlafrok, aby dać mu pewność, że naprawdę nigdzie się nie śpieszy.

Poczęstowała go herbatą czy sam poprosił o herbatę? Są dwie szklanki, więc pili razem, ale ona była czujna i niezwykle ostrożna. Podejrzewała przecież swego szwagra o zamordowanie siostry.

Tymczasem on ją musiał zabić i przyszedł z gotowym, obmyślonym planem. Przyniósł ze sobą truciznę. Pewnie poprosił ją o szklankę wody lub o krople na serce. Natomiast nie zwróciła uwagi na gorzki zapach migdałów. Panie kapitanie — gorączkowo powiedział Andrzej — ja panu później wszystko wytłumaczę, niechże mnie pan nie zabija wzrokiem.

— Analiza resztek herbaty wyjaśni, czy pańska zgrabna teoryjka jest słuszna! — Żabicki z trudem hamował gniew. — Muszę też panu zwrócić uwagę, panie prokuratorze, że to tylko w „Kobrze” cyjanek ma silny zapach gorzkich migdałów. W rzeczywistym działaniu ten zapach szybko się ulatnia...

— Doktor Śliwiński orzekł, że denatkę otruto cyjankiem! — postawił się Andrzej.

— Doktor Śliwiński przypuścił jedynie, że to mógł być cyjanek, ale nie orzekł jeszcze tego z całą pewnością.

— Na nic się nie przyda analiza resztek herbaty — oświadczył stanowczo Andrzej. — Nie będzie zawierała niczego prócz ucziwej, zwykłej herbaty.

— Skąd pan to wie?! Siedział tu pan w charakterze ducha ukrytego za kotarą?— wybuchnął Żabicki.

— Staram się odtworzyć sytuację — powiedział Andrzej, nie zwracając uwagi na pogardliwe wzruszenie ramion kapitana. Natomiast Gorczyński słuchał go z uwagą. — Tak mniej więcej, z prawem do omyłki. Nie wykluczam omyłki, ponieważ sytuacja może mieć kilka wariantów.

Wyberzmy pierwszy, Klementyna Nawrocka żegna się ze mną, rozwiązuje włosy, pragnie uczesać się staranniej przed wyjściem, nic niezwykłego, ponieważ jest kobietą dbającą o siebie, systematyczną w pracy i dokładną. Ma około piętnastu minut na dojście do szpitala. Nie powinna się spóźnić. Czesze się i nagle słyszy dzwonek. Trochę zniecierpliwiona otwiera i widzi Jagodzińskiego.

— Aha — wtrącił Żabicki — Jagodziński. Ten pana kozioł ofiarny.

— Tak, widzi Jagodzińskiego. Bo on tu był, kapitanie. Tylko on, ponieważ Klementyna Nawrocka posiadała dowód przeciwko niemu. Przyszedł jej go odebrać. Moja wina, przeraziłem Jagodzińskiego nieostrożnymi pytaniami wczoraj w prokuraturze. Klementyna widzi swego szwagra.

Myśli szybko, po co przyszedł? Jest przekonana, że to on wypchnął Marię przez okno. I jest pod wrażeniem rozmowy ze mną. A jeśli uda jej się dowiedzieć czegoś istotnego? Jagodziński nie utrzymywał z nią przez szereg lat kontaktu, nienawidził jej. Teraz zjawia się. Dlaczego przyszedł?

Musi się tego koniecznie dowiedzieć, dlatego nie wolno jej go spłoszyć, więc udaje, że nigdzie się nie śpieszy. Zaprasza uprzejmie



Jagodzińskiego do środka mieszkania.

— Jeżeli nie utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów, to skąd Jagodziński wiedział, gdzie ona mieszkała? To jest nowy wieżowiec, oddany do użytku przed niespełna rokiem? — wtrącił Żabicki.

— Otóż właśnie. Jagodziński musiał zadać sobie dużo trudu, by znaleźć adres szwagierki. Jak to zrobił? Łatwo sprawdzić. Jagodziński raz dzwonił do niej do szpitala, żeby zawiadomić o śmierci żony. Zdaje się, że Nawrocka w tym szpitalu pracowała od wielu lat?

— Od zakończenia wojny — wyjaśnił Żabicki. — To już wiemy.

— Więc Jagodziński wiedząc, w którym szpitalu kiedyś pracowała, łatwo ustalił resztę. Teraz po prostu zadzwonił raz jeszcze, pytając o adres. Nieskomplikowane. Zaraz, zaraz, panie kapitanie, coś mi nie pasuje. Czy na pewno Nawrocka miała wczoraj dyżur?

— Na pewno. Cały zespół dyżurujący niepokoił się o nią.

— No to kłops. Jagodziński nie był taki głupi, potrzebował czasu na przeprowadzenie swego morderczego planu. Dowiadując się o adres Nawrockiej, przede wszystkim upewniłby się, czy tej nocy nie jest zajęta w szpitalu. Jak pan sądzi, panie Kazimierzu? — zwrócił się do Gorczyńskiego, ignorując kapitana.

— Ma pan rację — przyznał Gorczyński.

— Możemy to jeszcze raz sprawdzić! — zdenerwował się Żabicki.

— Sierzancie, połączcie się z wozu ze szpitalem czwartej kliniki i wypytajcie, ale dokładnie, czy na pewno Nawrocką umieszczono w grafiku nocnych dyżurów?

— Może ja się dowiem — zaofiarował się Gorczyński.

— Nie ma pan zaufania do moich podwładnych? — uniósł się

Żabicki.

— Ależ mam! Chodzi o to, że to pan właśnie nie ma zaufania do prokuratora Andrzeja Doleckiego.

Niesłusznie. Nasz młody prokurator jest bardzo dociekliwy.

— Przekonamy się niebawem — mruknął Żabicki i niespodziewanie roześmiał się. — Przejrzał mnie pan! Rzeczywiście, z tym moim zaufaniem do prokuratora jest coś nie tak. Przepraszam. Przepraszam was obu. Pana, prokuratorze — spojrzął na Andrzeja — szczególnie. Odtąd postaram się traktować pana z całą powagą. Na jaką pan zresztą zasługuje. Wyznam szczerze, że kierowałem się niskimi pobudkami. Zwykłą zazdrością, że to pan, a nie ja, facet z wieloletnim doświadczeniem śledczym, dopatrywał się w śmierci Marii Jagodzińskiej momentów, wykluczających nieszczęśliwy wypadek.

— Zwykły przypadek... — powiedział skonsternowany Andrzej.

— W naszych zawodach nie istnieją przypadki — zaprzeczył Żabicki. — Cieszę się z pana dociekliwości. Będzie się nam dobrze razem pracowało. To jak, sztama?

— Sztama — uśmiechnął się Andrzej.

— Wspaniale! — ucieszył się Żabicki. — Oczywiście, śmierć Nawrockiej stawia w zupełnie innym świetle śmierć Marii Jagodzińskiej. Panie Gorczyński...

— Słucham?

— Miał pan zejść do wozu i sprawdzić grafik szpitalny.

— Już mnie nie ma, kapitanie! — powiedział Gorczyński. Od drzwi dodał: — A co z pańskim zaufaniem do sierżanta?

— Złośliwiec! — rzucił Żabicki. — No więc, prokuratorze, dlaczego

analiza resztek herbaty w tych szklankach, według pana, nie wykaże obecności trucizny?

— To pewno wyglądało tak, że do tej, z której piła Nawrocka, w korzystnym momencie dolał truciznę. Zgon był natychmiastowy. Nawrocką po śmierci przeniósł na tapczan, ułożył jakby do spania. Jej szklankę dokładnie wymył, dolał odrobinę herbaty z czajnika, wytarł ślady lub już pracował w rękawiczkach...

— Ciekawe... I co dalej?

— To drugi wariant sytuacji, kapitanie — przerwał Andrzej niecierpliwie — ale zbyt prosty, aby okazał się prawdziwy. Myślę, że na jednej z tych szklanek znajdziemy odciski palców Klementyny Nawrockiej, z drugiej zaś wszystko zostało starannie wytarte.

— Ale pan jest pewny siebie! Zaraz sprawdzimy — Żabicki przywołał jednego z funkcjonariuszy. — Niech pan zrobi te szklaneczki. Szybciutko!

— Panie prokuratorze! Wyjaśniłem! — zawołał, wbiegając Gorczyński. Z triumfem spojrział na kapitana. — Pański niezawodny sierżant dał plamę! Nawrockiej nie umieszczono w grafiku dyżurów — Kłamała? — zdziwił się Andrzej.

— Nie! Nie kłamała! Zastępowała koleżankę Halinę Pawlicką, której nagle zachorowało dziecko.

Halina Pawlicka była na liście dyżurów, ustalonych uprzednio na cały miesiąc. Jej dziecko dostało bardzo wysokiej temperatury, więc zadzwoniła do Nawrockiej, to znaczy do tej sąsiadki z telefonem, około godziny siódmej po południu i poprosiła o zastępstwo. Rozmawiałem z panią Pawlicką. Mówi, że bardzo się bała, czy

Nawrocka nie jest z kimś umówiona, czy znajdzie czas. Nawrocka zgodziła się, chociaż dopiero przedwczoraj miała dyżur nocny.

— Ale ta... jakże jej, Pawlicka, musiała również zawiadomić szpital o zamianie?

— Zawiadomiła na „pięć przed dwunastą”. Zadzwoiła do szpitala pół godziny przed rozpoczęciem dyżuru.

— No tak, teraz jasne — stwierdził Andrzej. — Jagodziński po powrocie z prokuratury, przerażony moim pytaniem o swój wzrok, zaczął rozmyślać, jakie jeszcze dowody istnieją przeciwko niemu.

Wyszedł z prokuratury, zadzwonił do szpitala, dowiedział się o adres Nawrockiej, przy okazji wypytując, czy nie ma dyżuru i czy jest wolna. Oczywiście, ukrył się pod jakimś cudzym nazwiskiem, nie przedstawiał się bo jest na to za sprytny. I wieczorem tu przyszedł. Wybrał porę, kiedy już się ściemniało. Na pewno obmyślił dla siebie jakieś przekonywające alibi, jestem tego pewny.

Rozmawiali. Może kajał się przed nią, może przepraszał, spowiadał się ze swojej przeszłości, usprawiedliwiał, przedstawiając powody, które przeszkodziły mu w utrzymywaniu stosunków między nimi. Opowiadał, jak bardzo jest nieszczęśliwy, samotny, chory, może prosił o pomoc w przygotowaniach do pogrzebu? Nawrocka pozwalała mu mówić, czekając, aż wyjawi prawdziwy cel swojej wizyty. Tymczasem jego celem było ją zabić. Po śmierci szwagierki przepłukał szklanę, z której piła herbatę, ponieważ nie zamierzał nam ułatwiać pracy. Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak ostentacyjnie zostawił obie szklanki? Logicznie rozumując, to powinien zatrzeć wszystkie ślady swojej obecności.

— A czy pan przypadkiem nie komplikuje sprawy, układając zawikłane łamigłówki? — zapytał kapitan. — Odnoszę bowiem wrażenie, że pańskie rozumowanie stoi w sprzeczności ze zwykłymi faktami, które by należało interpretować prościej, a nie metodą chwywania prawą ręką za lewo ucho?

— Są wstępne wyniki badań daktyloskopowych, panie kapitanie. I tak: na szklance, którą oznaczyliśmy numerem jeden są wyraźne odciski palców denatki. Natomiast szklanka numer dwa jest starannie wytarta. Dalej — na stoliku, z jego lewej strony, są również odciski palców denatki, poza tym są one na poręczu fotelika, na kurkach gazowych w kuchni i łazience. Poręcz drugiego fotelika została starannie wytarta, jest idealnie czysta. Ale na poręczu trzeciego — znalazłem odciski palców niezidentyfikowanego mężczyzny, bardzo wyraźne i świeże. Poza tym nie ma żadnych innych, nawet starych lub zatartych śladów. Na klamkach przy drzwiach wejściowych też są odciski owego mężczyzny. Nie ulega wątpliwości nawet przy pobieżnym porównaniu, że należą do tego samego faceta. Na klamce przy drzwiach do pokoju również jego odciski. Tyle na razie.

— Na wszystkich klamkach znaleźliście te same odciski? — zapytał Andrzej.

— Dokładnie. Bardzo ładne, wyraźne odciski.

— Dobrze, dziękuję. Pracujcie dalej. No i co, prokuratorze? Jednak nie jest taki sprytny ten pański Jagodziński. Zapomniał powycierać klamki i poręcz fotela. Pan go przecenił, prokuratorze — powiedział Żabicki.

## Rozdział 16.

Ekipa techniczna opuściła mieszkanie Klementyny Nawrockiej, zabierając ze sobą materiały do dalszej ekspertyzy. Godzina siódma rano. Tysiące ludzi już rozpoczęło pracę, a tysiące innych przygotowuje się do wyjścia z domu. Wykonują zwyczajne, normalne czynności, myją się, jedzą śniadanie, jedni w pośpiechu, inni ospale, jedni rozdrażnieni złymi snami, zmęczeniem, przepracowaniem, drudzy zadowoleni, pełni nadziei, cieszący się pięknym słońcem, pogodą, ciepłem, zapachem letniego dnia.

Z mieszkania na jedenastym piętrze Klementyna Nawrocka więcej już nie będzie się śpieszyła do pracy, wyglądała przez szerokie okno wzdłuż frontalnej ściany, przyglądając się światłom wielkiego miasta. Nie ma jej, nie żyje, chociaż wszystko w mieszkaniu mówi jeszcze o jej obecności. Technicy nie zrobili bałaganu, może tylko zdeptany dywan koloru terakoty świadczył o tym, że kręciło się tu dzisiaj przez kilka godzin kilkanaście osób, które nie dbały o to, by wytrzeć nogi przed wejściem i nie sprawić gospodyni kłopotu przy sprzątanu. Jak wiele można powiedzieć o człowieku, o jego charakterze, widząc wnętrze, w którym żył, które sam dla siebie urządzał. Dopiero teraz, w pełnym świetle dnia mieszkanie Klementyny Nawrockiej mimo dość standardowych mebli pozwalało ocenić należycie jej smak, poczucie estetyki i harmonii. A jednak było to mieszkanie pozbawione miękkości, ciepła, jakie wokół siebie stara się wytwarzać kobieta.

Ani jednego drobiazgu, które kobiety tak lubią: jakiś flakonik,

ulubiony wazon, maskotka — żadnych ozdób. Reprodukacja *Słoneczników* na beżowej ścianie, była jedynym elementem dekoracyjnym. W oknie wisiała jedynie zasłona i tylko dlatego, bo spełniała rolę funkcjonalną. Wszystko, co się tu znajdowało było funkcjonalne, żadnego zbytecznego przedmiotu. Po prostu stolik nieprzykryty serwetą, z czystym, lśniącym politurą blatem, popielniczka, ponieważ Nawrocka paliła papierosy.

Poza tym regał został wypełniony szczelnie książkami i nie było ani jednej wolnej półki, na której by stały jakieś ulubione drobiazgi. Żadnej doniczki z kwiatem. Nawet w łazience, na półeczce przed lustrem, oprócz szklanki i szczoteczki do zębów, Andrzej nie znalazł niczego więcej. Nie było pudełka z kremem, ani kosmetyków, które zostały poustawiane porządnie w szafce.

Klementyna Nawrocka była kobietą, która nie przywiązywała wagi do życia osobistego. Powiedziała prawdę, twierdząc, że nikogo w życiu, poza siostrą, nie kochała. Nie umiała kochać. A przecież jednocześnie potrafiła się poświęcać, przegrać, wycofać się, zrezygnować. Zrezygnowała z wszelkiej walki o odzyskanie Marii. Ceniła wolność, ale czy rzeczywiście czuła się wolna? Czy tylko samotna?

Rzeczowa, dokładna, zwięzła z dokładnym — tak to można określić — poczuciem sprawiedliwości.

Wyrachowana? Ale równocześnie człowiek z piękną kartą, ponieważ potrafiła zostawić ukochaną siostrę w okresie tak niepewnym i tak tragicznym, jakim była wojna, i odejść w imię wyższych racji.

Niechętnie mówiła, właściwie nie powiedziała nic o tej części swojego życia, spędzonej w lesie.

— O czym pan tak głęboko myśli, prokuratorze? — zapytał Gorczyński, dotykając ramienia Andrzeja.

Andrzej drgnął. Zostali tylko trzej w pustym mieszkaniu: on, Gorczyński i kapitan.

— O niej. O Klementynie Nawrockiej. — Nie potrafił się przełamać, nie chciał mówić o tej kobiecie urzędowym językiem „denatka”. — Panie kapitanie, dowiedzieliście się o niej czegokolwiek? O jej przeszłości? Pracy? Życiu prywatnym?

— Niby kiedy mieliśmy się dowiedzieć? — zdenerwował się kapitan. — Naprawdę, w gorącej wodzie pan jest kąpany!

— Ona była w partyzantce. Określała swoją rolę skromnie jako sanitariuszka. Miała jednak większe uprawnienia niż zwykła sanitariuszka, przeszkolona w oddziałach, zaliczyła przed wojną cztery lata studiów medycznych — powiedział cicho Andrzej. — Musiała wiele przeżyć. Aha, panie kapitanie, czy poza listami od siostry, przechowywanymi wraz ze zdjęciami w brązowej kopercie, którą zresztą ja wam wskazałem, znaleźliście jakieś inne listy? Od mężczyzn, przyjaciół, znajomych?

— Nie. Niczego nie znaleźliśmy. Żadnych zapisków, żadnych notatek.

— A kalendarzyk?

— Kalendarzyk? Tak, kalendarzyk był w torebce. Parę telefonów, wszystkie numery urzędowe. Parę adresów. Jeszcze ich nie sprawdzaliśmy.



— W torebce? Ale osioł ze mnie! Jak mogłem zapomnieć o torebce? Chciałbym zobaczyć torebkę, kapitanie.

— Zbyt późno się pan ocknął, szanowny prokuratorze — Żabicki wzruszył ramionami. — Zabrali ją moi ludzie do ekspertyzy. Ale mogę panu wyliczyć z pamięci jej zawartość. Więc kalendarzyk na bieżący rok, portfel ze skóry, w portfelu półtora tysiąca złotych, dowód osobisty, legitymacja pracownicza, legitymacja honorowego dawcy krwi, kwity za ostatnie trzy miesiące opłat gazu i elektryczności, chusteczka do nosa, portmonetka z drobnymi pieniędzmi, kosmetyczka, w niej puder i szminka, paczka papierosów, giewontów, nierozpoczęta. To wszystko.

— A gdzie są klucze do jej mieszkania? Nie miała ich w torebce?

— Nie miała.

— Ale znaleźliście klucze od mieszkania?

— A właśnie, że nie znaleźliśmy — odparł kapitan z triumfem. — Chyba że jeszcze leżą zarzucone gdzieś między książkami, w co raczej należy wątpić. Klucze od mieszkania Klementyny Nawrockiej przepadły, ulotniły się jak kamfora.

— Musiała mieć dwie pary kluczy. Jedne, którymi się posługiwała i drugie zapasowe.

— Musiała, ale w tym mieszkaniu nie ma ani jednej pary kluczy. Nigdzie. Pan zajmował się swoimi rozmyślaniami, a ja cały czas szukałem kluczy. Przejrzałem każdą szufladę, wszędzie jest idealny porządek, nietrudno byłoby znaleźć. Poza tym szuflad oraz schowków jest niewiele. Tylko tyle, ile potrzeba. Kluczy nie ma. A mieszkanie było zamknięte. Prosty wniosek, po prostu morderca zabrał obie pary

kluczy ze sobą i na pewno postarał się o to, abyśmy ich tak łatwo nie odnaleźli.

— Morderca mógł zabrać tylko jedną parę kluczy. Druga mu nie była potrzebna — zaproponował żywo Andrzej. — Gdzie jest druga para kluczy?

— Widocznie uznał, że korzystniej dla niego będzie zabrać obydwie pary — powiedział kapitan.

— Przecież to absurd! Niechże pan się zastanowi. Przecież on musiał zamknąć mieszkanie, ponieważ nie chciał niczego zdać na przypadek. A przypadek, i to prosty, mógłby sprawić, że ktoś, na przykład sąsiad, sąsiadka lub znajomy Nawrockiej przyjdzie do niej, naciśnie klamkę, a gdy zobaczy drzwi otwarte, wejdzie i zbyt szybko podniesie alarm. Morderca na pewno liczył, że jeszcze do tej pory o niczym nie wiemy.

— Oj, panie Andrzeju, po prostu brak kluczy. I tyle. Może Nawrocka miała tylko jedną parę kluczy?

— Sam pan w to nie wierzy, kapitanie.

— Fakt, nie wierzę — Żabicki uśmiechnął się lekko. — Obawiam się jednak, że ich nie znajdziemy.

Do jakich jeszcze wniosków pan doszedł?

— Mordercy chodziło o to, żeby śmierć jak najdłużej nie została wykryta, czas bowiem działał na jego korzyść. O ile dobrze słyszałem, to cyjanek jest rozpuszczalny i po pewnym czasie trudno go wykryć w treści żołądka, czy tak?

— Tak, samosiu, dokładnie tak — przyznał Żabicki.

— Im dłuższy czas od zgonu, tym trudniej ustalić jego powód?

— W przypadku użycia cyjanku, tak —zgodził się Żabicki.

— Dlatego morderca starał się upozorować samobójstwo Nawrockiej. Natomiast zabierając obydwie pary kluczy, zostawiał jakby swoją wizytówkę: proszę państwa, ja tu byłem, ułatwię wam robotę, zabieram obydwie pary kluczy od mieszkania Klementyny, to wcale nie wypadek, a kuku!

— Ech, doprawdy, panie prokuratorze, po co się wikłać w jakieś jałowe rozważania? Pozostawił tu tyle swoich wizytówek, że nie ma co się dalej bawić. Odciski palców, dwie szklanki? Wystarczy zidentyfikować odciski palców z odciskami palców Jagodzińskiego, co już chyba zrobili moi ludzie, i po wszystkim, koniec zabawy w chowanego, zdejmujemy faceta.

— Jest pan pewny?

— Trzymam się jedynie faktów.

— Obawiam się, cały czas obawiam się, że zabawa w chowanego dopiero się zaczęła na dobre — powiedział Andrzej. — Panie Kazimierzu, bardzo pana proszę, jak pan sądzi, dlaczego Jagodziński nie uprzątnął tych dwóch szklanek, lecz pozostawił je tak ostentacyjnie?

— Panie prokuratorze, ja myślę, że jednak pan kapitan ma rację — odparł zażenowany Gorczyński.

— Niepotrzebnie się pan upiera. Pan przecież dobrze wie, co chciał zabrać i co zabrał Jagodziński z tego mieszkania. Wczoraj wieczorem gośćmi Nawrockiej był pan oraz jej zabójca.

— Co zabrał z tego mieszkania Jagodziński? To właśnie ta pańska niespodzianka? — zapytał kapitan.

— Zabrał swoje zdjęcie. Zdjęcie, na którym był o dwadzieścia lat młodszy.

— Kpicie sobie ze mnie, czy co?! — zdenerwował się kapitan.

— Mówiłem już panu — wyjaśnił zmęczony Andrzej — że zapoznam pana dokładnie w odpowiednim czasie z całym dotychczasowym, prowadzonym przeze mnie raczej niezbyt oficjalnie śledztwem w sprawie śmierci Marii Jagodzińskiej. I sądzę, że jeżeli nawet te niezidentyfikowane dotąd odciski palców okażą się odciskami Jagodzińskiego, poczeka pan trochę z aresztowaniem, ponieważ jeszcze nie wydam panu nakazu zatrzymania Jagodzińskiego. Nie podpiszę.

— Panie prokuratorze!

— Och, niech pan się przedwcześnie nie unosi. Mam takie prawo i z niego skorzystam. A teraz, zanim otrzyma pan wiadomość, czyje to są odciski palców, to wyjaśnię, dlaczego uważam, że nie będą to odciski Jagodzińskiego. Stwierdził pan, kapitanie, że trzyma się pan tylko ścisłych faktów i niczego więcej. Otóż ja na podstawie wyłącznie ścisłych faktów twierdzę coś diametralnie przeciwnego. Zacznijmy od pozostawionych szklanek. Morderca celowo je zostawił, usuwając z nich jedynie resztkę herbaty z trucizną. Musiał się nią posłużyć, ale liczył, że może nie uda się jej zidentyfikować. Ryzykowne, ale on od dawna już ryzykował. No i nie zamierzał ułatwić nam zadania.

Te szklanki są jego alibi, mają świadczyć o tym, że jego tu w ogóle nie było.

— Nie wytrzymam z tym człowiekiem! — zawołał kapitan. — Panie prokuratorze, co pan, do diabła, wymyśla! Pana ponosi wyobraźnia!

Gorczyński zaśmiał się nerwowo.

— Kapitan nie zna jeszcze prokuratora Doleckiego, ale go pozna — powiedział. — Zaraz panu powie, że wszystko jest kwestią wyobraźni.

— Oczywiście — przytaknął Andrzej, uśmiechając się po raz pierwszy tego dnia na wspomnienie Elizy Hoffmann. — Powtarzam: szklanki stanowią alibi dla mordercy. Przypuszczam, że początkowo nie myślał o takim alibi. Zdecydował przypadek. Po co tu przyszedł? Po zdjęcie. Wiedział, gdzie ma go szukać? Nie wiedział. Otruł Nawrocką. Przeniósł ją na tapczan, ułożył, nadając ciału naturalną pozycję jak do snu. Jaka była kolejna czynność? No, jaka? Czy zaczął zacierać ślady po sobie, czy rozpoczął poszukiwania zdjęcia?

— Z pewnością najpierw myślał o tym, żeby znaleźć zdjęcie, jeżeli miałoby być dowodem przeciwko niemu. Panie prokuratorze, dowodem na co? — uniósł się znowu kapitan.

— Ba, kiedy nie wiem, na co — odparł spokojnie Andrzej. — Gdy będę wiedział, wtedy podpiszę nakaz aresztowania.

— No dobrze, dobrze — przerwał niecierpliwie Żabicki. — Niech pan mówi dalej. Inaczej do sądnego dnia z panem się nie dogadam.

— Więc po otruciu Nawrockiej rozpoczął poszukiwania, tak?

— Tak! Jak dotąd, zgadzam się z panem.

— Zaraz pan się i dalej zgodzi. Prokurator Dolecki ma przedziwny dar przekonywania o swoich racjach — wtrącił ubawiony całą scenką Gorczyński.

— Stwierdził pan sam, kapitanie, że w tym mieszkaniu nie ma zbyt wiele szuflad. Szukanie zdjęcia nie zajęło mordercy wiele czasu. Ale trochę jednak zajęło. Musiał zachowywać się cicho, uważać, aby

niczego nie ruszyć, aby zostawić wszystko tak, jak zastał. Gdzie mógł szukać zdjęcia? W albumach, ale on znał zwyczaje Nawrockiej, ona nie przechowywała pamiątek, więc nie miała albumów. Nie sądził również, aby zdjęcia siostry chowała w jakimś zamaskowanym miejscu.

Nawrocką, podobnie jak jego żonę, cechowała pedanteria. Wszystko trzymała na swoim miejscu, nie miała bałaganu. To mu ułatwiało zadanie. Na przykład ta szufladka w stoliku... — Andrzej wysunął szufladkę, w której stało jedno jedyne pudełko ze starannie ułożonymi przyborami do szycia. — Wystarczy zajrzeć i wie się od razu, że tu się zdjęcia nie znajdzie. W szafie, w przedpokoju, na półkach z bielizną też nie ma potrzeby szukać. Nawrocka nie upychała zdjęć siostry pod bieliznę, byłby to nonsens... Jeśli chodzi o kredens kuchenny z naczyniami to założę się, że tam nawet nie zajrzał. Pozostaje torebka Nawrockiej i jedyna półka w regale, zamykana na klucz, który zresztą tkwi w zamku. W torebce nie znalazł zdjęcia, ale na pewno klucze od mieszkania, które zabrał. Za to na półce leżała koperta, w niej były zdjęcia i między nimi poszukiwana przez niego fotografia ślubna. Wtedy odetchnął i przystąpił do usuwania śladów.

— I zrobił to niestarannie. Nie wytrzymał nerwowego napięcia — wtrącił kapitan.

Andrzej pokręcił przecząco głową.

— Pan się myli, kapitanie. Zrobił wszystko jak najdokładniej. Dokładniej nie można. Oto zwykłe fakty: jedna szklanka starannie wytarta, pozbawiona wszelkich odcisków, na drugiej — odciski

palców denatki. Poręcz fotela została również „odkurzona” oraz brzeg stolika od strony fotela.

— Za to gdzie indziej została masa śladów. Zapomniał w zdenerwowaniu, co dotykał, a czego nie?!

Zaraz mnie przez pana trafi szlag! — krzyknął Żabicki. — Co pan jeszcze wymyśli, do cholery?

— Spokojnie, kapitanie — odparł niewzruszony Andrzej. — Po zamordowaniu Nawrockiej, Jagodziński pracował w rękawiczkach. Na kopercie ze zdjęciami znajdzie pan odciski moich palców i Nawrockiej, nie będzie na niej odcisków Jagodzińskiego. Nie znaleziono ich także na kurkach gazowych, a przecież je odkręcał.

— Nie widzę żadnego związku — upierał się Żabicki. — Po śmierci Nawrockiej założył rękawiczki, to oczywiste, ale gdy jeszcze żyła nie mógł w nich paradować, więc pozostawił te wszystkie śliczne, czyściutkie swoje wizytówki na klamkach, na drugim fotelu.

— Jak pan w takim razie wytłumaczy brak moich odcisków, a przysięgnę, że z całą pewnością dotykałem klamki drzwi wyjściowych? Dlaczego na klamce znaleziono tylko jedne odciski?

Siedziałem przy stoliku, dotykałem blatu, opierałem rękę na poręczy fotela, a poręcz fotela została dokładnie wyczyszczona. Dlaczego wreszcie na klamkach nie ma odcisków Nawrockiej? Przecież otwierała drzwi i mnie, i mordercy. Jak pan to sobie wyobraża: ulotniły się jak kamfora, wyparowały? Nie mogły się ulotnić, chyba pan przyzna. Musiałyby być, gdyby Jagodziński zapomniał je wytrzeć. Ale on zatarł wszystko dokładnie, niczego nie ominął. Dlatego właśnie na klamkach, na blacie stolika, na poręczy

fotela brakuje i moich odcisków, i Nawrockiej. Jagodziński natomiast zostawił te dwie szklanki. Uczynił to z premedytacją. I popełnił błąd. Poważny.

— Zaraz, zaraz — kapitan w zakłopotaniu potarł nerwowo czoło. — Sugeruje pan, że tu był jeszcze ktoś trzeci?

— I że do tego trzeciego nieznanego należą odciski palców na klamkach, na poręczy drugiego fotela, wreszcie na brzegu stolika. Ten trzeci wszedł po Jagodzińskim...

— Niemożliwe! Przecież mieszkanie zostało zamknięte, a Nawrocka nie mogła mu otworzyć.

Wreszcie — wyłączyłby gaz i zaalarmował ludzi.

— Powiedzmy — zaczął wolno, z namysłem Andrzej — że zna pan piękną kobietę. Powiedzmy dalej, że jest pan na tak zwanym stanowisku, człowiekiem solidnym, uczciwym, dbającym o zachowanie pozorów, o opinię i który ma rodzinę. Załóżmy dalej, że przychodzi pan do swojej kochanki, z którą utrzymuje nieoficjalne kontakty właśnie w dbałości o opinię, pozycję *et cetera, et cetera*. Pojawia się pan w środku nocy, nie wiemy po co ani dlaczego, ale mniejsza z tym, bo to z pewnością ustalimy. Otwiera pan drzwi, ponieważ ma pan klucz od jej mieszkania — to ta dbałość o zachowanie pozorów. Uderza pana ostry zapach gazu, drzwi od pokoju są zamknięte. Nagle zdaje sobie pan sprawę z tego, że coś się stało z Klementyną. Otwiera pan drzwi od pokoju i widzi pan ją, leżącą na tapczanie. Przychodzi panu myśl, że może jeszcze żyje i chce pan krzyknąć o pomoc, zatykać gaz, otworzyć okna i podnieść alarm. Dotyka pan ręki kobiety, która nie żyje, na pewno nie żyje, co



zrobić? Dobry Boże! Opiera się pan, zapominając o wszystkim, nawet o tym dławiającym nie do wytrzymania gazie, o brzeg stolika czy fotela i błyskawicznie podejmuje decyzję, że nie może pan się w to mieszać, ponieważ do końca życia zostanie pan skompromitowany, i pewno jeszcze pan myśli, że popełniła samobójstwo. To wszystko trwa bardzo krótko, wycofuje się pan, zamyka automatycznie drzwi od pokoju, wyślizguje się ostrożnie na klatkę schodową. Nie ma nikogo, środek nocy, wszyscy śpią, zamyka pan drzwi na klucz i ucieka.

Gorczyński i kapitan poruszyli się nerwowo.

— Jeszcze trochę, a uwierzyłbym, że to ja byłem tym tajemniczym kochankiem Nawrockiej.

Opowiadanko prześliczne, ale skąd Jagodziński mógłby wiedzieć, że ten pan, tak sugestywnie przez pana przedstawiony i wprowadzony na scenę, przyjdzie właśnie tej nocy do Klementyny Nawrockiej? — zapytał zjadliwie kapitan.

Drzwi trzasnęły, sierżant stanął w progu.

— Zgodnie z poleceniem, przynoszę pierwsze wyniki, panie kapitanie. Proszę.

Kapitan Żabicki nieomal wyrwał kartki z rąk sierżanta. Przeczytał. I bez słowa podał Andrzejowi.

— A więc pan prokurator przypuszczał słusznie! — wykrzyknął podniecony Gorczyński. — Tu był jeszcze ktoś trzeci, tak?

— Znalezione odciski nie są odciskami Henryka Jagodzińskiego. Należą do niezidentyfikowanego mężczyzny. Naprawdę, cieszę się, że będę miał okazję z panem współpracować, prokuratorze — Żabicki przyznał się otwarcie do swojej porażki.

## Rozdział 17.

W towarzystwie swego nieodłącznego zastępcy, którego w ciągu ostatnich trzech dni tak bardzo polubił, Andrzej miał zamiar przesłuchać Lepińską, najbliższą sąsiadkę Klementyny Nawrockiej, która pierwsza poczuła gaz i wszczęła alarm. A chociaż nie spodziewał się usłyszeć żadnych rewelacji poza sąsiedzkimi plotkami, dla dopełnienia formalności i przede wszystkim uspokojenia swojego poczucia obowiązku, ze źle skrywaną niechęcią podniósł się do wyjścia. Zmęczenie porządnie dawało mu się we znaki, bolała go głowa, pod powiekami czuł piasek. A dzień zapowiadał się długi, zmudny, pełen znaków zapytania, na które trzeba znaleźć rzeczową i pozbawioną wątpliwości odpowiedź. Andrzej sądził, że Lepińska nie zaskoczy go niczym szczególnym. Nowy, przed niecałym rokiem oddany do użytku wieżowiec; jeszcze nie starczyło czasu na nawiązanie trwalszych ani żywszych stosunków sąsiedzkich, tym bardziej przyjaźni, a Klementyna miała charakter skryty i nie wydawało mu się możliwe, aby pozostawała w bliższych kontaktach ze swoimi sąsiadami. Nie można było jednak tego zaniedbać ani odrzucać z góry, ponieważ wszystko mogło okazać się ważnym, rozstrzygającym elementem i naprowadzić na ślad, nagle zagmatwany i splątany obecnością trzeciego.

— No, cóż — westchnął Andrzej. — Idziemy. Pan pójdzie z nami?

— Nie ma takiej potrzeby, już pan niczego nie przeoczy. — Żabicki uśmiechnął się z życzliwością.

— Poszperam tu trochę, później opieczętuujemy mieszkanie. Do rychłego zobaczenia, prokuratorze.

— Do zobaczenia — odpowiedział Andrzej.

Gorczyński poszedł przodem, nagle przystanął, spojrzął na Doleckiego z lekko kpiącym uśmiechem.

— A ja wiem, o czym pan teraz myśli. Postawię panu kawę po turecku, jeśli zgadnę.

— Powinno być odwrotnie, jeżeli pan zgadnie, to ja panu postawię kawę — odpowiedział Andrzej i wyobraził sobie opieczętowane mieszkanie Nawrockiej, urzędowe stemple, wizytówkę na drzwiach, która głosiła nieprawdę: „Klementyna Nawrocka, pielęgniarka”. Nie ma już takiej. — No, o czym?

— Że chętnie przeniósłby się pan teraz do pewnego bardzo różowego pokoju i, siadając nad filiżanką kawy, rozpocząłby pan dyskusję z jedną starszą, dziwaczną, lecz bystrą damą na temat niebezpieczeństwa inwazji pajaków.

— Zgadł pan — roześmiał się serdecznie Andrzej.

Żabicki przyjrzał się podejrzliwie i jemu, i Gorczyńskiemu.

— O kim mówicie?

— O pani Elizie Hoffmann, kapitanie — odparł ze śmiertelną powagą Gorczyński — której nazwisko pisze się i wymawia przez dwa «f» i dwa «n», w odróżnieniu od zwykłych Hofmanów, i która stosuje różową blokadę przeciwko pająkom.

— Pająkom? Macie gorączkę, panowie?

— To tylko kwestia wyobraźni, kapitanie — dokończył rozbawiony zdumioną miną Żabickiego Gorczyński. — Nic więcej. A jednak

czasami bardzo wiele.

I wyszli, zostawiając osłupiałego kapitana pośrodku pokoju.

Lepińska przyjęła ich krzykliwymi pretensjami.

— Spodziewałam się przynajmniej podziękowania! — powiedziała, wpuszczając ich do swego mieszkania. — Miałam prawo żądać kulturalnego potraktowania, bo gdyby nie ja, do tej pory nic byście nie wiedzieli, a tymczasem do mnie przychodzicie na szarym końcu, a jakiś gbur, gdy chciałam zajrzeć do Nawrockiej, ordynarnie wyrzucił mnie za drzwi!

Była wyraźnie urażona. Mimo wczesnej pory była starannie ubrana i wymalowana.

Zbyt jaskrawo — pomyślał Andrzej — i pretensjonalnie. Mogła mieć około czterdziestu lat, ale starała się wyglądać jak młoda dziewczyna czy podlotek. Ubrana była w bardzo krótką sukienkę w kolorze rażącej zieleni, obciśniętą na przygrubych udach oraz pantofle na wysokich obcasach. Miała tlenione włosy, rozpuszczone zwyczajem nastolatek na ramiona oraz kreski na powiekach, przeciągnięte daleko poza ich naturalną linię.

— Czekam i czekam, ale jak tak można, proszę panów? Ja się przez was spóźnię do pracy!

— A od kiedy ty nazywasz to pracą? — odezwał się mąż Lepińskiej. Krzątał się po pokoju ze szmatką i ścierał kurze.

— A ty czego się wtrącasz?! — krzyknęła rozsierdzona kobieta. — Spływaj do kuchni, zrób sobie śniadanie i jazda do biura!

— Niech panowie nie zwracają na nią uwagi — powiedział wesoło Lepiński, podrzucając i łapiąc szmatkę. — Do niej trzeba się

przyzwyczaić. Trudne to, bo trudne. Już ponad dziesięć lat usiłuję przyzwyczaić się, lecz z miernymi rezultatami, uzyskałem jednak pewne drobne osiągnięcia. Po prostu, należy zachować spokój.

— Powiedziałam do kuchni! Jakbyś zarabiał tyle, ile potrzeba, miałbyś ten swój spokój. Ale nawet nie potrafisz dorobić się nędznej syrenki. Twój koleś jeździ fiatami, stać ich na wszystko, a ja nie mam się w co ubrać. Nie tak jak tamta. Obnosiła się w zagranicznych ciuchach. I skąd ona na nie brała? Ale takie to zawsze mają wszystko.

— Moja żona obrabia w tej chwili panią Klementynę Nawrocką — wyjaśnił Lepiński i wycofał się do kuchni.

— Bo tak jest naprawdę, proszę panów! — krzyknęła rozłoszczona Lepińska.

Andrzej przerwał jej ostro.

— Droga pani, jestem prokuratorem, nazywam się Dolecki i pani pozwoli, że to ja będę pytał, a pani tylko będzie odpowiadać. Inaczej nie porozumiemy się nigdy. A małżeńskie porachunki załatwi pani przy bardziej sprzyjającej okazji.

— Też coś — prychnęła Lepińska, obrzuciła Andrzeja wyniosłym spojrzeniem, obciągnęła unoszącą się na biodrach sukienkę. — Myślę, że zasługuję na większą uprzejmość...

— Nikt nie zamierza traktować pani nieuprzejmie — przerwał Andrzej. „Dobry z niej numer, za żadne skarby nie można pozwolić jej mówić, bo nie dopuści do słowa”. Zaczął naprawdę żałować, że tu przyszedł. — Musimy się jednak ograniczyć do meritum sprawy.

— Panie prokuratorze! — krzyknął z kuchni Lepiński. — Moja żona nie zna łaciny, za to chodziła przez trzy miesiące na kurs

angielskiego.

— Patrzcie, jaki wykształcony, za moje pieniądze zrobił dyplom inżyniera! — wykrzyknęła Lepińska.

Przepiękne małżeństwo — pomyślał Andrzej. — I skąd się tacy biorą?

Miał wielką ochotę trzasnąć z całej siły drzwiami, zostawić ich samych sobie i przeciw sobie, skłóconych, nienawidzących się, wściekłych.

— Panie Kazimierzu, zaczynajmy — powiedział oficjalnie.

Gorczyński natychmiast rozłożył notes i mrugnął porozumiewawczo. Zrozumiał, o co Andrzejowi chodzi — był to jedyny sposób, żeby przerwać małżeńskie awantury.

Lepińska zmieszana się lekko, zaczerwieniła, spojrzała niepewnie na Gorczyńskiego, który siedząc sztywno, trzymał ostentacyjnie rozłożony notes i gotowy do pisania długopis.

— Będziecie protokołować?

— Oczywiście, proszę pani. To oficjalne śledztwo. Pani imię, nazwisko?

— Jagoda Lepińska — powiedziała kokieteryjnie, zakładając nogę na nogę.

Andrzej z trudem powstrzymał śmiech.

— To zdrobnienie? — zapytał, starając się zachować urzędowe brzmienie głosu.

— Od Jadwigi. Ale nie lubię swego imienia. Wszyscy moi znajomi nazywają mnie Jagodą, Jagódką — poprawiła pretensjonalnym gestem opadające jej na twarz włosy, jakby była gwiazdą filmową.

— Bardzo ładnie — przyznał Andrzej. — A więc, pani Jagodo, mogę tak się do pani chyba zwracać?

— O rany! — krzyknął Lepiński z kuchni. — Cóż za wersal!

— Cham... Oczywiście, panie prokuratorze — uśmiechnęła się zalotnie.

— Świetnie. A więc, pani Jagodo, o której pani wczoraj wróciła do domu?

— Mój mąż dostał premię za wynalazek — zaczęła — i zaprosił mnie na kolację do lokalu. Jedliśmy pieczoną kaczkę, krem pieczarkowy, melbę, piliśmy francuski szampan, rozmawialiśmy...

— Pan sobie wyobraża, o czym? — wtrącił się znowu Lepiński z kuchni i wybuchnął śmiechem. — Panie, szykowna kolacja. Moja żona ubóstwia szykowne kolacje w pierwszorzędnym lokalach.

Czego się nie robi dla ubóstwianej żony?

— Proszę pana, proszę nam nie przeszkadzać — powiedział ostro Andrzej.

— Bo to jest cham, panie prokuratorze. Byłam młoda i głupia i dlatego za niego wyszłam. On się złakomił na moje pieniądze. Goły jak święty turecki, a moi rodzice wypłacili nam lekką rączką sto tysięcy złotych.

— Żeby się pozbyć swojej ukochanej córeczki — nie wytrzymał Lepiński. — Tanio. I nie zbiednieli.

Badyłarze.

— To mnie doprawdy nie interesuje — powiedział Andrzej, myśląc jednocześnie, że z trudem panuje nad sobą. — Pani Jagodo, o której wróciła pani z tej kolacji?

— Około drugiej w nocy. Ach, bawiłam się cudownie — Lepińska przeciągnęła się znowu ruchem filmowego wampa. — A pan prokurator bywa czasem w lokalach?

— Niestety nie bywam. Więc około godziny drugiej. Dużo pani wypila?

— Ja? Ależ skąd, piłam tylko szampana, wódki są takie ordynarne. Niewiele, kilka kieliszków.

— Wytrąbiła sama całą butelkę! — krzyknął znowu Lepiński. — Ale ona ma mocną głowę!

— Jeżeli jeszcze raz odezwiesz się choć słówkiem, wyrzucę cię z domu, skompromituję, rozumiesz?!

— krzyknęła Lepińska.

— Będzie to najszczęśliwszy dzień w moim życiu! — zawołał mąż.

— No to już, jazda, nikt cię tu nie trzyma!

— Proszę pani, niechże pani przestanie zajmować się mężem — powiedział Andrzej. — Mam jeszcze do pani tylko jedno pytanie. Otóż, wysiadając z windy, poczuła pani gaz i zaniepokojona, zapukała pani do drzwi Klementyny Nawrockiej, stwierdzając, że właśnie stamtąd gaz się ulatnia, czy tak było?

— Jakby pan był przy tym — odparła szybko Lepińska, mrużąc oczy.

— Niech jej pan nie wierzy — zachichotał Lepiński, wchodząc do pokoju. Był już w marynarce, trzymał pod pachą aktówkę. — Ona... ona podglądała Nawrocką przez dziurkę od klucza, zawsze to robiła, ona niezwykle interesuje się swoimi bliźnimi.

— Wynoś się — zasyczała Lepińska.



— Wyszliśmy z windy — nagle zupełnie rzeczowym tonem zaczął relacjonować mąż — poczułem gaz. „Gaz się gdzieś ulatnia” — powiedziałem. Ona, czyli Jagódka, zaśmiała się prawie szczęśliwa.

„Och, może wreszcie ktoś otruł tę wyniosłą jędzę” — zawołała bardzo wesoło, zapewniam panów.

Podbiegła do drzwi. „Tak, to od niej” — powiedziała zadowolona, przyłożyła nawet oko, a potem nos do dziurki od klucza. Tak to wyglądało. A teraz żegnam panów, muszę być na dziewiątą w biurze projektów, gdzie pracuję na państwowym etacie i podlegam dyscyplinie pracy.

— Chwileczkę, proszę pana — zatrzymał go Andrzej. — Co było potem?

— Och, nic szczególnego — odparł nagle zmęczonym głosem Lepiński, przestał robić z siebie pajaca. — Kłóciliśmy się dobre piętnaście minut.

— O co?

— Bo on się w niej kochał! — krzyknęła Lepińska.

— Uważałem, że należy coś zrobić, panie prokuratorze. Chciałem po prostu zatelefonować, gdzie potrzeba. Moja żona robiła wszystko, żeby mi w tym przeszkodzić.

— To kłamstwo!

— Poszarpaliśmy się troszeczkę przy tej okazji — uśmiechnął się smutno Lepiński. — Moja żona uważała, że panią Klementynę Nawrocką spotkał zasłużony los i że nie ma potrzeby się wtrącać w przeznaczenie, które słusznie ukarało naszą sąsiadkę.

— Więc to pan zawiadomił milicję?

— Nie. Ona. Ponieważ broniła dostępu do telefonu, zamierzałem wyjść z domu i wołać o pomoc.

Wtedy zadzwoniła.

— Ta dziwka — wyrzuciła z siebie ze wściekłością Lepińska — zawróciła mu w głowie.

— Z panią Nawrocką — powiedział z naciskiem Lepiński — wymieniałem jedynie grzecznościowe ukłony.

— Ale jak na nią patrzył. Pożerał ją wzrokiem! Chociaż starsza ode mnie. Takie zawsze mają szczęście. Wszystko potrafią załatwić. Jeżdżą zagranicznymi wozami. A tak — mówiła zacietrzewiona — rozbijają się ostentacyjnie zagranicznymi wozami, stać je na to.

— Dlaczego pani wyraża się z taką pogardą o nieżyjącej kobiecie? — zapytał Andrzej.

— A na co innego zasłużyła? Niezameżna, prowadziła się tak, jak chciała, nie jak wszystkie normalne, uczciwe kobiety... Przyjmowała kochanków, nie krępując się sąsiadami. Jeździła zagranicznymi wozami!

— Skąd pani wie, że Klementyna Nawrocka miała kochanków?

— Przecież mówię panu, że podglądała ją przez dziurkę od klucza — powiedział Lepiński.

— Nie trzeba podglądać, wystarczy raz spojrzeć, aby wiedzieć, co to za jedna — rzuciła mściwie Lepińska. — Obnosiła się wyniośle ze swoją urodą, ani spojrzała na człowieka, jakby była lepsza ode mnie. A kochanków miała. Utrzymywali ją.

— Mogłaby pani ich opisać?

— Czemu nie? — odparła wyzywająco. — Afiszowała się z nimi.

Przychodził tu do niej taki jeden, zawsze późno, po cichutku, jak złodziej. Miał klucze do jej mieszkania. Zaraz, jakeśmy się sprowadzili tutaj, zaraz go przyuważyłam. Przystojny. Nawet bardzo — dorzuciła z wyraźnym żalem.

— I na pewno od niej dużo młodszy — dodała zjadliwie. — Przyjeżdżał samochodem, ale zostawiał go o jeden dom dalej. Taki niebieski, mały wóz zagraniczny.

— Skąd pani wie, że przyjeżdżał samochodem i że zostawiał samochód o dom dalej?

— Widziałam.

— Zjeżdżała na dół i sprawdzała — stwierdził mąż.

— Pan też widział ten samochód?

— Tak — odpowiedział Lepiński. — Widziałem. Jeden raz. Wracałem z jakiejś konferencji, dość późno, około dziesiątej, ten mężczyzna zaparkował go rzeczywiście o dom dalej, ale dlatego, że przed naszym wieżowcem jeszcze wtedy nie było oświetlenia, a przy tamtym stała latarnia. Zostawił wóz bez świateł.

— Jaki to wóz?

— Mały hillman. Błękitny.

— Zapamiętał pan numer?

— Nie patrzyłem na numer. Nie interesował mnie.

— On się interesował tylko Nawrocką!

— Jakich jeszcze mężczyzn przyjmowała u siebie Klementyna Nawrocka?

— Na pewno jeszcze i innych — powiedziała Lepińska. — Dużo.

— Ale tego pani nie wie na pewno?

— Nie wiem na pewno, ale na pewno ich przyjmowała — odparła.

— Klementyna Nawrocka prowadziła hałaśliwy tryb życia, urządzała wystawne kolacje, bawiła się?

— O, to bardzo przewrotna kobieta — oświadczyła Lepińska. — Dbała o pozory. Poza tym grube mury, nie słysząc. Może i urządzała wystawne libacje, to by do niej pasowało.

— Ten wieżowiec jest zbudowany z pustaków. Wyjątkowo akustyczny, proszę mi wierzyć. Jestem inżynierem budowlanym — powiedział Lepiński.

— Sam pan widzi, jak on jej broni! Poza tym my mamy telefon, a ona, bezczelna, podała wszystkim swoim znajomym nasz prywatny numer i bez przerwy wydzwaniali do niej.

Andrzej pytająco spojrzał na Lepińskiego.

— Pani Nawrocka miała w najbliższych dniach otrzymać swój numer. Owszem, zwróciła się do mojej żony z prośbą o pozwolenie podłączenia numeru towarzyskiego. Ale moja żona nie wyraziła zgody. Uważam, że popełniłeś błąd, kochanie — zwrócił się zjadliwie do Lepińskiej — mogłabyś wtedy cudownie, bezpiecznie i bez przerwy nie tylko podsłuchiwać jej rozmowy, ale jeszcze nagrywać na magnetofon.

— Proszę pana! — upomniał go Andrzej.

— Rzeczywiście, przepraszam.

— Bezczelny! Jesteś bezczelny! — krzyknęła Lepińska.

— Pani Nawrocka spytała się więc wtedy — ciągnął Lepiński, zupełnie nie zważając na wściekłość żony — czy ze względu na charakter swojej pracy i dopóki nie otrzyma własnego numeru,

pozwolimy jej podać do wiadomości szpitala nasz numer. Przystałaś na to skwapliwie, kochanie — nie wytrzymał Lepiński.

— Widzę, że moja obecność jest tu zbyteczna — wycedziła Lepińska, wstała i wyszła, głośno trzaskając drzwiami. Właśnie tak, jak pragnął uczynić to Andrzej: ze ściany posypały się grube płaty tynku.

— Korzystano często z numeru państwa? — zapytał Andrzej i spontanicznie dodał: — Proszę pana, dlaczego pan to wytrzymuje? Przepraszam, ja nie mam prawa...

— Nie szkodzi. Widzi pan, często robię z siebie pajaca na sznurku, to też metoda ochronna — odparł z goryczą Lepiński. — Jest prawdą, że skończyłem studia dzięki finansowej pomocy mojej żony.

Jestem u niej zadłużony. I zanim spłacę...

— Przepraszam — powiedział jeszcze raz Andrzej.

Lepiński uśmiechnął się do niego z wysiłkiem.

— Nie mam panu za złe ciekawości. Tak się czasami dziwnie człowiekowi ułoży w życiu. — Pomilczał chwilę i dodał: — A jeżeli chodzi o panią Nawrocką, to była bardzo piękna kobieta, ale z takim wysokim poczuciem godności. Nie znałem jej. Jej życie prywatne nie interesowało mnie. Miała prawo układać je sobie tak, jak chciała. Była wolna, samodzielna. I bardzo dumna. Tak myślę, może się myłę. Jeżeli miałbym jakieś zastrzeżenia, to do jej przyjaciela, nazwijmy go tak, aby nikomu nie uwłaczać. On odwiedzał panią Nawrocką zawsze późnym wieczorem, jakby ukrywał tę znajomość. I myślę, że dlatego pani Nawrocka z nim zerwała.

— Zerwała?

— Widzi pan, dzięki wnikliwej obserwacji mojej żony, miałem codziennie świeży serwis wiadomości. Od trzech tygodni moja żona niepokoiła się, bowiem w tym czasie ani razu nie trafiła na moment, w którym mężczyzna otwierał posiadanym kluczem drzwi do mieszkania pani Nawrockiej.

Nie będę cytował komentarzy mojej żony, chyba że to panów interesuje.

— Raczej nie — zaprotestował szybko Andrzej. — Od trzech tygodni nie przychodził, a przedtem, jak często?

— Opierając się na serwisie...przepraszam, pajacowanie weszło mi w nawyk, żona twierdziła, że odwiedzał ją dwa lub trzy razy w tygodniu. Ale są to obserwacje mojej żony. Ja widziałem go tylko raz, gdy podjeżdżał hillmanem.

— Jak wyglądał?

— Wysoki i chyba szpakowaty. Nie wiem. Było już ciemno. Zresztą nie przyglądałem mu się.

— Dziękuję panu. Pan rzeczywiście spóźnił się przez nas do pracy. Możemy pana usprawiedliwić — zaproponował Andrzej.

— To zbyt uczte. Powodzenia, panie prokuratorze.

— Panu również go życzę. Naprawdę — powiedział poważnie Andrzej.

Wsiedli w milczeniu do windy, zjechali w dół. Wozu kapitana Żabickiego nie było, musiał już zakończyć swoją pracę i odjechał. Kierowca ich warszawy drzemał, rozparty wygodnie za kierownicą.

— Właściwie, jeżeli nie ma pan nic przeciwko, chciałbym przez kilka minut odetchnąć świeżym powietrzem — poprosił Górczyński.

— Tu jest ławeczka, usiądźmy. I tak przez jeden dzień nie załatwi pan wszystkiego. A zemdliło mnie porządnie. Wyobraża pan sobie pożycie małżeńskie Lepińskich? Smród aż bucha.

— Tu mnie wyobrażnia zawodzi — odpowiedział Andrzej — ale jeśli kiedyś spotkam jeszcze gdzieś podobną parę, do końca życia zostanę kawalerem.

— On ją kochał czy ożenił się tylko dla pieniędzy?

— To ja pana powinienem zapytać, pan ma doświadczenie życiowe, którego mi brak. Czy ja wiem?

Jest niebrzydka, choć wulgarna. Dziesięć lat temu mogła być ładną dziewczyną. Córka badylarza, wychowana w dobrobycie. Pieniądze dają pewność siebie i tupet. Pewno miała tak zwane wyższe aspiracje. Może i kochali się kiedyś.

— Nie chciałbym być na miejscu tego człowieka — powiedział Gorczyński. — Wymawiali mu, że go muszą utrzymywać. Dla ludzi, którzy trudnią się robieniem pieniędzy, one są najważniejsze. Dali córce posag, a on był goły. Upokarzająca zależność wzrastała z biegiem czasu. Potem po studiach — młody inżynierek, który zarabia niecałe dwa tysiące i ciągle siedzi w kieszeni. A jemu przeszła miłość, jeżeli taka istniała i zaczęło się piekło.

— Panie Kazimierzu, do diabła, czym my się w końcu zajmujemy? Odtwarzaniem przyczyn rozkładu małżeństwa państwa Lepińskich czy sprawą Jagodzińskiego? — przerwał Andrzej. — Jedziemy.

— Do Elizy Hoffmann?

— Ja pojedę do Elizy Hoffmann, a pana podrzucę do prokuratury. Po pierwsze, proszę w porozumieniu kapitanem Żabickim

natychmiast rozpocząć sprawdzanie personaliów Jagodzińskiego. Wszystkie dokumenty, na przykład na jakiej podstawie wydano mu dowód i przyznano rentę inwalidzką.

— Wolałbym posiedzieć u pani Elizy. Pan mnie zapędza do syzyfowej pracy, a wobec siebie stosuje taryfę ulgową. Nie zna pan litości — zażartował Gorczyński. — No cóż, mówi się trudno.

— Niech pan porozumie się jak najszybciej z doktorem Śliwińskim — polecił Andrzej.

— Dobrze, dobrze, panie prokuratorze.

— Co ja bym bez pana zrobił, panie Kazimierzu? Bardzo pana polubiłem w ciągu tych ostatnich dni.

— I ja pana lubię — odparł Gorczyński. — Od początku. Zwłaszcza ujął mnie pan swoją pierwszą sprawą. Pamięta ją pan oczywiście?

— Jakżebym miał nie pamiętać? — westchnął Andrzej. — Sromotnie ją przegrałem.

— Przeciwnie, pan ją wygrał. Tak, ponieważ łatwo mógł pan uzyskać wyższy wymiar kary, błysnąć bezpardonową mową prokuratorскую. Dziewięciu na dziesięciu by tak postąpiło. Ale pan był tym dziesiątym, który w tok swego postępowania włączył jeszcze jeden element, to znaczy ludzkie zrozumienie, nie jakieś współczucie, lecz obiektywne zrozumienie. I dlatego pan wygrał. Z samym sobą.

— Prokurator nie ma prawa tak postępować. Rolą prokuratora jest oskarżać, nie wnikając w przyczyny, jakie spowodowały popełnienie przestępstwa— zaoponował Andrzej.

— To formuła, której łatwo nadużyć. Dowód oskarżenia musi być oczywiście dowodem prawdy. Ale są prawdy różnie ukazane. Cóż ja



będę panu tłumaczył, po prostu wyznaliśmy sobie wzajemnie sympatię — uśmiechnął się Gorczyński i wyciągnął rękę do Andrzeja. — No i fajnie, jak powiada jedna z moich córek, nawet nie wiem która.

Dolecki wysadził Gorczyńskiego przed prokuraturą i kazał kierowcy zawieźć się na Wysoką.

— Czekać na pana prokuratora?

— Nie. Może pan wracać, ale za półtorej godziny proszę po mnie przyjechać. Będę gotów.

Eliza Hoffmann poprowadziła Andrzeja przez korytarz, jak zwykle ciemny i pełen pajaków. Uwierzył już w te pająki. Usiadł z uczuciem ulgi i odprężenia wśród znajomych mebli, pokój wydawał mu się bardziej różowy, uspokajająco różowy. Eliza Hoffmann była dziś w aksamitnej sukni i nie tak blada jak zwykle.

— Napije się pan kawy?

— Z przyjemnością.

Wyglądała w owej aksamitnej sukni, ozdobionej pod szyją sznurkiem małych perełek, jak dama ze starego portretu.

— Perły są prawdziwe — powiedziała. — Nie znoszę wszelkich imitacji. Nie interesuje pana, z czego żyję? Skąd mam biżuterię i te wszystkie antyki, bo to są autentyczne antyki, o dużej wartości.

Chce pan, przepiszę je panu w testamencie?

— Ależ pani Elizo — zachnął się Andrzej. — Co pani mówi? Z jakiej racji? I co bym zrobił z tymi antykami? Nie wyobrażam ich sobie w innym pokoju niż ten. No i wcale mnie nie interesuje, z czego pani żyje. Nawet o tym ani razu nie pomyślałem. Zresztą, ponieważ

pani sama mnie sprowokowała: antyki odziedziczyła pani po swojej rodzinie, a utrzymuje się pani z emerytury.

— Pracowałam przez trzydzieści lat jako konserwator zabytków — odparła pani Hoffmann. — Mam niezłą emeryturę. A meble? Rzeczywiście przejęłam je w spadku.

Postawiła na stole porcelanowe filiżanki, przyniosła w kryształowym dzbanuszkę słodką śmietankę.

Po chwili naląła kawę, której przyjemny zapach rozszedł się po całym pokoju.

— A teraz, panie prokuratorze, słucham — powiedziała, siadając w maleńkim foteliku naprzeciwko Andrzeja. — Co się stało?

— Klementyna Nawrocka, siostra pani Jagodzińskiej, została dziś w nocy otruta. Prawdopodobnie cyjankiem.

— Boże — powiedziała Eliza Hoffmann. — Powinnam się była tego domyślić. Upozorowana śmierć samobójcza czy upozorowany nieszczęśliwy wypadek?

— Śmierć samobójcza — odparł krótko Andrzej.

— Boże — powtórzyła raz jeszcze Eliza Hoffmann. — Obawiałam się cały czas, że gra nie została jeszcze zakończona. Obawiałam się wielu rzeczy, jednak nie tego, na litość boską, nie jeszcze jednego zabójstwa! Zły ze mnie psycholog.

Przecież ten człowiek, morderca, od długich lat żyje w nieustannym strachu. Jego strach, zamiast zmniejszać się, mijać wraz z czasem, potężniał i narastał. Tak, jest to bowiem człowiek, który ucieka przed swoim własnym strachem. Przed samym sobą. Powinnam była zrozumieć, że każda minuta umacniała jego strach, każdy następny

dzień składał się z sumy lęków wszystkich dni poprzednich.

Straszna to suma, panie prokuratorze. Wszystko: odgłos uliczny, krzyk człowieka, jedno pojedyncze, przypadkowe zdanie, wszystko budowało strach mordercy. Światło dziennie, które go ujawniało i noc, podczas której mógł się zdradzić jękiem, słowem. Jak pająk, który w ciasnym i brudnym kącie posepnego korytarza owija się w coraz to gęstniejącą pajęczynę, tworzy ją zapamiętale, pewniejszy, że jeśli będzie szczelniejsza, to nikt go już nie wykryje. Jak pająk, który przeliczył się z własnymi siłami i nagle jego nić pękła, misternie zbudowana pajęczyna zerwała się, po prostu nie wytrzymała napięcia. On sam, morderca, wiedząc, kim jest naprawdę, ścigał samego siebie. I przed samym sobą się ukrywał.

— O kim pani mówi?

— Cały czas o Jagodzińskim. Tylko o nim. Człowiek, który ukrywa się przed samym sobą. I sam siebie wydaje. Myślę, że musiał zrobić coś strasznego, jeżeli tak bardzo obawiał się siebie. Myślę jeszcze, że to wszystko wiązać się będzie z przeszłością okupacyjną Jagodzińskiego. Zapewnił sobie kryjówkę na resztę dni życia w sposób perfidny, wyrafinowany, ożenił się z pierwszą lepszą spotkaną dziewczyną, która dawała mu alibi, parawan, gwarancję bezpieczeństwa. Ale żył w stałym napięciu, aby się niczym nie zdradzić, musiał uważać na każdy ruch, ważyć każde słowo. To silny człowiek — wytrzymał tyle lat, sam na sam ze swoim śmiertelnym strachem. Myślę jeszcze, że Jagodziński musiał uczynić jakąś nikczemną rzecz, może trafił do obozu i za cenę ocalenia swojego życia zabijał innych? Pewnie dojdziecie do tego sami, szybko

znajdziecie odpowiedź na pytanie: kto naprawdę ukrywa się za Jagodzińskim? Kapo, konfident, zdrajca, mizerny tchórz? Śmierć Klementyny Nawrockiej zamyka tragiczne koło. Tylko te dwie osoby, Klementyna i jego żona, znały Jagodzińskiego bezpośrednio z okresu powojennego i mogły zapamiętać jego cechy szczególne. Jakąś bliznę czy numer obozowy, wytatuowany na przedramieniu. Żona i siostra żony. Usunął żonę. Musiał jeszcze usunąć drugiego, ostatniego świadka. Zrobił to. Wie pan, ja się boję. Boję się przeszłości tego człowieka.

— Pani Elizo, nie jest takie pewne, że to on zabił Klementynę Nawrocką. Pani Nawrocka miała kochanka, który odwiedził ją krytycznej nocy.

Andrzej opowiedział Elizie Hoffmann przebieg wypadków. Słuchała uważnie, z napięciem.

— Pan dobrze wie, że ten nieznany mężczyzna, przyjaciel Klementyny, nie zabił jej — obruszyła się żywo Eliza Hoffmann. — To absurd.

— A jeżeli pragnęła go skompromitować? Więc dla uniknięcia skandalu?

— Pan chyba żartuje! — zdenerwowała się Eliza Hoffmann. — Naprawdę jest pan skłonny przyjąć podobną wersję?

— Nie. Ale muszę ją sprawdzić. Niczego nie mam prawa wykluczyć.

— Oczywiście — zgodziła się Eliza Hoffmann. — Lecz doskonale pan wie, że siostrę Marii zabił Jagodziński.

— Wiem. Ale muszę udowodnić, że nie zabił ten drugi. Niech mi

pani powie — pani jako kobieta zwraca uwagę na drobiazgi, szczegóły — w jaki sposób Jagodziński zdołał się dowiedzieć o kochanku Nawrockiej? Ona na pewno mu się nie zwierzała. Skąd Jagodziński wiedział, że ktoś jeszcze odwiedzi tego wieczoru jego szwagierkę? W dodatku mężczyzna? — dodał. — A jednak zostawił te szklanki na stoliku.... Zaczynam się gubić.

— Mogę spróbować to sobie wyobrazić — odparła Eliza Hoffmann, uśmiechając się do Andrzeja życzliwie. — Przyjacielowi pani Nawrockiej nie zależało na tym, żeby świat wiedział o jego romansie. Od trzech tygodni przestał bywać u niej, tak? Nie znałam pani Nawrockiej, myślę jednak, że była niewątpliwie osobą dumną, ambitną i z dużym poczuciem godności. Przypuszczam, że to ona zerwała tę znajomość, ale on nie chciał się z tym pogodzić. A jeśli ją kochał, lecz nie miał odwagi zrywać długoletniego małżeństwa? Tak źle, tak jeszcze gorzej. Tu jedna kobieta, a tam druga. A jeśli był zwykłym tchórzem, który nie potrafił podjąć decyzji? I dbał o zachowanie pozorów, o swoją nieskazitelną opinię? Tak zawsze zachowują się ludzie słabego charakteru, którym brak jest odwagi w sprawach osobistych. Niech pan sprawdzi w szpitalu, czy w ciągu ostatnich trzech tygodni nie próbował telefonicznie kontaktować się z Klementyną i chociaż Nawrocka na pewno nie zwierzała się ze swoich osobistych spraw, to jednak coś musiało przecieknąć, ludzie będą wiedzieć, ludzie zawsze wiedzą dużo, zwłaszcza jeśli przedmiotem zainteresowań jest tak piękna kobieta, jak Nawrocka. Aha, jeżeli przyjaciel Nawrockiej był ciągle w posiadaniu klucza od jej mieszkania, może oznacza to, że nie chciał ich jej zwrócić? Może

liczył jeszcze, że potrafi Klementynę przekonać? Wie pan, myślę po prostu, że on zawiadomił ją o swojej wizycie telegramem, listy od niego mogła odsyłać pocztą zwrotną, a telegram każdy przyjmie i pokwituje.

— Pani jest genialna — powiedział Andrzej, pełen uznania.

— Przeczytała telegram, wsunęła do torebki. Torebkę z pewnością miała pod ręką, dawała przecież napiwek posłańcowi — kontynuowała pani Eliza. — Zawsze się daje parę złotych za fatygę, nie sądzę, żeby postąpiła wbrew utartemu zwyczajowi. Gdy Jagodziński szukał zdjęć w torebce, znalazł również telegram.

— Pani ma rację, pani Elizo. Przypominam sobie w tej chwili dokładnie, że gdy Nawrocka otworzyła mi drzwi zbladła, jakby się przestraszyła. Odniosłem ogólne wrażenie, że na kogoś czekała.

— Nie czekała, lecz lękała się, że może mężczyzna, którym już tylko pogardzała, przyjdzie wcześniej, niż zapowiedział — zauważyła pani Eliza. — Jagodziński przejrzał jej torebkę, znalazł telegram, no i wszystko zaczęło mu sprzyjać.

— Pani Elizo, dlaczego on zabił żonę? Dzięki niej ukrywał się dwadzieścia lat z okładem! To wystarczający okres, żeby nabrać pewności, iż przynajmniej ze strony żony nie ma się czego obawiać. Nagle go zdemaskowała? Po tylu latach?

— Nie wiem, panie prokuratorze. Pan mnie przecenia. Jednak poradzę panu coś, o czym pan już zapewne myślał: trzeba sprawdzić dokładnie, jakby ze stoperem w ręku, każdą czynność tamtego popołudnia, jaką wykonała Maria Jagodzińska.

— To przecież niemożliwe. Ona nie żyje. A on sam nie powie.

— Wszystko jest możliwe, panie Andrzeju — odparła z uśmiechem Eliza Hoffmann. — To tylko kwestia wyobraźni.

Andrzej dopił już trzecią filiżankę kawy, głowa przestała go boleć, pocałował starszą damę w rękę, przyrzekł, że będzie uważał w korytarzu na pająki, że nie pozwoli im się omotać. Postanowił porozmawiać z mieszkańcami kamienicy przy ulicy Wysokiej, czy ktoś widział wczoraj Jagodzińskiego, jak wychodził do miasta? Na pewno ktoś go widział i zapamiętał. Bo Jagodziński musiał po powrocie z prokuratury wychodzić trzy razy. Albo dwa, jeżeli pierwszy telefon do szpitala załatwił podczas samotnego powrotu po przesłuchaniu. Ale chyba tego nie zrobił, zbyt zajęty opracowywaniem dalszej strategii. Byłby geniuszem, gdyby potrafił od razu mieć gotowy plan.

Dzieci bawiły się na kamiennym podwórzu. Piegowaty chłopak z zapalem ćwiczył kopanie do bramki, to znaczy między dwa pojemniki na śmieci. Nie, nie będzie wypytywać dzieci, nie trzeba ich mieszać w brudne historie świata dorosłych... Zapukał do dozorca. Dozorca i jego żona byli w domu. Ledwo zdążył zapytać o Jagodzińskiego, a dozorczyńni zalała go potokiem słów, często przerywanym westchnieniami.

— Boże ty mój, co za nieszczęście! Biedny ten pan Jagodziński, kaleka. I teraz sierota. Panie, jak on tu u nas płakał. On prawie chodzić nie może. I jak on będzie teraz żył? Pytał się, czy nie zgodzę się do niego przychodzić, robić zakupy, ugotować obiad. No jakże, pewno, trzeba człowiekowi pomóc.

Nawet drogo nie wezmę, byłabym bez sumienia. On na niczym się nie zna, nic nie wie, ani jak pogrzeb załatwić, jak trumnę zamówić,

miejsce pod grób, jak dzieciak, wszędzie z nim wczoraj chodziłam. I pomyśleć, że nieboszczka ma siostrę, nawet się tu nie pokazała, chociaż...

— Tak, tak proszę pani — przerwał jej zniecierpliwiony Andrzej. — Więc pan Jagodziński przyszedł wczoraj do państwa i prosił o pomoc przy urządzeniu pogrzebu, tak?

— A co miał, biedak, zrobić, jak on sam bez laski nawet paru kroków przejść nie może? A to tyle zachodu wyprawić pogrzeb, ile załatwiania, ile papierków, gadania...

— O której przyszedł?

— A tak jakoś popołudniu — wtrącił się dozorca. — Chyba koło trzeciej... Rozplakał się, moja żona zaczęła go pocieszać, że mu ludzie pomogą, no i powiedziała, jak trzeba z pogrzebem, to też. Widać było, że człowiek zupełnie bez głowy, do niczego, no i jeszcze kaleka, jak takiego zostawić? Żona wczoraj z nim chodziła, załatwiała.

— Gdzie pani z nim była?

— Wzięliśmy taksówkę, pojechaliśmy zamówić trumnę, wybrał bardzo ładną, drogą, chociaż z czego on teraz będzie żył? Potem pojechaliśmy do parafii, zamówiliśmy miejsce na cmentarzu, do księdza, jak się patrzy. No i jeszcze po ten papierek, akt zgonu, a i tak nie wszystko się załatwiło, ale ja tam mu, co tylko będę mogła, pomogę — powiedziała dozorczyńni.

— Jak długo zajmowała się pani Jagodzińskim?

— A ze trzy godziny. Albo i trochę dłużej.

— I wszędzie jeździliście państwo taksówkami?

— No nie, nie wszędzie. Powiedział, że nie stać go na taksówki, a ja



tam przecież z własnej kieszeni dokładać nie będę, nie mogę być stratna.

— Więc wrócił razem z panią gdzieś przed szóstą?

— Ano, tak będzie. Prosto od księdza.

— Czy po drodze zatrzymywał się gdzieś, wchodził do budki telefonicznej albo na pocztę i telefonował?

— Telefonował? A po co? Ja mu wszystko załatwiłam, gadałam za niego. Nie, nie telefonował.

— A zanim zwrócił się do państwa o pomoc, nie widzieliście go państwo, że gdzieś szedł? No, chociażby do sklepu, kupić sobie jedzenie?

— Nie. Od razu tu przyszedł — powiedziała zdecydowanie dozorczyńni. — A był taki spocony, zziębnięty, bez ducha.

— No nie, nie od razu — zaproponował mąż. — Ty siedziałaś w kuchni, a ja zamiatałem koło bramy.

Patrzę, idzie Jagodziński. Z laską, bardzo kuleje. Żal mi się zrobiło, zapytałem, czy potrzebna mu pomoc i dokąd idzie. Podziękował mi bardzo ładnie i powiedział, że postara się sam dać sobie radę.

Ale zaraz wrócił z powrotem. I dalej wszystko tak, jak moja żona powiedziała.

— Proszę pana, co to znaczy: „zaraz”? Zawrócił jeszcze w bramie? Czy przeszedł parę kroków ulicą i zawrócił?

— Wyszedł na ulicę, bo patrzyłem za nim, jak on da sobie radę. Bardzo kulał, opierał się mocno na lasce. Szedł trochę jak pijany, wpadał na ludzi. Skręcił za rogiem. No i zaraz wrócił.

— Może ustalmy jakoś to „zaraz” — uśmiechnął się

porozumiewawczo Andrzej. — Widzi pan, to ważne.

— Panie, czego wy chcecie od tego biednego człowieka? — zaperzył się dozorca.

— A może chcemy mu pomóc? — powiedział bezwstydnie Andrzej.  
— Więc ustalmy: skreślił za róg.

Wyglądał pan jeszcze za nim?

— Ano nie. Bo zawołała mnie pani Kowalska, żebym jej przetrzepał chodniczek.

— Wytrzepał pan pani Kowalskiej chodniczek?

— Czemu miałbym nie wytrzepać, jak ktoś prosi. Wytrzepałem.

— Ile panu to zajęło czasu?

— O, matko święta, ale pan piłuje i piłuje. Ile? A bo ja wiem? Pani Kowalska przywołała mnie przez okno, poszedłem do niej, dała mi chodnik, zszedłem na dół, wytrzepałem, odniosłem.

— Dziesięć minut wystarczyło?

— E tam, panie, jakie dziesięć minut?! Ja tam wszystko robię porządnie. Dokładnie wytrzepać, szczotką jeszcze sczyścić. Jakbym fuszerował, nie prosiliby mnie do niczego. A tak zawsze parę złotych dorobię.

— Dwadzieścia minut?

— Może i dwadzieścia.

— Odniósł pan chodnik, wrócił pan na podwórze i co dalej?

— Ano, zacząłem znów zmiatać, bo nie skończyłem.

— I wtedy pan Jagodziński wrócił?

— Tak było. Zapytał, czy możemy mu pomóc. Powiedziałem, niech wejdzie do domu, do mojej żony, ona się tam zna na takich sprawach

jak pogrzeby i obrotna jest w języku, z nią nie zginie.

— Bardzo panu dziękuję. Proszę pani, czy gdzieś za rogiem jest blisko sklep z telefonem?

— Sklepu nie ma, ale jest poczta — wtrącił dozorca.

— Śmiech, nie poczta — oświadczyła gniewnie dozorczyńni. — Klitka. Dwa okienka i czynna tylko do czwartej. Potem, do następnej, trzeba lecieć taki kawał drogi. Nie mogą to dłużej trzymać otwartej?

— Poczta jest blisko za rogiem? — upewnił się Andrzej.

— Blisko, blisko. Co z tego, że blisko, jak tylko do czwartej?

— O której wieczorem zamyka pan bramę na noc?

Dozorca zmieszał się.

— A bo co? — zapytała się wyzywająco dozorczyńni. — Przepisu nie ma, żeby koniecznie bramę zamykać. My tu od kilku lat wojujemy z administracją, żeby nam naprawiła tę walącą się rudere. Ta brama, panie, to na szmelc, jeszcze będzie kiedy nieszczęście, jak komu na głowę poleci.

— Tak więc brama jest przez całą noc otwarta?

— A otwarta, otwarta, niech pan powie tym z administracji, żeby nareperowali, to będziemy zamykać.

— Czy wieczorem ktoś z państwa widział raz jeszcze pana Jagodzińskiego? Wychodził albo wracał?

— No, to ja mogę panu powiedzieć, że nigdzie nie wychodził — powiedziała zdecydowanie dozorczyńni. — Był tak zmordowany, że jak wróciliśmy, położył się do łóżka, poprosił mnie, czybym nie zrobiła jeszcze zakupów i czego gorącego na kolację, bo on od trzech dni nic w ustach nie miał.

Prosił, żeby przyjść po Dzienniku. Zrobiłam mu kawałek mięsa, zniosłam, leżał w łóżku.

— A o której godzinie?

— Przecież mówię, że po Dzienniku. Akurat Dziennik się kończył. Potem miał być jakiś program, a potem film, pan wie, z kapitanem Klossem.

— Chciała pani zobaczyć kapitana Klossa?

— O, wszyscy, jak jest Kloss, siedzą kamieniem przy telewizorach, cały dom zamiera, dzieciaki wreszcie uciekają z podwórza. Kto by tam opuścił Klossa!

— Więc zniosła mu pani jedzenie zaraz po ósmej?

— Zaraz po Dzienniku.

— Otworzył pani drzwi?

— Nie. Zapukałam, krzyknął, że drzwi otwarte i żebym weszła. Leżał w łóżku. Postawiłam mu jedzenie, no i poszłam. A potem — dokończyła triumfalnie dozorczyńni — pan Jagodziński specjalnie się fatygował, żeby mi odnieść garnek, bo gotowałam mu w swoim i zapłacił za mięso, no i za fatygę.

— No, no, rzeczywiście bardzo uprzejmie. Więc odniósł pani garnek i chciał zapłacić?

— Dużo tam mu nie policzyłam, tyle co mięso wyniosło i jarzyny. Krzywdy mu nie zrobię, nie.

— O której godzinie pan Jagodziński odniósł pani garnek?

— Dokładnie panu powiem jak zegarynka — powiedziała dozorczyńni triumfującym tonem. — Bo kładłam się właśnie spać, a mój to już dobrze chrapał. Myślę, cholera, że to człowiekowi nawet

po nocy spokoju nie dadzą, pewno znowu jaki pijak chce klucz od ubikacji albo drzwi mu się pomyliły.

Patrząc, godzina wpół do jedenastej. Równy jak obszył. Wpół do jedenastej, proszę pana. A tu pan Jagodziński. W pizamie, w miękkich pantoflach, w szlafroku i garnek mój w ręku trzyma, czysty, umyty, wyszorowany, aż nakrzyczałam na niego. Doprawdy, nie pali mi się o garnek i powinien dbać więcej o siebie. A on powiedział, że mięso mu bardzo smakowało i przyszedłby wcześniej zwrócić garnek, no i zapłacić, bo przecież tak nie wypada zwlekać, ale oglądał Klossa, potem jedzenie go osłabiło, trochę się zdrzemnął, więc żeby się nie gniewała.

— Świetnie — ucieszył się Andrzej. — Bardzo państwu dziękuję, pomogliście mi ogromnie.

Wyszedł, zostawiając zdumionych i zaskoczonych Kozłowskich.

Na poczcie urzędniczka pamiętała Jagodzińskiego. Było wpół do czwartej, jak przyszedł, żadnego ruchu. Wysoki, bardzo otyły, utykający, o lasce. Dzwonił z automatu. Zdaje się, że nie bardzo umiał sobie początkowo poradzić. Nie zwracała potem na niego większej uwagi, nie wie, czy do wykręcenia numeru zakładał okulary, ponieważ stał odwrócony tyłem, a ona szykowała się do zamknięcia poczty.

## Rozdział 18.

— Zmęczony pan — zauważył serdecznie Gorczyński. Sam też nie wyglądał najlepiej. Miał sine kręgi pod oczami od niewyspania i nerwowego napięcia. — Z czasem nabierze pan rutyny i nie będzie się pan tak przejmował. Ale najgorsze zmęczenie jest jeszcze przed panem, bo wprowadziliśmy w ruch potężną i precyzyjną maszynę, która zaczyna dopiero nabierać szybkości, rozmachu, a później potoczy się jak lawina, błyskawicznie, jedno zdarzenie gonić będzie następne. Są wyniki sekcji, prokuratorze.

— No? — rzucił niecierpliwie Andrzej.

— Nie jadła kolacji ani obiadu tego dnia. Treść żołądka uboga. Piła herbatę. W treści żołądka i we krwi doktor Śliwiński odnalazł ślady cyjanku. Aha, analiza resztek herbaty jest czysta. Zwykła herbata.

— Tak jak przypuszczałem.

— Skąd Jagodziński miał cyjanek? Skąd go wziął?

— Tak, tak — mruknął Andrzej. — Dowiemy się tego, znając jego przeszłość. Wie pan, jak Eliza Hoffmann określiła Jagodzińskiego? Że jest podobny do pająka, który zaplątał się we własnej pajęczynie.

— Efektowna metafora — uśmiechnął się Gorczyński. — Pani Eliza nie uwierzyła w ewentualną winę tego drugiego, który pozostawiał wszędzie swoje wizytówki?

— Oczywiście, że nie. Oświadczyła, że to bzdura, w którą sam nie wierzę.

— Zdaje się, że poprosimy starszą damę, żeby została naszym

ekspertem numer jeden — uśmiechnął się znowu Gorczyński. — Aha, panie prokuratorze, Zakład Medycyny Sądowej pyta, czy możemy wydać ciało Jagodzińskiemu.

— Niech wydadzą. Jagodzińskiego zostawimy, nie będziemy go niczym niepokoić. Na razie. Jakby się nic nie stało, jakbyśmy nie wiedzieli o śmierci Nawrockiej.

— Presja psychologiczna?

— Właśnie. On z całą pewnością przygotowany jest do odparcia ataku. To, że zupełnie nie będziemy interesować się jego osobą, uczuli go, przestraszy i będzie podejrzewać podstęp. A przygotował dla siebie dwie wersje alibi. Co za spryciarz! Zabezpieczył się na wszystkie strony. U Nawrockiej, na wszelki wypadek, gdybyśmy nie uwierzyli w nieszczęśliwą śmierć, zastawił pułapkę na jej przyjaciela. Bardzo dobrze to zaaranżował. Posiada również drugie alibi — Andrzej zdał relację Gorczyńskiemu ze swojej rozmowy z Kozłowskimi. — Dozorczynie na wszystkie świętości przysięgnie, że Jagodziński siedział kołkiem w domu, nie ruszał się nigdzie. Przyniosła mu kolację, leżał w łóżku, potem wieczorem, przed jedenastą w piżamie i szlafroku odniósł jej naczynia. Każdy sprytniejszy adwokat wybroni Jagodzińskiego. Cóż za marne poszlaki! Nie odnajdziemy zdjęcia, które zabrał Nawrockiej. Dawno je zniszczył. Jak udowodnić, że w ogóle był u Nawrockiej?

— Ogłosimy w prasie jego rysopis, na pewno go ktoś widział na ulicy, gdy szedł do Nawrockiej lub od niej wracał.

— I sami ostrzeżemy Jagodzińskiego, a przecież chodzi o to, aby go zdemaskować. Kim jest lub raczej kim był. Może nam umknąć.

— Jak?

— No cóż, jeżeli jest człowiekiem omotanym strachem, sędzę, że nie zawaha się targnąć na swoje życie. Ochronić się już w ten ostateczny sposób, jaki mu pozostanie.

— Wątpię — zanegował Gorczyński. — Zbyt mu zależy na życiu.

— Może... — z wahaniem odpowiedział Andrzej. — Jagodziński jest przebiegły. Opuścił swoje mieszkanie w porze, kiedy dziewięćdziesiąt dziewięć procent rodaków zasiada murem przed telewizorami, żeby oglądać bohaterskie wyczyny niezwykłego Klossa. Ja wyszedłem od Nawrockiej mniej więcej po ósmej piętnaście, może dwadzieścia, wracałem do domu piechotą. Gdy przyszedłem, Kloss już był w akcji, a moja babka miała wypieki na twarzy. Ulice jakby wymarłe, pusto, tylko nieliczni, spieszący się, pewno też na Klossa, przechodnie. A więc Jagodziński obrał dogodny moment na swój spacer. Z taksówki nie korzystał, obawiając się i słusznie, że kierowca może go zapamiętać. Nawrocka mieszkała nie tak znowu daleko od Wysokiej, to ta sama dzielnica, tyle że w rejonie nowego osiedla, gdzie parę lat temu ciągnęły się pola, a teraz zabudowano je wieżowcami. Rysopis? Jeżeli Jagodziński zadbał aż o tyle szczegółów, to myślę, że idąc do Nawrockiej, nieco zmienił swój wygląd?

— Jest wysoki i bardzo otyły. Łatwo go zapamiętać.

— To prawda, że nie przeistoczył się nagle w chuderławego karzełka. Ale na przykład założył okulary. Albo doprawił wąsy. Czy to taka sztuka doprawić wąsy? Założę się, że podczas rewizji w mieszkaniu Jagodzińskiego znajdziemy jakieś gadzety, dzięki którym



mógł zmienić wygląd.

— Może ... — Gorczyński nie był przekonany wywodami Andrzeja.

— Jagodziński, dowiadując się o adres Nawrockiej, z całą pewnością wypytał dokładnie, jak do niej trafić, podając się choćby za jej starego znajomego, który nie zna miasta. Wykluczał niespodzianki w rodzaju błędzenia. Miał ściśle wyliczony czas, w którym musiał się zmieścić. Natychmiast, po przyniesieniu jedzenia przez Kozłowską, wyszedł z domu.

— Ale Nawrocka mieszka na jedenastym piętrze. Skąd wziął klucz do windy? Zapukał na parterze do jakiegoś mieszkania i poprosił o otwarcie windy?

— Panie Kazimierzu, tym lepiej dla niego, że mieszkała tak wysoko. Czy koniecznie musiał korzystać z windy? Oczywiście, nie miał klucza od windy i wcale nie zamierzał się nim posługiwać. O wiele bezpieczniej przejść schodami, niż jechać windą. Na przykład, na górze ktoś by czekał na windę i Jagodziński nie uniknąłby wtedy spotkania. Schody zabezpieczały anonimowość, chociaż był to dla niego niemały wysiłek, pokonać tyle pięter. Ale mógł sobie odpoczywać, spokojny, że nikt go nie spostrzeże. Kozłowska ze swojej strony przysięgnie, że pan Jagodziński cały czas między ósmą a wpół do jedenastej spędził w domu, w łóżku.

— To dużo czasu: między ósmą a jedenastą. Prawie trzy godziny.

— Na te trzy godziny Jagodziński zdobył alibi u Kozłowskich. Niech mi pan wierzy, żadnych anonsów do prasy czy telewizji. Musimy Jagodzińskiego zaskoczyć, nie dać mu czasu, bo może nam uciec na zawsze. Musimy bez jego udziału odnaleźć tego człowieka,

który się ukrywa pod nazwiskiem Henryk Jagodziński. A teraz należy znaleźć przyjaciela Nawrockiej, zaplątanego w tę całą historię, aby dowieść jego niewinności, a przez to obalić jedno z dwóch alibi Jagodzińskiego.

Jedziemy natychmiast do szpitala, w którym Klementyna Nawrocka pracowała tyle lat. Czy kapitan Żabicki nie szukał mnie?

— Kapitan Żabicki chodzi swoimi drogami — odparł Gorczyński. — Pan zabił mu nie lada ćwieka.

Szuka teraz niebieskiego hillmana. I pewno prędko go odnajdzie wraz z właścicielem, ostatecznie nie tak wiele jeździ po mieście błękitnych hillmanów, to rzadki wóz.

— Gdyby dzwonił do mnie lub szukał mnie kapitan Żabicki — zwrócił się Andrzej do panny Zosi — jestem pod numerem trzysta osiem dziewięćdziesiąt siedem. Szpital Pasteura. Zapamięta pani?

Zosia obruszyła się.

— Czemu pan mnie nie lubi, panie prokuratorze?

— Ja panią proszę, żeby pani zapisała sobie numer telefonu do szpitala. Czy to ma jakikolwiek związek z lubieniem?

— Matko, ale piła — mruknęła cicho obrażona dziewczyna. — Tak jest, panie prokuratorze, zapamiętam i przekażę — powiedziała głośno.

— W porządku. Dziękuję. I na razie. A w ogóle panią lubię, tylko jest pani zbyt roztrzepana i za dużo pani myśli o miłości w godzinach służbowych. Lecz w pani wieku myśli się o miłości w każdej porze dnia i nocy.

— Niby z pana taki starzec z brodą?! — uśmiechnęła się Zosia.

Klementyna Nawrocka była ogólnie lubiana przez niemal wszystkich pracowników szpitala im. Ludwika Pasteura, począwszy od lekarzy, a skończywszy na salowych. Znali ją wiele lat. Lekarze cenili ją za obowiązkowość, wyjątkową solidność, wiedzę i doświadczenie. Często szybciej orientowała się w przypadku choroby od niejednego młodego lekarza.

— Miała talent i zamiłowanie do zawodu. Kiedyś namawialiśmy Klementynę, żeby dokończyła przerwane studia medyczne, lecz ona miała jakieś swoje, nieco dziwnie niezrozumiałe powody, dla których z uporem pozostawała pielęgniarką — powiedział ordynator chirurgii, docent Łowicki. — To w ogóle skomplikowana natura, złożona osobowość. Klementynę znałem ponad dwadzieścia lat.

Podziwiałem ją również jako wybitnie piękną kobietę, ale niewiele mogę powiedzieć o jej życiu osobistym. Była bardzo skryta i dumna. Proszę mnie źle nie zrozumieć, duma Klementyny nie miała w sobie nic z pychy. Była sucha, ale nie oschła i dumna, tylko skromna. Rzeczowa, ale z wielkim sercem, dawała tego po stokroć dowody. Ofiarna. W ciągu tego długiego okresu wspólnej pracy zdążyła się dać poznać jako dobry człowiek. Łączyła nas wielka przyjaźń, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Pacjenci, którzy zazwyczaj zaraz po wyleczeniu, po wypisaniu ze szpitala zapominają o wdzięczności, panią Nawrocką pamiętali długo, przysyłając jej serdeczne listy, często dotyczące ich osobistego życia. Umiała nawiązywać bliski kontakt z pacjentami. Pan nawet nie wie, jakie to ważne, jakie to czasem rozstrzygające przy ciężkiej chorobie, kiedy człowiek traci wiarę w sens życia.

Klementyna, cóż, trudno mi o niej mówić... Ale jeżeli chodzi o jej sprawy osobiste, intymne, gdyż to pana interesuje, nie mogę nic powiedzieć, bo nic nie wiem. Może siostra Justyna Lewandowska będzie mogła panów poinformować. Ale proszę nie spodziewać się rewelacji. Raczej zwykłych plotek. Oczywiście, nie wszyscy uwielbiali Klementynę. Trzeba ją było przedtem dobrze poznać.

Jednak nawet największy nieprzyjaciel musi przyznać, że była to kobieta o wielkim sercu. Gdzie jak gdzie, ale na terenie szpitala serce człowieka najłatwiej się sprawdza.

Siostra Justyna, starsza już, tęgawa kobieta o zaczerwienionej twarzy, nieśmiało weszła do gabinetu ordynatora. Łowicki był wymagający, traktował podległy mu personel surowo, nie tolerował braku dyscypliny i cieszył się dużym autorytetem.

— Jestem, panie docencie.

— Siostrzo Justyno, proszę odpowiedzieć na wszystkie bez wyjątku pytania pana prokuratora. Pani przecież była przywiązana do naszej Klementyny? — Siostra Justyna nie umiała zapanować nad łzami. — Zamiast płakać, proszę pomóc panom. Panowie wybaczą, ale muszę zajrzeć do chorego, którego dziś rano operowałem. Ciężki przypadek.

Gorczyński podsunął Justynie Lewandowskiej krzesło.

— Bardzo nam przykro, że musimy panią męczyć. I proszę nie przerażać się tym, że niektóre pani odpowiedzi będę zapisywał. Taka jest procedura. A nam zależy na znalezieniu zabójcy i wymierzeniu sprawiedliwości. To jest pan prokurator Dolecki, a ja jestem jego prawą ręką. I niechże pani już nie płacze.

— Postaram się, proszę pana — odpowiedziała kobieta, usiłując

uśmiechnąć się przez łzy. — Panowie jesteście bardzo uprzejmi i mili. Tylko że ja nie potrafię wam pomóc. Nic nie wiem.

Dlaczego, na litość boską, zabito Klementynę? Kto ją mógł do tego stopnia nienawidzić, być tak okrutnym, bezwzględnym?

— Pani pracując w szpitalu, zdążyła chyba poznać różne formy ludzkiego okrucieństwa — odparł Andrzej.

— To prawda — powiedziała. — Przedwczoraj umarł w nocy stary człowiek, chory na raka. Leżał u nas trzy miesiące, sam jak palec, nikt go z rodziny ani razu nie odwiedził, chociaż wysyłaliśmy zawiadomienia, a Klementyna chodziła do córek tego staruszka i zaklinała je, aby zdobyły się przynajmniej choć raz na ludzki odruch w stosunku do własnego ojca. A tak nie chciał umierać w szpitalu, samotnie.

— Pani od dawna przyjaźniła się z panią Nawrocką? — spytał Andrzej.

Lewandowska zmieszała się.

— Nie wiem, czy stosunek między nami można nazwać przyjaźnią, proszę pana — odpowiedziała z prostotą. — Klementyna nie należała do ludzi wylewnych, a ja, przeciwnie, opowiadam o sobie wszystko, co trzeba i nie trzeba. Ale z pewnością mnie lubiła.

— A pani?

— O, ja bardzo lubiłam Klementynę. Zaczęłam pracować w szpitalu jako niedouczona pielęgniarka.

Każdy mnie popychał, poganiał. Klementyna zaopiekowała się mną, nauczyła wielu rzeczy.

— Czy pani Nawrocka miała kochanków?

— O! — powiedziała tylko Justyna. — Proszę pana, jak pan może!

— Pani wie coś na ten temat?

— Nic nie wiem. To nieprawda. Dlaczego zaraz tak uwłaczająco? Bo była ładna, więc musiała prowadzić się niemoralnie?

— Proszę pani, nie miałem nic złego na myśli. Piękna kobieta nie może być samotna — powiedział poważnie Andrzej. — Po prostu mężczyźni na to nie pozwalają.

— A żeby pan wiedział, że nie pozwalają! Jednak Klementyna bardzo się ceniła. Próbowali tu do niej uderzać różni. Nawet proponowali małżeństwo. Zawsze odmawiała.

— To nie zmienia faktu, że miała od dawna stałego przyjaciela. Proszę powiedzieć prawdę, pani przecież nie umie kłamać, to widać — nalegał Andrzej.

— Tak. Miała — odpowiedziała cicho Lewandowska i jakby w poczuciu popełnionej niedyskrecji, opuściła głowę.

— Pani go znała?

— Nie.

— Klementyna Nawrocka opowiadała o nim?

— Nie. To znaczy mówiła, że kogoś ma. Parę razy wspominała tak trochę, mimochodem.

— Wie pani, jak się nazywa?

— Nie.

— Żadnych szczegółów?

— Na imię miał Fred. Tak przynajmniej nazywała go Klementyna. Ktoś na wysokim stanowisku.

Żonaty.

— Przychodził do pani Nawrockiej do szpitala?

— Nie.

— Nigdy go tu pani nie widziała.

— Nie. Nigdy. Raz czy dwa odwiózł ja do szpitala takim małym samochodem. Nie znam się na markach, więc nie wiem co to był za samochód. Kolor jedynie pamiętam, był jasnoniebieski.

— Wysiadał z wozu, żeby ją odprowadzić?

— Nie. Zaraz odjeżdżał.

— Często dzwonił do szpitala?

— Nie. Klementyna denerwowała się, jeżeli dzwonił.

Parę razy słyszałam, gdy mówiła: „Prosiłam cię tyle razy, Fred, abys nie dzwonił do pracy, nie przeszkadzał. To jest szpital, a nie dom schadzek...”.

— Pani Nawrocka nie mówiła pani o nim nic więcej?

— Nie.

— Brak zaufania?

— Dlaczego brak zaufania? Myślę, że Klementyna miała bardzo dużo zaufania do ludzi. Ale czy można wszystkim wszystko mówić?

— Jednak pani, z którą utrzymywała bliższy kontakt...

— Są sprawy, o których kobieta nie opowiedziałaby rodzonej matce. Nie chcę przez to sugerować, że to sprawy jakieś ciemne czy brudne, ale nie każdy lubi powierzać komuś swoje intymne sekrety.

Gdy się ma poczucie samotności...

— Pani Nawrocka je miała?

— Na pewno. Sądzi pan, że jej lekko było w życiu? Ona zresztą zrezygnowała ze swego życia osobistego. Nie wyszła za mąż. Kiedyś

zapytałam ją wprost: „Klementyno, jesteś taka piękna, mogłabyś wybierać, przebierać... Dlaczego nie chciałaś założyć rodziny?”. Odpowiedziała mi: „Wiesz, Justyno, to wcale niełatwe być ładną kobietą. Kobieta nie chce być kochana dla swojej urody. Pragnie od mężczyzny czegoś więcej. A ja nigdy tego nie otrzymałam. Więc wybrałam wolność. Zresztą, mam rodzinę. Moją rodziną jest moja praca, szpital, chorzy. Wolę ich interesowność, bo wypływa z cierpienia, z niepewności o życie, wolę ich, być z nimi”.

— Tak. Rozumiem. Od jak dawna Klementyna Nawrocka znała mężczyznę imieniem Fred?

— Mniej więcej od dwóch lat.

— Mówiła pani, w jakich okolicznościach go poznała.

— Nie. Powiedziała jedynie, że może wreszcie poznała człowieka, który potrafi być przyjacielem.

— Musiała się jednak zawieść. Nie został jej przyjacielem.

— Tak, proszę pana.

— Kochała go?

— Nie wiem, ale sądzę, że na początku tak. Chociaż za żadne skarby nie przyznałaby się do tego.

— Kobieta, która broniła się przed miłością — powiedział głośno Andrzej, ale raczej do siebie niż do Lewandowskiej. Przypomniał sobie Klementynę Nawrocką z jej gorzkim opanowaniem, bez cienia kokieterii. — Proszę pani, widzę jednak pewną małą nieściskość. Pani Nawrocka niezwykle staranie się ubierała, dbała o siebie, miała drogie, zagraniczne rzeczy. Ktoś jej musiał dawać na to pieniądze.

— Jak pan śmie! — uniosła się Lewandowska, a jej twarz jeszcze



bardziej poczerwieniała. — Nie ma pan prawa! A cóż złego, w tym, że ktoś dba o siebie?

— Chciała się więc podobać? Tymczasem pani utrzymuje, że...

— Pan jest młody i zupełnie nie zna się na psychice kobiet. — przerwała gwałtownie Lewandowska.

— Każda kobieta pragnie się podobać! Brzmi to na pozór nielogicznie, ale tak jest. Ja, gdybym nie była taka brzydka i nie wiedziała, że mi nic już nie pomoże, też dbałabym o siebie. A i tak chodzę co tydzień do fryzjera, szyję sobie nowe sukienki. A zresztą, w gruncie rzeczy Klementyna wcale tak znowu o siebie nie dbała, kosmetyczka nie była jej potrzebna, miała piękną cerę. Fryzjer zresztą też.

Pan widział, jakie ona miała włosy? Zagraniczne rzeczy! A skąd pan wie, że zagraniczne? Kto panu nagadał takich bzdur? Owszem, miała kilka ładnych rzeczy, umiała je nosić, na niej każda szmatka wyglądała efektownie.

Andrzej spojrzał wymownie na Gorczyńskiego.

— Klementyna nie miała żadnych zagranicznych rzeczy. Ach, przepraszam, miała taki szlafrok, kupiony w komisie. Niech pan przejrzy jej szafę, zobaczy pan, jak niewiele tam sukienek.

Przepraszam, jeśli się zbyt uniosłam. Klementyna nie może się bronić, nie żyje. Ktoś musi uczynić to za nią!

— Ale przyzna pani, że nosiła dość kosztowną bransoletę na rękę, wcale niepasującą do skromnej pielęgniarce — odezwał się po raz pierwszy Gorczyński. — Złota, wysadzana małymi szmaragdami?

— A czy pan zwrócił na przykład uwagę na to, że nie nosiła ani

jednego pierścionka? Kobiety, które kochają się w biżuterii, noszą jej zazwyczaj dużo. Klementyna nosiła tylko bransoletę. Bransoleta Klementyny — śmieszny zarzut! To jej pamiątka rodzinna. A wie pan co? — zwróciła się do Gorczyńskiego. — Owe szmaragdy są falsyfikatami. Prawdziwe Klementyna dawno wydłubała i sprzedała.

— Dlaczego?

— Ona pomagała finansowo swojej siostrze. Wysyłała jej co miesiąc pięćset złotych. Poza tym, nie wiem dokładnie, lecz mogę się domyślić, że pomagała niektórym pacjentom po wyjściu ze szpitala.

Ludziom starym. Była uczulona na niedołęzną, bezradną starość.

— Czy ona mówiła pani, że pomaga?

— Ależ skąd! Jednak nie wszystko można ukryć. Ludzie potrafią być wdzięczni, opowiadają, piszą listy, przychodzą. Klementyna zawsze się wypierała, obracała wszystko w żart, gniewała się nawet...

— Kiedy zerwała ze swoim przyjacielem? — Andrzej powrócił do przerwane go tematu. — Zerwała z nim, czy tak?

— Tak.

— Powiedziała pani, dlaczego?

— Nie.

— Skąd pani wie, że zerwała?

— Miałyśmy często wspólne dyżury. Ostatnio ciągle do niej wydzwaniał. Prosiła go, żeby przestał do niej telefonować. I że bardzo go prosi o dotrzymanie umowy.

— Jakiej umowy?

— Nie wiem. Parę razy powiedziała: „Dajmy temu wszystkiemu spokój, Fred. Odeślij mi to, co nie jest twoje”. Potem gdy dzwonił,

odkładała słuchawkę.

— Nie próbował widzieć się z nią osobiście?

— Chyba nie. Po dyżurze wychodziłyśmy zawsze razem. Nikt nigdy na nią nie czekał. Ponieważ nie mam własnej rodziny, bardzo często z tych wspólnych dyżurów szłam na herbatę do Klementyny.

Czasami nawet u niej nocowałam.

— Dziękuję sestro — powiedział Andrzej. — I proszę mi wierzyć, że w swoich pytaniach nie zamierzałem bynajmniej w niczym urazić godności nieżyjącej pani Nawrockiej... Chwileczkę, jeszcze to pytanie prywatne, na które pani nie musi odpowiedzieć. Otóż czy pani wie, co się działo z panią Nawrocką w czasie wojny?

— Wiem — odparła Lewandowska.

— Od niej?

— Nie. Mieliśmy tu kilka lat temu pewnego pacjenta. Poznał Klementynę natychmiast, mimo że nie widział jej od czterdziestego czwartego roku. Od niego wiem. I powiem panu tylko tyle, że to naprawdę dzielna kobieta.

Justyna Lewandowska ukloniła się i wyszła.

Sprawdzenie, czy poprzedniego dnia przed godziną szesnastą dzwonił do szpitala jakiś mężczyzna, prosząc o podanie adresu Klementyny Nawrockiej, nie zajęło Andrzejowi wiele czasu. Jego hipoteza okazała się słuszna. Mężczyzna ten oświadczył, że pragnie spotkać się z panią Nawrocką, że jest tylko przejazdem. Dopytywał się, czy nie ma dyżuru i jak najprościej trafić do jej domu. Portier rzetelnie go poinformował, poradził nawet półzartem, żeby zaopatrzył się w klucz od windy, ponieważ pani Nawrocka mieszka pod samym

niebem — na ostatnim, jedenastym piętrze wieżowca.

Przynagleni alarmującym telefonem Zosi, że kapitan Żabicki czeka od półgodziny i ma tego człowieka, którego szukali, pojechali czym prędzej do prokuratury. Żabicki czekał wraz z dobrze ubranym mężczyzną lat około pięćdziesięciu, lekko szpakowatym, przystojnym. Mężczyzna był wystraszony, dygotał jak w febrze.

— Przedstawiam panu prokuratorowi właściciela niezidentyfikowanych odcisków palców — powiedział z triumfem w głosie kapitan — oraz właściciela niebieskiego hillmana, dyrektora Zjednoczenia Handlowego Textilimport i znajomego Klementyny Nawrockiej, pana Ferdynanda Bronowicza.

— Ja tego nie zrobiłem — powiedział mężczyzna i ukrył twarz w dłoniach. — Nie zrobiłem. Nie zrobiłem.

— Pan kapitan będzie przesłuchiwał? — zapytał Andrzej.

— Mogłem to już zrobić wcześniej — odparł Żabicki. — Uważam jednak, że ta przyjemność należy się panu.

— Dziękuję — uśmiechnął się Andrzej. Zwracając się do wystraszonego mężczyzny, powiedział sucho. — Proszę o pańskie personalia. Imię, nazwisko, data urodzenia i tak dalej. Słucham.

— Ferdynand Bronowicz, urodzony dwudziestego trzeciego lutego tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku w Jedlicy. Magister ekonomii. Od dziesięciu lat dyrektor Zjednoczenia Handlowego, mającego duże zasługi w dziedzinie eksportu...

— To mnie nie interesuje — przerwał Andrzej. — Pańskie zasługi również. Jest pan żonaty?

— Tak. Ale moja żona...

— Proszę odpowiadać ściśle na pytania. Nie pytam o pańską żonę. Nawet domyślałam się, co mi pan o niej za chwilę powie... Więc żonaty?

— Tak.

— Ile lat?

— Byłem bardzo młody, kiedy się zdecydowałem na to małżeństwo, chociaż moja żona...

— Pytam pana, ile lat jest pan żonaty?

— Dwadzieścia pięć.

— Ma pan dzieci?

— Tak, ale moje dzieci już są dorosłymi ludźmi...

— Powtarzam jeszcze raz — powiedział z wyraźną niechęcią Andrzej — żeby zechciał pan ściśle odpowiadać na moje pytania, nic więcej. Ile pan ma dzieci?

— Czworko.

— W jakim wieku?

— Syn ma dwadzieścia trzy. Drugi syn — osiemnaście, trzeci — szesnaście, córka — dwanaście.

— I uważa pan dwunastoletnią córkę za dorosłego człowieka? — zauważył ironicznie Andrzej. — Kiedy pan poznał panią Nawrocką?

— Dwa lata temu, podczas urlopu nad morzem. Ale to żadna poważna znajomość. Zwykły flirt, jakie się od czasu do czasu zdarzają w moim wieku.

— Jednak był pan dzisiejszej nocy w mieszkaniu Klementyny Nawrockiej. Dlaczego w takim razie udał się pan do kobiety, która dla pana tak niewiele znaczyła? Po nocy jak złodziej?

— Ja tego nie zrobiłem! — wykrzyknął Bronowicz.

— Zaraz ustalimy, co pan zrobił, a czego nie! Twierdzi pan nadal, że z Klementyną Nawrocką łączył pana stosunek tylko przelotny? Taki męski flircik na boku?

— Pan to wulgaryzuje.

— Nie. To pan wulgaryzuje.

— Ja mam żonę, dzieci, stanowisko, jestem cenionym fachowcem...

— Nie wątpię. Absolutnie nie kwestionuję pańskich fachowych umiejętności, jednak o swojej żonie wyraził się pan również niepochwlebnie.

— Ależ to jakieś przejęzyczenie...

— Panie Kazimierzu, proszę odczytać słowa podejrzanego.

— Więc jestem podejrzany? Ja tego nie zrobiłem!

— Panie Kazimierzu, proszę...

— „...Byłem bardzo młody, gdy zdecydowałem się na to małżeństwo, chociaż moja żona...”.

— Proszę, teraz pan może dokończyć rozpoczętą kwestię. Chociaż pańska żona...? Co pan miał na myśli? Nie odpowiadała panu intelektualnie? Nie stanowiła odpowiedniej partnerki? No, proszę, słucham?

— Nic takiego nie miałem na myśli! Chciałem zaznaczyć, że byłem człowiekiem bardzo młodym i wtedy łatwo o... jakby się tu wyrazić... o wpadkę.

— Dziękuję. Tę kwestię uważam za wyczerpaną. Pańska żona pracuje?

— Nie. Zarabiam wystarczająco dużo. Poza tym ona nie posiada

odpowiedniego wykształcenia.

— Ach, nie posiada odpowiedniego wykształcenia. Więc nie pracuje, zajmuje się domem, wychowaniem dzieci, tak?

— Tak.

— Nigdy nie pracowała?

— Nie.

— Urlopy spędza pan bez żony?

— Mam prawo spędzać urlopy, jak mi się podoba.

— Oczywiście. Niech pan jednak zmieni ton i nie zapomina, że nie jest pan u siebie, w swoim gabinecie. Poza tym nie rozmawia pan ze swoimi podwładnymi, lecz jest doprowadzony w charakterze podejrzanego. Wracamy do sprawy. Ile razy w ciągu dwóch lat od momentu poznania widział się pan z Klementyną Nawrocką?

— Nie wiem. Kilka razy. Czasem spotykałem ją przypadkowo gdzieś na mieście, nie wypadało się tak mijać, jestem dobrze wychowanym człowiekiem, więc zapraszałem ją przy okazji na kawę.

Andrzej z trudnością hamował gniew. Co za nędzny tchórz! W jaki sposób Klementyna Nawrocka mogła uwierzyć, że ten człowiek zasługuje na miano prawdziwego przyjaciela? Przyjrzał mu się uważnie. Galant. Tak. Umiejący prawić gładkie słówka. Coś tam o swojej samotności, potrzebie zaufania, życzliwości i tak dalej. Trzeba zapytać się pani Elizy Hoffmann, jak to możliwe, żeby Klementyna Nawrocka zaufała podobnemu człowiekowi?

— Zapraszał ją pan przy okazji na kawę. Bardzo ładnie. Do jakiej kawiarni?

— Już nie pamiętam.

— Może jednak pan sobie przypomni?

— Jeśli była ładna pogoda, jeździliśmy Pod Dzika.

— Pod Dzika? Gdzie to jest? Nie słyszałem o takiej kawiarni.

— To dziesięć kilometrów za miastem, nad stawami w lesie — wyjaśnił kapitan Żabicki.

— Rozumiem. Dbał pan o zachowanie anonimowości. Towarzystwo pięknej kobiety rzuca się w oczy. Dlaczego pan tak bezczelnie kłamie? — rozzłościł się Andrzej. — Mamy świadków na to, że spotykał się pan z Klementyną Nawrocką dwa lub trzy razy w tygodniu w jej mieszkaniu, a ostatnio gdy z panem definitywnie zerwała, dzwonił pan ciągle do szpitala. Jak to pan wytłumaczy?

— O Boże! — westchnął Bronowicz. — Moja żona jest ciężko chora na serce. Gdyby się o tym dowiedziała...

— Szkoda, że tak późno pan sobie przypomniał o chorobie swojej żony. Był pan kochankiem pani Klementyny Nawrockiej?

— Raczej przyjacielem.

— Przyjaciel to zbyt ważne słowo i nie dorósł pan do tego, by siebie nim nazywać — powiedział Andrzej. — Obiecywał pan Nawrockiej małżeństwo?

— Ależ nie! — zaprotestował Bronowicz i tym razem Andrzej uwierzył, że mówi prawdę. — Ona zresztą nigdy by się na to nie zgodziła.

— Jednak musiała być między wami rozmowa na ten temat.

— To Klementyna...

— Co Klementyna...

— Powiedziała, abym nie używał wielkich słów.



— Pan ich, zdaje się, nadużywał i dlatego z panem zerwała.

— Nie rozumiała mnie zupełnie — wyjaśnił Bronowicz.

— Proszę to sprecyzować ściślej, na czym polegał ten brak zrozumienia?

— Jestem człowiekiem bardzo uczuciowym, a Klementyna... Czy naprawdę muszę? To są w końcu moje prywatne sprawy.

— W tej chwili nie posiada pan żadnych prywatnych spraw. Widzę, że nie nosi pan obrączki.

Dlaczego?

— Czy to takie istotne nosić obrączkę?

— Nie. Na urloпах uchodzi pan za wdowca albo rozwodnika, czy tak?

— To moja sprawa.

— Pani Nawrockiej powiedział pan, że jest wdowcem. Szybko pan zaczął mówić o uczuciu. Może nawet umie pan mówić przekonująco. Pani Nawrocka uwierzyła w pańskie gładkie słówka?

— Właściwie jestem jakby rozwiedziony, nie żyję od wielu lat ze swoją żoną. Stwarzam pozory małżeństwa ze względu na dobro dzieci.

— Ach tak, interesujące, rzeczywiście. Lubi pan stwarzać pozory i zawsze znajdzie pan wyższe względy na swoje usprawiedliwienie.

— Nie przypuszczałem, że to będzie aż tak poważne. Pomyślałem, zwykła przygoda, rozjedziemy się każde w swoją stronę. Ale ja ją pokochałem.

— Coraz bardziej interesujące. I po powrocie z urlopu nie chciał pan zrezygnować ze swojego uczucia?

— Nie mogłem. Absolutnie nie mogłem.

— I pragnął pan nadal ukryć przed panią Nawrocką swój stan cywilny, zabrakło panu odwagi, żeby powiedzieć prawdę. Oczywiście zamierzał pan oszczędzić pani Nawrockiej upokorzenia, bo pan przecież jest bardzo uczuciowy oraz nadzwyczajnie wrażliwy. Ale pani Nawrocka zmusiła pana do wyjaśnienia tej sprawy, tak?

— Tak. Przyznałem się wtedy, że jestem żonaty i że nie mogę zostawić swojej żony, ponieważ jest ciężko chora na serce.

— A pani Nawrocka jak zareagowała?

— Powiedziała mi... powiedziała... że w porządku, że przyjmuje to do wiadomości, że... ona nigdy nie miała zamiaru się ze mną wiązać.

— I dała panu klucze do swojego mieszkania?

— Nie. Nie chciała się ze mną w ogóle widywać. Dopiero potem uległa. Nawet mnie obraziła.

Powiedziała: „Wszystko jedno, ty czy inny. Ktoś musi być. Co za różnica”.

— Ale pan korzystał z kluczy, chociaż pana obraziła?

— Kochałem ją.

— Tak. Nawet w to wierzę. Niewiele warta jest jednak pańska miłość. I pani Nawrocka zerwała z panem ponownie, już definitywnie, trzy tygodnie temu, zażądała zwrotu kluczy, a pan nie chciał jej oddać kluczy. Zaczął jej pan znowu obiecywać różne rzeczy, mówić o swoim uczuciu, że pan bez niej żyć nie może, lecz jednocześnie pragnął pan zachować swoją pozycję towarzyską, nieskazitelną opinię, rodzinę i nie stracić kobiety, którą pan kochał po swojemu. A ona miała dość potajemnych spotkań, godziła się na nie, ponieważ

widocznie również pana kochała. Kobiety silne często obdarzają uczuciem mężczyzn słabych i bez charakteru, ale jak długo miała jeszcze znosić taką sytuację?

— Pan mnie obraża!

— Dlaczego przyszedł pan dzisiejszej nocy do mieszkania Klementyny? Oddać jej klucze?

— Zamierzałem ją ubłagać, prosić, żebyśmy jeszcze raz spróbowali... Nie chciała nawet ze mną rozmawiać telefonicznie, odkładała słuchawkę, gdy dzwoniłem do niej do szpitala. Wczoraj miałem konferencję na Wybrzeżu, wysłałem do niej telegram, że po przyjeździe zaraz do niej przyjadę.

— Pamięta pan treść depeszy?

— Mniej więcej: „Będę u ciebie dziś około dwudziestej trzeciej, zgodzę się na każdy warunek”.

— Był pan jednak dużo później.

— Pękł mi pasek klinowy w samochodzie. Kiepski ze mnie mechanik. Męczyłem się długo, nim założyłem nowy.

— Proszę dalej.

— Przyjechałem około wpół do pierwszej w nocy. Miałem klucze, otworzyłem drzwi. Poczułem gaz.

Przeraziłem się. Pomyślałem, że Klementyna popełniła samobójstwo.

— Z nieszczęśliwej miłości do pana? — Andrzej nie mógł powstrzymać się od uszczyplivej uwagi.

— Pan nic nie wie o ludzkich uczuciach. Wpadłem do pokoju, gaz straszliwie dusił, przyłożyłem chusteczkę do nosa. Ona już nie żyła.

— Skąd pan wiedział? Jest pan lekarzem czy ekonomistą?

— Była zupełnie ścina. Dotknąłem jej i poczułem, że była sztywna, martwa.

— Zadrżał pan o własną skórę. Przestraszył się pan skandalu. Do tego stopnia, że nie starał się pan ratować kochanej kobiety. Nie zrobił pan nic. Uciekł pan stamtąd, zapominając nawet o wysłanej depeszy. Zamknął pan drzwi na klucz. Jeżeli popełniła samobójstwo, po cóż się narażać, jej nic to nie pomoże, a pan wpakuje się w aferę i kompromitujący skandal. Zgon Klementyny Nawrockiej nastąpił między godziną wpół do dziesiątej a dziesiątą. Ona rzeczywiście dawno nie żyła. Ale pan o tym nie wiedział. Pan się tylko przestraszył. Dziękuję panu. Jest pan wolny.

— Ja...

— Proszę wyjść — powiedział Andrzej.

— Czy ktokolwiek się dowie? Bo moja żona... dzieci...

— Proszę wyjść! Natychmiast.

Ferdynand Bronowicz wycofał się w popłochu. Andrzej wstał, na całą szerokość otworzył okno, głęboko wdychał powietrze. Panowało milczenie, milczał przybity Gorczyński, a kapitan Żabicki, chociaż Andrzej bez konsultacji z nim, wyrzucił Bronowicza za drzwi, nie sprzeciwił się ani jednym słowem czy gestem.

— Łajdak — odezwał się cicho Gorczyński.

— Nie, tylko człowiek dbający o tak zwane pozory — powiedział Andrzej w zamyśleniu, wracając na swoje miejsce za biurkiem. — Przepraszam, kapitanie, że go tak bez pardonu wyrzuciłem, ale on nie zabił.

— Oczywiście, nie zabił. Jednak uważam, że Ferdynanda Bronowicza należy pociągnąć do odpowiedzialności. Kto bowiem nie udziela pomocy...

— Zostawmy go — powiedział zmęczonym głosem Andrzej. — Zostawmy tego człowieka w spokoju. Nie ze względu na niego, ale na jego żonę. Zresztą, zrobi pan, jak zechce, panie kapitanie.

Decyzja należy do pana. Ja jednak wyobrażam sobie życie tej niekochanej kobiety przy boku takiego mężczyzny. Dwadzieścia pięć lat małżeństwa, czworo dzieci, zawsze upokorzona swoją materialną zależnością, może kiedyś pełna nadziei na szczęście, później coraz bardziej zahukana, przytłoczona ciężką pracą domową, podczas gdy jej mąż coraz bardziej młodzieńczy, witalny, ważny, wielki. Ech, zupełnie mnie nie interesuje postać tego pana. Wróćmy do Jagodzińskiego. Znalazł w torebce Klementyny depeszę. Treść brzmiała dwuznacznie: „Będę u ciebie dziś około dwudziestej trzeciej, zgodzę się na każdy twój warunek, Fred”. Cudowna okoliczność. Dlatego nie uprzątnął szklanek.

Klementynę odwiedzi jeszcze dziś mężczyzna. Musi to być pilne, jeżeli sygnalizuje swój przyjazd depeszą. „Zgodzę się na każdy twój warunek”. Bliska znajomość, może jakiś szantaż ze strony Klementyny? Tak pewno rozumował Jagodziński. W torebce znalazł tylko jedną parę kluczy.

Oczywiście nie posiadał pewności, że nadawca depeszy jest w posiadaniu drugiej pary kluczy, ale wziął pod uwagę taką ewentualność, zaryzykował. I trafił w dziesiątkę.

— Kiedy go aresztujemy? — zapytał Żabicki.

— Najważniejsza teraz dla nas sprawa to zbadać i poznać przeszłość Jagodzińskiego. Wtedy będziemy mieli motyw wspólny dla obydwu zabójstw. Potrzebne mi będą szybko personalia Jagodzińskiego. Ponieważ nie poddawałem go oficjalnym przesłuchaniom, więc ich nie mam — powiedział Andrzej.

— Ale my już mamy. Dowód osobisty został wystawiony na podstawie parafialnej metryki urodzenia w Bolesławicach. Zaraz panu podam dokładnie — Żabicki wyciągnął notes i odczytał: — Henryk Jagodziński, urodzony w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym we wsi Kozienice Czarne, powiat Bolesławice. Syn Feliksa i Franciszki. Wieś Kozienice Czarne została w czterdziestym czwartym roku spacyfikowana przez Niemców za udzielanie pomocy partyzantom. Rozstrzelano sześćdziesiąt dwie osoby, mężczyzn i kobiet. Wieś puszczono z dymem. Wśród rozstrzelanych znaleźli się również Feliks i Franciszka Jagodzińscy, Henryk, ich syn, był jedynakiem.

— Muszę tam pojechać — poderwał się Andrzej.

— Panie prokuratorze, chyba już nie dzisiaj, zaraz wieczór — zaproponował Gorczyński.

— Rzeczywiście, wieczór — stwierdził ze zdumieniem Andrzej. — Jak ten czas szybko leci. A tyle jeszcze przed nami. Panie Kazimierzu, czy ustalił pan, na jakiej podstawie orzeczono inwalidztwo Jagodzińskiego?

— Nie zdążyłem, panie prokuratorze.

— Niech pan jutro z samego rana jedzie do Kozienic — zaproponował kapitan Żabicki — a my tutaj przez ten czas rozwiniemy na Wysokiej ożywioną działalność. Wyślę ludzi,

przepytamy mieszkańców na Wysokiej i z wieżowca, czy ktoś nie widział w godzinach wieczornych Jagodzińskiego.

Sprawdzimy, na jakiej podstawie otrzymał rentę inwalidzką.

— Na Wysoką niech pan lepiej nikogo nie wysyła, ludzie zaczną gadać i Jagodziński się wystraszy.

— Dobrze, panie prokuratorze. Wysoką na razie wyłączymy. Ale przydzielimy Jagodzińskiemu anioła stróża, będzie go pilnował. A może pan chciałby pojechać ze mną do Kozienic?

— Dziękuję. Pojadę z Gorczyńskim.

— Zosia Samosia — uśmiechnął się kapitan. — No, dobrze, i tak mam dość roboty na miejscu. Niech pan teraz idzie do domu wyspać się. Wygląda pan jak śmierć na chorągwi. No, już, już, panie Andrzeju — po raz pierwszy Żabicki zwrócił się do Andrzeja po imieniu. Było to, jeżeli nie wyrazem sympatii, to z pewnością uznania.

## Rozdział 19.

Andrzej zamówił budzenie przez telefon, ale niepotrzebnie, bo tej nocy nie zmrużył oka. Pani Radecka jeszcze spała, kiedy o godzinie piątej rano wychodził z domu. Wóz już czekał, kierowca ziewał, a Gorczyński był nieogolony.

— Żona mnie nie zbudziła i zasnęłam — powiedział. — A pan chyba wcale nie spał, panie Andrzeju.

Muszę pana wziąć pod swoją opiekę.

— Nie mogłem spać. Myślałem.

— Myślałem, myślałem — dobrotliwie przedrzeźniał Gorczyński. — Wymyśli pan wszystko i głowa zostanie panu pusta do końca życia.

Padał deszcz, ruch na szosie był duży. Dzień targowy, mnóstwo furmanek, rowerzystów, należało jechać ze zdwojoną ostrożnością. Kierowca klął co chwila, trąbił na głuchych woźniców, kilka razy cudem uniknął zderzenia. Po dwu i pół godzinie jazdy znaleźli się w Bolesławicach, niewielkiej osadzie, ładnie położonej wśród lasów. W kościelnych archiwach Andrzej szybko potwierdził dane Henryka Jagodzińskiego, zapisał nazwiska chrzestnych, chociaż było rzeczą wątpliwą, aby jeszcze żyli. Jeżeli nie zginęli podczas pacyfikacji Kozienic, z pewnością umarli po prostu ze starości. Coraz bardziej niezadowolony, że traci tyle czasu na podróż, która nie przyniesie pożądaných rezultatów, poganiając Gorczyńskiego, który chciał jeszcze pogrzebać w miejskich archiwach urzędu stanu cywilnego, pojechał do Kozienic, oddalonych od Bolesławic o osiem kilometrów



drogi przez las, zwykłej leśnej drogi, z pewnością nieprzejezdnej wiosną czy jesienią. Wieś leżała na wielkiej polanie, otoczona ze wszystkich stron lasami. Nic dziwnego, że podczas wojny partyzanci mieli tu dogodny punkt kontaktowy, możliwość zaopatrzenia się w żywność. Wielki kompleks lasów zapewniał im swobodne poruszanie się po okolicy. Wieś dzięki swojemu położeniu — odcięta od świata, z jednym tylko piaszczystym duktem — mogła długi czas pomagać partyzantom, bez obaw o represje. Duża wieś, trzydzieści kilka gospodarstw rozrzuconych w promieniu dwóch, trzech kilometrów. Ostatnie zabudowania sięgały lasu. Ziemia nieurodzajna, nadająca się tylko pod kartofle i żyto. Piachy. Ludziom nielekkko tu się żyło.

Zaraz na granicy lasu — nietknięte ludzką ręką, jedynie wygładzone przez czas, sterczały rozsypujące się fundamenty wypalonych zabudowań. Trawa i zielska zarastały poczerniałą od ognia cegłę.

Widocznie był to murowany dom. Obok znajdował się zdziczały ogród i kopiec pokryty darniłą, bez kwiatów, bez wieńców. Nad kopcem wyrzeźbiony stał bolejący świętek i krzyż związany z surowego, czarnego już drzewa. Poza tym była też tablica zawierająca sześćdziesiąt dwa nazwiska oraz data 15 czerwca 1944 roku. Było to świadectwo zbrodni i kaźni sześćdziesięciu dwu osób.

Wstrząsające w swej prostocie, ale też bardziej wymowne niż najwspanialsze marmurowe pomniki.

Andrzej z Gorczyńskim wysiedli z samochodu i długo stali przed zbiorową mogiłą. Tablica z poczerniałego drzewa, w drzewie wycięty rząd nazwisk. U dołu zamiast: „Proszę o wieczne spoczywanie”,

napisano: „Proszą o pamięć. I będą ją mieli”.

Zostawili samochód na skraju lasu. Deszcz już nie padał, wypogodziło się, powietrze pachniało świerkami i żywicą. Kozienice Czarne, tak bardzo oddalone od świata, izolowane wielokilometrowym obszarem lasów, stanowiły enklawę i każde pojawienie się obcego musiało siłą rzeczy wywołać sensację. Andrzej nie napotkał żadnych trudności w nawiązaniu kontaktów z ludźmi.

Nie minęło dziesięć minut od ich przybycia, jak mała, lecz czysta, umeblowana chłopskimi sprzętami własnej roboty izba sołtysowego domu nie mogła pomieścić chętnych, a przede wszystkim ciekawych. Sołtys, siedemdziesięcioletni, krzepki w barach, ogorzały, z sumiastymi wąsami chłop zawołał zaraz swoją żonę, która postawiła przed gośćmi dzban zimnego zsiadłego mleka, prosto z piwnicy. Cóż za mleko! Można je było krajać nożem!

Historia Kozienic Czarnych zrelacjonowana przez sołtysa, naocznego świadka wydarzeń, przedstawiała się następująco. Przez całą wojnę Niemcy byli wobec nich bezsilni, chociaż wielokrotnie urządzali obławy i przeczesywali lasy. Bez powodzenia. Sami ponosili znaczne straty.

Dopiero w czterdziestym czwartym wzięli odwet na cywilnej ludności Kozienic. O świcie wieś otoczono, wszystkie domy podpalone, co drugi dorosły człowiek został rozstrzelany, a trzydzieści osób, głównie młodzież, załadowano na ciężarówki i wywieziono do wojewódzkiego miasta. Z trzydziestoosobowej grupy po wojnie wróciło tylko dwoje.

Przywiezieni do więzienia, poddawani byli długotrwałym

przesłuchaniom i torturom, Niemcy chcieli bowiem wydobyć z nich informacje o oddziałach partyzanckich. Po wojnie, pozostała przy życiu reszta mieszkańców Kozienic, z zaciętością graniczącą z rozpaczą, postanowiła nie opuszczać tego skrawka ziemi. Odbudowano wieś, zostawiając jedynie ów pomnik na skraju lasu. Ciężko tu się żyje, bo daleko do miasta, ale dwa lata temu doprowadzono elektryczność. Jednak młodzież stąd ucieka.

Problem wsi współczesnej, nie tylko kozienickiej.

— Pamiętacie Jagodzińskich? Franciszkę i Feliksa? — zapytał Andrzej.

Pamiętali. Ich dom był przedostatni, chłopak schował się w stodole w sianie, ale wyskoczył, kiedy zaczęło się palić. Starych rozstrzelano, a chłopaka wywieziono, miał dwadzieścia lat. Dzielny chłopak, był łącznikiem w oddziale. Nikogo nie wydał. Zresztą nikt nikogo, mimo tortur, nie wydał.

Niemcy dalej błądzili po omacku, starając się dotrzeć do ognisk partyzanckich.

— Jak wyglądał Henryk? Może ktoś ma jego fotografię?

Fotografii nikt nie miał. Wszystko zostało puszczone z dymem.

— Jak wyglądał? Był chudy, taki mizerak, jasny blondyn po ojcu i do ojca w ogóle podobny.

Wykapany ojciec — powiedział sołtys.

— Wysoki? Barczysty? Dobrze zbudowany?

— Przecież mówię, mizerak tak jak ojciec, jak stary Feliks. A Feliks był przez całe życie chudy, tyle że żyłasty jak każdy chłop, panie. No i silny. Ale niziutki. Mnie tam sięgał do pół głowy, z góry na niego

patrzałem — wyjaśniał sołtys.

— Nigdy nie szukaliście tych, co nie wrócili?

— Szukaliśmy. Ale ich wykończyli na jesieni czterdziestego czwartego. Pan się domyśla przecież, że nie tylko nas interesował ich los. Partyzanci mieli swoich ludzi, cała operacyjną siatkę wywiadowczą. Od czerwca do listopada z trzydziestu wziętych wyżyło tylko pięciu, a po wojnie wróciło dwóch. A panowie kogo szukacie?

Co mu powiedzieć? Wykręcił się jakąś mało znaczącą odpowiedzią, podziękował za zsiadłe mleko i za gościnność.

Milcząc wrócił z Gorczyńskim do samochodu. W połowie drogi Andrzej nagle i niespodziewanie kazał kierowcy zmienić kierunek jazdy.

— Jedziemy do Warszawy! — rzucił. — Ale szybko. Ile tylko pan wyciśnie!

— Matko święta! Co panu, prokuratorze! Pan zbladł! — zaniepokoił się nie na żarty Gorczyński.

— Szybko, szybko!

— Dlaczego do Warszawy? Już prędzej do województwa, tam trzeba poszukać. Co pana napadło?

— Pan nie rozumie? — krzyknął Andrzej tak głośno, że kierowca drgnął zaskoczony i samochód lekko zarzucił na prostej. — Panie Kazimierzu, na litość boską, pan nic nie rozumie?!

— Jak mi pan w ten sposób będzie tłumaczył, do końca życia nie zrozumiem. O co panu chodzi?

— O której godzinie Maria Jagodzińska zginęła?

— Ustalono dokładnie, o godzinie wpół do dziewiątej — odparł Gorczyński.

Andrzej był tak zdenerwowany, że nie mógł zapanować nad drżeniem głosu.

— O wpół do dziewiątej. Co robił w tym czasie Henryk Jagodziński?

— Panie Andrzeju, przecież nie jestem duchem wszytkowiedzącym ani jasnowidzem.

— Niech pan się zastanowi! — krzyknął ponownie Andrzej. — Co w ogóle robił Jagodziński całymi dniami? Jagodzińska wychodziła do pracy, potem robiła zakupy, wracała o trzeciej, gotowała obiad.

Czym zajmował się człowiek, który od lat nie wychodził z domu? Czytał? Spał? Jadł? Układał krzyżówki? Pisał powieści?

— Och, na pewno dużo, dużo jadł, sądząc po jego tuszy.

— Książek w mieszkaniu Jagodzińskich nie ma, nie widziałem nawet podręcznej biblioteczki.

Natomiast telewizor, telewizja! On namiętnie oglądał telewizję. To było jego jedyne okno na świat.

Sądzi pan, że Maria Jagodzińska miała czas na oglądanie telewizji? Telewizor był dla Jagodzińskiego. Przysunięty blisko telewizora fotel, fotel Henryka Jagodzińskiego. Siedział w nim i oglądał program bez przerwy. Więc, co robił krytycznego popołudnia Henryk Jagodziński?

— Dobrze, już dobrze. Oglądał program telewizyjny. Dlatego pan gna nas do Warszawy?

— Właśnie dlatego! Pan wciąż nie rozumie? Dlaczego Henryk Jagodziński zabił swoją żonę? No, niechże pan pomyśli! Panie

Kazimierzu, oto jest człowiek, który od wielu lat ukrywa swoją prawdziwą twarz i wszystko, co się za tą twarzą kryje — swoją przeszłość. Oto ktoś, kogo przeszłość okupacyjna jest tak straszna, że woli skazać się na izolację, wyłączenie z życia, niż zostać rozpoznanym. Udaje mu się ta sztuka przez dwadzieścia lat. Ale czy znaczy to, że zanika strach? Że on przestaje się bać? Z biegiem czasu reakcje mogą się potęgować, napięcie wzrasta, czuje się osaczony przez własny strach. Lęka się już wszystkiego do tego stopnia, że przestaje wychodzić w ogóle z domu. Jedynym człowiekiem, który go osłania i stanowi dla niego parawan bezpieczeństwa, jak pan sam powiedział, jest jego żona. Po jakiego diabła miałby ją zabijać?

— O Boże, nagle pan doszedł do wniosku, że to był jednak wypadek?

— Jaki wypadek?! — wykrzyknął Andrzej. — Skądże, człowieku? Ale mam motyw tego morderstwa, mam motyw! Eliza Hoffmann sądziła, że motyw leżał w jakimś przypadkowym działaniu Marii Jagodzińskiej, które wystraszyło śmiertelnie Jagodzińskiego, ponieważ sądził, że żona go zdemaskowała. Eliza Hoffmann miała rację, lecz nie całkowicie. Powiedziała, że należałoby odtworzyć dokładnie czynności Marii Jagodzińskiej. A ja odwróciłem jej rozumowanie, a jeżeli motyw zbrodni zawiera się w czynnościach Henryka Jagodzińskiego? Co on robił tego dnia? Jadł, pił, spał? Co jeszcze? Musiało się stać coś szczególnego, co niespodziewanie, gwałtownie wyzwoliło jego strach. Co robił tego popołudnia Jagodziński? Odpowiedź brzmi, że jak zwykle, każdego dnia oglądał program telewizyjny. Więc stawiam pytanie drugie, ściśle wynikające

z pierwszego. Co takiego nadano w programie telewizyjnym, że Henryk Jagodziński stracił panowanie nad swoim strachem? Rozumie pan teraz? Możemy to nawet uściślić w czasie. Otóż w grę wchodzi program wyemitowany na kilkanaście minut przed zabójstwem. Jagodziński sam powiedział, niech pan sobie przypomni, że żona miała tego wieczoru oglądać film. I nagle program zostaje lekko zmieniony. To się ostatnio dość często zdarza. W krótkich migawkach telewizja pokazuje odnalezione poniemieckie archiwa. Zdjęcia, dokumenty, z sakramentalnym pytaniem do widzów, że jeśli ktoś kogokolwiek rozpozna lub potrafi rozszerzyć informacje, ma się zgłaszać albo bezpośrednio do telewizji, albo na milicję, albo do komisji, badającej zbrodnie hitlerowskie. I niech pan sobie wyobrazi, że oto na ekranie telewizyjnym, zaczyna dziać się coś, co dotyczy bezpośrednio Jagodzińskiego. Słyszy o sobie, może nawet siebie widzi i dopada go znienacka przeszłość, od której tak uporczywie uciekał, której tak straszliwie się bał, zaś w pokoju, czekając na film, siedzi żona i ogląda ten sam program. No i ma pan motyw. Jaki? Zaraz będziemy wiedzieć. Prosto ze źródła. Z telewizji ogólnopolskiej. Dlatego jedziemy do Warszawy.

## Rozdział 20.

— A więc to tak — powiedział tylko kapitan Żabicki. Andrzej milczał, Gorczyński również.

— Więc tak — powtórzył Żabicki.

Siedzieli przez chwilę w całkowitym milczeniu. Z Andrzeja opadło całe jego podniecenie, gra była właściwie skończona, pajak zaplątał się we własnej pajęczynie, trzeba przyznać — utkanej misternie, nader misternie. Gdyby nie przypadek, gdyby nie pióro, które odmówiło posłuszeństwa w momencie podpisu, nagłe zwrócenie uwagi na puste dłonie zabitej, gdyby nie bystre obserwacje Elizy Hoffmann, gdyby... och! dużo było tych „gdyby”, teraz na szczęście wszystkie zostały wyjaśnione.

— Idziemy — powiedział kapitan Żabicki. — Podpisał pan nakaz rewizji i aresztowania?

— Tak — odpowiedział cicho Andrzej. Dziwna rzecz, nie czuł ani satysfakcji, ani triumfu. Ogarniało go tylko coraz większe zmęczenie. Odpowiednia chwila. Wywiadowca zameldował, że Henryk Jagodziński już wrócił z uroczystości pogrzebowych. Uczestniczyli w nim mieszkańcy kamienicy przy Wysokiej z całymi rodzinami.

— Mam iść z panem czy zostać? — zapytał Gorczyński.

— Cały czas wszędzie mi pan towarzyszył — odpowiedział Andrzej.  
— Oczywiście, musi pan iść z nami.

— Więc tak — po raz trzeci powtórzył kapitan Żabicki.

Wyszli przed gmach prokuratury, wsiedli w samochód. Ruch był już



mniejszy, dzień chylił się ku wieczorowi. Dzieci bawiły się na podwórzu czynszowej kamienicy przy ulicy Wysokiej dwadzieścia, piegowaty chłopak jak zwykle kopał piłkę.

— Jakie te schody strome — powiedział Andrzej.

— W ogóle rudera — odparł Gorczyński.

— Tak — przytaknął kapitan Żabicki. Dwóch jego ludzi na wszelki wypadek obstawiało wejście do klatki schodowej.

Wspięli się po stromych schodach na trzecie piętro. Zapukali do drzwi. Andrzejowi wydało się, że załomotali i że cała kamienica to słyszy.

— Kto tam?

— Proszę otworzyć. Milicja.

Długo marudził. Otworzył im drzwi, ale był opanowany, spokojny, nawet lekko zdumiony.

— Proszę, proszę — zaprosił gościnnie. Grał dalej swoją rolę, czy rzeczywiście się nie domyślał? A może sądził, że wizyta ich ma związek ze śmiercią Klementyny? Minęła cała doba, a jego dotąd o nic nie pytano, chociaż na pewno przygotował się starannie do odpowiedzi.

Weszli do pokoju. Podłoga straciła już swoją połyskliwą czystość.

— Czy coś się stało? Właśnie przed godziną pochowałem żonę — głos Jagodzińskiego drgnął boleśnie. — Panowie wybaczą i potrafią chyba zrozumieć mój stan psychiczny?

— Panie prokuratorze — upomniał Żabicki.

— Obywatel Henryk Jagodziński, urodzony dnia czternastego października tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku w Kozienicach

Czarnych, syn Feliksa i Franciszki? — Andrzej usiłował mówić pewnie i zdecydowanie, ale czuł, że głos mu się łamie.

— Co to znaczy? — zapytał lekko przybladły Jagodziński, nie tracąc swego pozornego spokoju.

— W imieniu prawa aresztuję pana pod zarzutem dokonania zabójstwa z premedytacją na osobie Marii Jagodzińskiej w dniu dwunastym czerwca bieżącego roku oraz pod zarzutem dokonania zabójstwa z premedytacją na osobie Klementyny Nawrockiej w dniu piętnastym czerwca bieżącego roku, panie Jagodziński vel SS-Obersturmführer Horst Schultzke, przezwany również przez więźniów Krwawym Okularnikiem. I uprzedzam, że odtąd, cokolwiek pan powie, może być użyte przeciwko panu — wypowiedział Andrzej niezbyt poprawnie prawną formułkę. — Może pan już swobodnie włożyć okulary, panie Schultzke.

— To nieporozumienie! Straszliwa pomyłka! Nazywam się Henryk Jagodziński.

— Panie Schultzke, gra skończona. Naprawdę, może pan włożyć okulary.

— Nie! Nie! Musicie mnie z kimś mylić! Nazywam się Henryk Jagodziński!

— Okulary leżą przed telewizorem, panie Schultzke — powiedział Andrzej.

Jagodziński nagle oklapł. Zgarbił się. Zaszurał nogami. Podszedł do telewizora. Długo wpatrywał się w okulary ze strachem i nienawiścią. Zrzucił je jednym ruchem dłoni na podłogę. Miażdżył butem szkła z taką odrazą, jakby zabijał jadowitą kobrę.

— Idziemy, Obersturmführer Schultzke — ponaglił kapitan Żabicki.

## Rozdział 21.

— Uprzedzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, proszę odpowiadać ściśle na zadawane panu pytania. Imię, nazwisko? — rozpoczął przesłuchanie Andrzej. Żabicki włączył magnetofon, protokolantka czekała przy maszynie. Gorczyński podszedł do kontaktu i zapalił światło.

— Henryk Jagodziński.

— Prawdziwe imię i nazwisko.

Chwila milczenia.

— Nie macie dowodów.

— Naprawdę tak pan sądzi, panie Schultzke?

Otarł pot z czoła. Od momentu wyprowadzenia go z mieszkania pocił się obficie, co chwila musiał ocierać czoło, policzki, pot spływał mu strużkami z twarzy.

— Nikt mnie nie zidentyfikuje.

— Jest pan śmieszny, panie Schultzke. Już pana zidentyfikowaliśmy. Zapamiętało pana wielu więźniów. Są tacy, którzy przeżyli i czekają na tę chwilę, a będzie to dla nich chwila przełomowa.

Chcą wskazać pana i złożyć zeznania. Wyróżniał się pan szczególnym bestialstwem i okrucieństwem.

Nazywano pana Krwawym Okularnikiem.

— Nikogo nie skrzywdziłem. Byłem tylko tłumaczem.

— Imię, nazwisko?

Milczał.

— Odpowiadać! — krzyknął Żabicki.

— Horst Schultzke. Urodzony w Sosnowcu. w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku — zabrzmiał szept Jagodzińskiego.

— Zgadza się. Wykształcenie?

— Ukończyłem wydział matematyki.

— Tytuł naukowy?

Opuścił głowę. Milczał.

— Tytuł naukowy, panie Schultzke!

— Zrobiłem doktorat.

— Zgadza się, panie Schultzke.

Bał się swego prawdziwego nazwiska, za każdym razem, gdy padało, kurczył się, jakby pragnął stać się mniejszy, jakby pragnął się ochronić, schować.

Oblizwał wargi. Pocił się wciąż, lecz wargi miał spieczone, suche.

— Z powodu wrodzonej wady wzroku niezdolny do służby wojskowej. Za to wyróżnił się pan inaczej. Tę wadę wzroku pan Schultzke powetował sobie z nawiązką.

— Byłem tylko tłumaczem! Tylko tłumaczem! — zaskamlał, osłaniając głowę.

— To słyszeliśmy. Rzeczywiście był pan tłumaczem. Skąd pan znał tak dobrze język polski?

— Dzieciństwo i pierwszą młodość spędziłem w Polsce. Mój ojciec posiadał niewielki udział w fabryce.

— No, proszę, przydała się panu praktycznie znajomość języka polskiego. W papierach dostarczonych przez Komisję Badania Zbrodni

Hitlerowskich posiadamy nieomal wszystkie dokumenty i materiały, dotyczące pana działalności, Obersturmführer Schultzke. Szczęśliwie się odnalazły. Za swoją działalność okupacyjną poniesie pan odpowiedzialność. Śledztwo będzie żmudne. Ma pan czas na przemyślenie wielu spraw. Będziemy do nich wracać. Na razie zajmiemy się czym innym. Spełniał pan rolę tłumacza i oprawcy jednocześnie podczas przesłuchań w więzieniu w Kielcach. W czterdziestym czwartym roku po pacyfikacji wsi Kozienice Czarne dowieziono na gestapo w Kielcach grupę trzydziestu młodych ludzi. Poddawaliście ich długotrwałym przesłuchaniom. Brał pan w nich udział?

Pojękiwał cicho, obrzydliwie.

— Tylko częściowo, jako tłumacz — zaskamlał.

— Udowodnimy panu, jak się przedstawia ta pańska „część”, panie Schultzke. Pana zadaniem było wydostać od zatrzymanych informacje o działających na Kielecczyźnie oddziałach partyzanckich. Nie udało się to panu mimo tortur. Ani panu, ani pana kumplom z gestapo. Nie udało się, jak wiele innych spraw. Choćby wygranie tej wojny. Czerwiec czterdziestego czwartego. Niedaleko do jej zakończenia, do waszej ostatecznej klęski. Pan był człowiekiem wykształconym. Zdawał sobie sprawę z sytuacji. Szczury jako pierwsze opuszczają tonący okręt. Należało myśleć o własnym ratunku i pan o nim myślał. Jesień czterdziestego czwartego. Wszelkie złudzenia na zwycięstwo prysły. Wtedy najważniejszym było ocalenie własnej skóry.

— Nie byłem wyjątkiem. Wszyscy wówczas myśleli o własnej skórze — wychrypiał Jagodziński.

— Jednocześnie z tym większą zajądłością wykonując swoje „obowiązki”. Pan jednak wiedział, że mimo niewątpliwych zasług jest zbyt małym pionkiem, żeby w krytycznej chwili liczyć na pomoc „góry”, która przede wszystkim zajmie się sobą.

— To są jedynie wasze domniemania. Nic na mnie nie macie. Nic — odezwał się Jagodziński. Potu już nie ocierał. Pot skapywał z jego tłustych, obwisłych policzków, tworząc powiększającą się plamę na koszuli.

— Taki pan pewny? Otóż jako jeden z ostatnich, zakatowanych przez pana, zmarł Henryk Jagodziński. Blondyn, jak pan, panie Schulztko. I tyle podobieństwa. Różniliście się jedynie wzrostem i budową, poza tym nie nosił okularów ani nie utykał... A właśnie: utykał. Na pana AK wydało wyrok jeszcze w czterdziestym trzecim. Zamach nie udał się, postrzelono pana w lewą nogę, a dokładnie w udo. Niemieccy lekarze zajęli się panem doskonale. Pozostała jedynie spora blizna.

Utykać pan zaczął później. Zaraz do tego dojdziemy, panie Schulztko. Więc Henryk Jagodziński na skutek tortur zmarł. Pan przywłaszczył sobie jego dokumenty.

— On nie miał żadnych dokumentów! A ja byłem tylko tłumaczem!

— No widzi pan, panie Schulztko, jak się ładnie dogadujemy? — zadrwił Żabicki. — Być może, nie miał dokumentów. Za to pan wiedział o nim wystarczająco dużo. Rodzinna wieść została spacyfikowana, rodzice nie żyją. Brał pan przecież udział w pacyfikacji. Przypomniał pan sobie o Jagodzińskim w odpowiedniej chwili, gdy zaczął się panu palić grunt pod nogami.

— Ja byłem tłumaczem. Jako tłumacz uczestniczyłem w tej pacyfikacji!

— Niech pan przestanie się powtarzać niczym katarynka. Są zdjęcia. Fotografowaliście się, zadowoleni, na tle płonących domów. Pokażemy panu te zdjęcia, a jeśli nadal będzie pan zaprzeczał, zawieziemy na wizję lokalną do Kozienic i nie wiem, czy potrafimy panu zapewnić odpowiednią ochronę przed gniewem ludzi. Chętnie pana powieszają na najbliższej gałęzi.

— Ja... ja.. — rozpląkał się Jagodziński. Widok był obrzydliwy. Wielki, tłusty mężczyzna zanosił się histerycznym płaczem.

— Proszę się uspokoić. Natychmiast, panie Schulztko.

— Postaram się — wychlipał.

— Jak to się stało, że nie zdążył pan uciec?

— Uciekałem — Jagodziński z trudem opanował płacz, siedział teraz nieruchomy jak kukła, tylko jego grube, obłe palce rozpoczęły bezsensowną wędrówkę po brzegu stołu raz w jedną, raz w drugą stronę. — Ale kazano nam spalić archiwa więzienne...

— Nie spaliliście dokładnie, bo wiele materiałów ocalało. Pan był na liście zbrodniarzy wojennych, panie Schulztko. Muszę przyznać, że ukrył się pan znakomicie. Gdyby pan sam siebie nie wypłoszył, nie znaleźlibyśmy pana. Nadal by pan żył wraz ze swoją żoną na Wysokiej — Andrzej przejął

pałeczkę do Żabickiego.

— Przestraszyłem się — szepnął z rozpaczą Jagodziński.

— O tym potem. Więc uciekał pan, lecz było zbyt późno. Chował się pan po lasach. W jaki sposób wszedł pan w posiadanie cywilnego



ubrania? Ściągnął z trupa czy zabił kogoś? Bo broń pan przy sobie zostawił oraz truciznę. Cyjanek odebrał pan któremuś z torturowanych, zanim zdążył go zażyć.

— Nie zabiłem już więcej nikogo! Ja nikogo nigdy w ogóle nie zabiłem!

— Naprawdę, panie Jagodziński? — Andrzej celowo użył teraz nazwiska Jagodziński.

Paluchy Jagodzińskiego znieruchomiały.

— Więc w jaki sposób zdobył pan cywilne ubranie?

— Mundur zakopałem...

— A broń?

— Broń też.

— A cywilne ubranie?

— Ludzie mi dali... byłem ranny... ludzie ze wsi.

— Postrzelił się pan celowo w łydkę i poszedł szukać pomocy u ludzi?

— Tak strasznie się ich bałem... lecz mnie opatrzyli i dali ubranie. Byłem zakrwawiony, cały we krwi, nocą, psy rozszczękały się... ludzie obudzili się... musiałem ryzykować... miałem szczęście...

— Dużo szczęścia, trzeba przyznać. Dobrzy, naiwni ludzie przygarnęli pana, nakarmili, ubrali, opatrzyli ranę. Ponieważ znał pan świetnie język polski, nie podejrzewali pana. Jak ta wieś się nazywa? I jak długo pan tam mieszkał?

— Wieś Tokary. Siedziałem tam prawie dwa miesiące. Byłem bardzo chory. Rana się jąrzyła.

— Bo ją pan umyślnie jąrzył. Jak się nazywali pańscy gospodarze?

— Nie pamiętam.

— Załóżmy, że pan nie pamięta.

— Nie pamiętam, naprawdę. Powiedziałbym. Już i tak dla mnie nie ma żadnego ratunku.

— Nie ma, słusznie. Dlaczego pan nie został w Tokarach?

— Bałem się. Cały czas się bałem. Oni chcieli do mnie sprowadzić lekarza. Stali się ciekawi.

Wypytywali za dużo.

— Więc uciekł pan?

— Tak.

— Do tego miasta?

— Tak.

— Dlaczego właśnie do tak dużego miasta? Nie obawiał się pan, że właśnie w takim dużym mieście zostanie pan przypadkowo rozpoznany?

— Nie miałem wyboru. Poza tym to miasto leży daleko od Kielc.

— A może pan sądził, że im większe skupisko ludzi, tym bezpieczniej? Jak w przysłowiu, że najciemniej jest pod latarnią?

— Nie wiem, co wtedy sądziłem. Bałem się.

— Przyjechał pan więc tutaj i gdzie pan zamieszkał?

— Nigdzie. Spałem w parkach. Włóczyłem się po ulicach. Ale moja noga wzbudzała zainteresowanie.

— Wypytywano pana ze współczuciem, gdzie, jak i kiedy pana tak urządzono?

— Tak. Ludzie są dobrzy. Dawali mi pieniądze na chleb, na mleko. Podawali też adresy rozmaitych charytatywnych instytucji, które

zajmowały się bezdomnymi ofiarami wojny.

— Lecz pan nie skorzystał z żadnego adresu?

— Nie. Bałem się.

— Czyli przypadek sprawił, że w sklepie spotkał pan Marię?

— Tak. Przypadek.

— Znał się pan na ludziach, nie darmo był pan tłumaczem uczestniczącym w przesłuchaniach. Maria od razu wydała się panu zbawieniem, taka naiwna i prostoduszna?

— Tak.

Nie obawiał się pan jej zainteresowania swoją osobą i współczucia?

— Ani trochę. Maria była łatwowierna. Miałem do niej zaufanie.

— Tak, tak, rzeczywiście miał pan do niej zaufanie. Lecz Maria nie mieszkała sama. Jej siostra już nie była ani naiwna, ani prostoduszna. Pan się obawiał Klementyny?

— Musiałem podać wiarygodną wersję o swojej ranie. Ona się znała na postrzałach.

— Wiem. Jednak mając po swojej stronie zakochaną Marię, bo prędko pan zorientował się, że nie jest Marii obojętny, postanowił pan wykorzystać ten sprzyjający układ i poślubić jak najszybciej dziewczynę. W jaki sposób wy dostał pan metrykę urodzenia Jagodzińskiego z parafii?

— Maria tam pojechała. Dała zakrystianowi parę złotych, a ten jej wypożyczył metrykę.

— Bardzo sprytne. Ale i ryzykowne.

— Nie miałem wyboru. Musiałem ryzykować.

— Klementyna wiedziała o wyjeździe siostry?

— Nie. Maria powiedziała, że jedzie do swoich gospodarzy, u których spędziła wojnę.

— Nauczył pan ją kłamać. Ciekawe, w jaki sposób uzasadnił pan cały plan przed Marią? Była tak niemądra czy aż tak zakochana?

Po raz pierwszy od rozpoczęcia przesłuchania Jagodziński lekko się uśmiechnął.

— I jedno, i drugie. Nie musiałem się specjalnie wysilać. Sreparowałem historyjkę, że moją rodzinę rozstrzelano, że przeżyłem szok, więc każdy kontakt z kimkolwiek z Kozienic przeraża mnie, ponieważ wspomnienie staje się zbyt żywe, a ja tymczasem pragnę ze wszelkich sił zapomnieć o tragedii.

— No tak, rzeczywiście zgrabna historyjka — przyznał Andrzej. — Proszę powiedzieć, czy pan też Marię kochał?

Jagodziński milczał.

— Myślałem, że odnajdę w panu chociaż jedną ludzką cechę. Pana milczenie jest wymowną odpowiedzią. Maria stanowiła dla pana cenne alibi, lepszego by pan nie znalazł. Schronił się pan w tym małżeństwie, czuł się pan bezpiecznie. A Klementyna?

— Ta mi nigdy nie ufała. Nie wierzyła. Przyglądała się podejrzliwie i nigdy o nic nie pytała. I to właśnie było najgorsze.

— Przerazała pana nie tylko ciekawość ludzi, ich współczucie, lecz również dyskrecja. Źle pan ocenił Klementynę Nawrocką. Otóż ona pana wówczas o nic nie podejrzewała. Sama przeszła piekło wojny i szanowała cudze prawo do cierpienia. Myślała bowiem, że pan cierpi naprawdę i chciała panu pomóc. Pan jednak zbyt się bał wszystkiego. Samego siebie również, samego siebie podejrzewając, że może się pan

zdradzić w nocy jakimś słowem przez sen, jakimś ruchem czy gestem. Nie życzył pan sobie mieć żadnych świadków, poza łatwowierną Marią. Musiał się pan pozbyć szwagierki. Pod pana wpływem Maria ograniczyła kontakty z siostrą, lecz panu tego było mało, toteż doprowadził pan do całkowitego zerwania. Jedno mnie zastanawia tylko, dlaczego pan pozwolił się sfotografować po ślubie?

— Maria nalegała. Nie mogłem się sprzeciwić, inaczej wzbudziłbym podejrzenia u Klementyny. Ona była naszym świadkiem.

— A kto był drugim?

— Kościelny.

— Piękny ślub. Nie o takim zapewne marzyła młoda, zakochana dziewczyna. Powracając do zdjęcia.

Któregoś dnia Maria bez pana wiedzy oddała zdjęcie do powiększenia i zawiesiła na ścianie.

Urządził jej pan awanturę?

— Nie mogłem patrzeć na samego siebie — głos Jagodzińskiego załamał się niebezpiecznie. — Przewiesiłem zdjęcie na boczną ścianę.

— Lecz fotograf miał kliszę?

— Wykupiłem klisze i zniszczyłem.

— Dlaczego poszedł pan do pracy?

— Za bardzo rzucało się w oczy, że młody jeszcze mężczyzna siedzi w domu na całkowitym utrzymaniu żony i jej siostry.

— Maria dla pana wyrzekła się swoich ambicji i zaniechała studiów?

— Tak — przyznał Jagodziński. — Ona mnie bardzo kochała.

— Szkoda, że pan nie odpłacił jej uczuciem. A do pracy? Nie bał się

pan chodzić do pracy?

— Te pięć lat w pracy to nieustanne napięcie nerwów, koszmar strachu. Nikt nie zrozumie tego, co przeżyłem w ciągu tych pięciu lat.

— Nie wzbudzi pan we mnie współczucia — odpowiedział Andrzej, patrząc z odrazą na Jagodzińskiego. — Najbardziej obawiał się pan okularów. Krwawy Okularnik, taki pseudonim pan zyskał. Nie dziwię się więc, że za wszelką cenę pragnął pan ukryć wadę wzroku. Jednak w pracy okulary były niezbędne.

— Używałem ich w pracy, to prawda. No i w domu.

— I każdego dnia strach stawał się większy i większy?

— Do tego stopnia, że czasem ogarniała mnie chęć, żeby z tym wszystkim skończyć, pójść do prokuratury, przyznać się. Dopóki jeszcze siedziałem w pracy sam, w takim małym kantorku, dopóty było znośnie. Lecz przedsiębiorstwo rozrastało się i musiałem zrezygnować z pracy.

— Jego renta inwalidzka jest fikcją — wtrącił się Żabicki. — Sprawdziliśmy w ubezpieczalni.

— Tak przypuszczałem — powiedział Andrzej. — Wymyślił tę rentę po rzuceniu pracy. Żona mu współczuła, narzekał przed nią na zdrowie, pewno zainscenizował kilka ataków, które ją przeraziły.

Powiedział, zgodnie zresztą z prawdą, że wciąż boi się ludzi, ale równocześnie nie chciał, żeby ludzie dowiedzieli się, że utrzymuje go żona.

— Maria — odezwał się Jagodziński. Obliznął spieczoną wargę

— Maria. Była taka dobra... Taka dobra... Zrozumiała mnie, moje lęki...

— Tak. Zrozumiała. I co miesiąc wysyłała panu ze swojej pensji tak zwaną rentę inwalidzką. Tyle lat, a listonosz nie zauważył oszustwa. Dlaczego?

— Zrobiłem stempel — wyjaśnił Jagodziński. — Przekaz musiał mieć stempel. Inaczej szybko by się wydało, że to oszustwo.

— Pomysłowo. Zadbał pan dokładnie o wszystko. A żona niczego się nie domyślała. Żadnych podejrzeń?

— Najmniejszych. Maria była dobra.

— I dlatego pan ją zabił?

Coś zamruczał.

— Proszę głośniej!

— Nie macie dowodów — zamamrotał.

— Przeciwnie. Mamy.

Oczy Jagodzińskiego błysnęły nienawiścią.

— Nic na mnie nie macie. Jeśli chodzi o Marię.

— Pan się myli, panie Schulztko vel Jagodziński. Pan działał w pośpiechu, osaczony swoim śmiertelnym strachem.

Ale się pan przeraził, widząc siebie sprzed lat w telewizji! Piętnastominutowy program poświęcony odnalezionym archiwom dotyczącym Kozienic.

— Ja... — zadygotał Jagodziński.

— Zabrakło panu czasu na przygotowanie zbrodni doskonałej — zadrwił Andrzej. — Popęłnił pan masę błędów.

Był pan zawsze tak bardzo pedantyczny. I ta pedanteria pana wydała.

— Błędy? To wy popełniacie zasadniczy błąd, oskarżając mnie o

zabicie Marii. Ja jej nie zabiłem!

To wypadek. Maria miała chore serce.

— Pan nawet nie wiedział, iż pana żona choruje na serce. Nie powiedziała panu, ponieważ nie chciała pana martwić. Maria była wyjątkową żoną. A pierwszym pana błędem było zgaszenie światła w pokoju, zaraz po wypchnięciu żony. I powiem panu, dlaczego pan tak postąpił. Musiał pan usunąć zdjęcie. To zdjęcie, na którym był pan o dwadzieścia lat młodszy. Rozumował pan szybko, bardzo szybko, logicznie i precyzyjnie jak matematyk. Stwierdził pan, że za chwilę wpadną tu ludzie, którzy parę minut temu oglądali program telewizyjny. Rozpoznają pana. A wtedy wydawało się panu, że już wszyscy pana naokoło rozpoznali. W tym jednym przypadku, gdy górę nad precyzją wziął strach, postąpił pan nierozważnie, jednak rozumowanie jako takie nadal było bez zarzutu. Więc musiał pan usunąć zdjęcie. Okno... Okno było bez zasłony, oświetlone, a zdjęcie wisiało na bocznej ścianie, jednak naprzeciwko okna. Maria umierając krzyknęła, więc ludzie na pewno już patrzyli na pańskie okno, pokazują palcami, w ogóle uznał pan, że cały cały dom patrzył na pańskie okno, więc zdjęcie musiało być usunięte, bo ktoś mógł zobaczyć, jak je pan zdejmuję ze ściany — wisiało bowiem wysoko, nad komodą.

Oczywiście nikt nie widziałby, co pan zdejmuję ze ściany, ale mogli zobaczyć, że pan coś zdejmuję, że to jest pańska pierwsza czynność po śmierci żony. Zastanawiająca czynność, nieprawdaż? I zgasił pan światło. Zdjęcie pan schował, światło zaraz znów zapalił. A trzeba było popsuć korki, panie Jagodziński i później na wszelki wypadek



poprosić kogoś, żeby je panu pomógł zreperować.

Sąsiadka z naprzeciwka, Halina Hanysz, zaobserwowała moment gaszenia światła i jego ponownego włączenia. Tak więc to był pana pierwszy błąd. Oczywiście mógł pan usprawiedliwić tę czynność swoim szokiem na skutek nieszczęścia. Już niejednokrotnie posługiwał się pan takim argumentem.

Następnie zdjął pan i schował okulary. Nie mógł pan zejść do ciała żony w okularach. Błąd, panie Jagodziński, bowiem pańska twarz tak bardzo się zmieniła w ciągu tych dwudziestu lat, że żaden z mieszkańców, zwłaszcza wieczorem, nie mógłby pana rozpoznać, skojarzyć z filmową migawką telewizyjną, pokazującą odnalezione w archiwach zdjęcie grupy oficerów SS, na którym pan w esesmańskim mundurze, w esesmańskiej czapce z trupa główką i w okularach, stał pośrodku grupy.

— Okulary? — szepnął Jagodziński. — A ja sądziłem...

— Źle pan sądził. Więc brak okularów — drugi błąd. No i w żadnym wypadku nie powinien był pan wkładać butów.

— Buty? — powiedział automatycznie Jagodziński. — Więc buty?

— Zastanawiał się pan czy je włożyć, czy nie?

— Tak — odrzekł z wysiłkiem.

— Wydawało się panu, że będzie to naturalne, jeżeli pan na podwórze zejdzie w butach. Widzi pan, w innych okolicznościach byłoby to naturalne, ale w tych akurat nie. Kto zmienia domowe pantofle na skórzane buty, schodząc do ciała żony?

— Te buty... — powtórzył Jagodziński.

— Właśnie: buty. Nie używał ich pan od pięciu lat, prawie nowe,

skrzypiały przy każdym pańskim kroku. A jedna bystra pani zwróciła na nie uwagę. W jaki sposób wypchnął pan swoją żonę?

— Najpierw w ogóle nie zastanawiałem się, jak ja to zrobię — wyszeptał Jagodziński. — Byłem nieprzytomny ze strachu. Okno otwarte. Spojrzałem na nie. Tak, ona musi wypaść przez to okno. Ale wciąż nie wiedziałem jak. Boże, jak ja się bałem! Kazałem jej zasunąć zasłonę, weszła na parapet i powiedziała: „Ach, jaka ja głupia. Przecież stąd nie dosięgnę, muszę mieć szczotkę”.

— Perfidnie. Uderzył ją pan silnie w piersi lub w brzuch szczotką do zamiatania podłogi. Nie musiał pan nawet zbliżyć się do okna, tyle, co na długość tej szczotki. Z tego wynika, o mój Boże! Że pańska żona wcale pana nie zdemaskowała ani nie rozpoznała, inaczej nie weszłaby dobrowolnie na okno!

Oglądała z panem program i pan tylko przypuścił, że mogła pana rozpoznać.

— Ja... nie wiem. Ona weszła do pokoju tak cicho, tak cicho... Patrzyła na mnie tak dziwnie...

Zapytała czy coś się stało... Potem zawołała żebym tak na nią nie patrzył. Ona się mnie jakby złękła...

— Więc pan nawet nie wie, czy żona widziała ten program? — spytał Andrzej.

— Weszła tak cicho do pokoju... Była w kuchni, nie wiem, kiedy weszła ani jak długo stała...

— Więc pan nawet nie wiedział na pewno? — powtórzył Andrzej.  
— No, tak. A potem, kiedy zacząłem panu deptać po piętach i kiedy podczas rozmowy u siebie zapytałem pana o pański wzrok, przeraził

się pan ostatecznie. I poszedł pan zabić Klementynę Nawrocką, bo miała dowód, czyli odbitkę waszego ślubnego zdjęcia. Pomyślał pan: „Nawet jeżeli poddadzą mnie badaniom wzroku, sprawdzą rentę, to tylko poszlaki. Mogę udać niepoczytalnego, ale to tylko poszlaki, nie dowody”.

Klementyna miała dowód. Więc poszedł pan ją zabić.

— Musiałem! — Jagodziński zawołał histerycznie i wybuchnął szlochem. — Nie chciałem nikogo zabić, ale musiałem! Musiałem!

— Wyprowadzić oskarżonego — polecił Żabicki.

— Musiałem — krzyczał Jagodziński. — Musiałem! Musiałem!

Jego histeryczny krzyk — Musiałem! — brzmiał jeszcze chwilę na korytarzu, później ucichł, oddalił się. Za oknami zapadł głęboki wieczór. Ale ulica błyszczała kolorowymi neonami, ruchliwa i tętniąca życiem.

— Mogę pójść do domu? — zapytała protokolantka.

— Oczywiście — powiedział kapitan. — Na dziś nam wystarczy.

— Do widzenia, panie kapitanie — powiedziała protokolantka.

— Ja również pójdę. Czuję się... czuję się taki brudny...

— powiedział Żabicki.

— Niech pan wyłączy magnetofon — zwrócił uwagę Andrzej.

Wstał, zachwiał się, na sekundę pociemniało mu przed oczami.

— Rzeczywiście, zapomniałem o magnetofonie — przyznał Żabicki.

— Pan też niech już idzie do domu razem ze swoim aniołem stróżem, Gorczyńskim, panie Andrzeju. Musi pan wypocząć. Czeka nas jeszcze dużo pracy.

— Tak, oczywiście. Do widzenia, kapitanie. Panie Kazimierzu,

idziemy? Pójdzie pan ze mną?

— Z panem zawsze. Ale tym razem dokąd?

— Do pani Elizy Hoffmann — odpowiedział Andrzej, uśmiechając się mimo zmęczenia.

— Kto to jest ta Hoffmann? — zapytał Żabicki. — Ciągle o niej mówicie.

— O, panie kapitanie, z pewnością pan się nie tylko dowie, ale i pozna panią Hoffmann osobiście — odparł z całym przekonaniem Gorczyński. — Już panu o niej mówiłem. To jest ta starsza dama, która zajmuje się badaniem życia pajaków.